

KSIEGA MIŁOŚCI

~~48225~~

9  
2365

JAN KASPROWICZ

# KSIĘGA MIŁOŚCI



WARSZAWA 1922  
INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«



286502



I  
DO NIEJ

Zakłady graficzne „Biblioteka Polska“ w Bydgoszczy.

W/180/05p

Księga Miłości.

1





I

1.

Ja ciebie kocham, a tyś jeszcze dzieckiem  
O beznamiętnej i niewinnej twarzy;  
Na twem obliczu wyrzeźbionem, greckiem,  
Żaden gorętszy płomień się nie żarzy;  
Z ócz twych, jak słowa w pieniu staroświeckiem,  
Bijące w niebo z przed pańskich ołtarzy,  
Płynie melodja tak cicha i rzewna,  
Żeś jest jak gdyby dawnej Psychy krewna...

2.

W niedoli-m wyrósł i śród braku chleba  
I już się wszystkiej rozkoszy zaparłem;  
Dziecięcą wiarę w kryształowe nieba  
Dawno już z karty duchowej wytarłem,  
I zdało mi się, że mi nie nie trzeba,  
Że z jakimś lichym porównam się karłem,  
Że się do pragnień już żadnych nie nagne,  
A dzisiaj klękam i wołam: o pragnę!



3.

Pragnę — czy słyszysz? pragnę nici złotej  
 Tu, w tym ponurym żywota kruzganku;  
 Pragnę nadludzkiej do męczeństw ochoty,  
 Za którą w pierwszym tęsknilem poranku;  
 Pragnę się pozbyć tych znamion heloty,  
 Co mnie podają w pośniecech bez ustanku,  
 Gdy, zamiast wznieść się olbrzymem w obłoki,  
 Ze swoją taczka padam w dół głęboki.

4.

Pragnę straconej wiary w czyn młodzieńczy,  
 Któryby podniósł marmurowe wieka,  
 Gdzie ludzkość żywcem pogrzebiona jęczy,  
 Darmo wołając: potrzeba mi człeka!  
 Pragnę tej pieśni, co barwami tęczy,  
 A nie kroplami zmaconemi ścieka  
 I wszędzie zapal, wszędzie ogień szerzy,  
 Do boju nowych gotując szermierzy.

5.

Chodź, ty nadobna! O, chodź, ty jedyna  
 Z obliczem Psychy, ożywionej wiosną!  
 Niech dla mnie świtu wybije godzina,  
 Wczas przywołana twą nutą miłosną.  
 Chodź, ty nadobna!... Już widzę, rozpina  
 Genjusz pierś swą, na widok zazdrośną,  
 Twarz mi w młodzieńczy przystraja rumieniec  
 I splata z uczuć przenajczystszych wieniec.

6.

O, wy najdroższe uczuć diamenty,  
 Co się kryjecie w serc ostatnią głębię:  
 Brudnemi życia nieskażone męty,  
 Stawiacie ludzi na wielkości zrębie,  
 Budząc im w łonie zapal niepojęty,  
 Aniołów samych w szczytne dziewosłębie —  
 O jasných licach, ze skrzydły srebrnemi —  
 Z nieznanej przedtem sprowadzacie ziemi.

7.

Czuje, miłości odrodzony chrzestem,  
 Ze nowe siły przemawiają we mnie,  
 Za dziwnych pieśni pchając mnie szelestem,  
 Co smutnych zwątpień rozpraszają ciemnie.  
 Czuje, że duchów towarzyszem jestem  
 I nie próbuję swoich sił daremnie,  
 Lecz że na skronie, co dopiero blade,  
 Przepaskę szczęścia promieniącą kładę!...

8.

Ja ciebie kocham — o najdroższa moja,  
 Nad wszystkie skarby i ponęty świata,  
 Bo z twojej dłoni tych odrodzeń zbroja  
 Złotym pierścieniem me piersi oplata...  
 Ja ciebie kocham! z twej miłości zdroja  
 Za wszystkie walki największa zapłata —  
 Ja ciebie kocham nad słońce i zorze,  
 Lubal goręcej czyż kto kochać może?!...



## II

Nieraz się pytam, czy ja kocham ciebie?

Czy to nie blaski uczucia zwodnicze,  
 Podobne zorzy wieczornej na niebie,  
 Która, przed sobą widząc noc mogiły,  
 Jeszcze ostatnie wydobywa siły,  
 Jeszcze ostatnie chce rozdmuchać znicze  
 I płonąć.

Wówczas drętwieję i jestem lodowy,  
 Jakby mnie sztukmistrz uwięził w marmurze,  
 Jakby mi stopy przygniotły okowy,  
 Że na swą zwykłą nie umiem wejść drogę...  
 I chciałbym płakać, lecz płakać nie mogę,  
 I w niebios jasnym nie mogę lazurze  
 Utonąć.

Najdroższa moja! ty poznasz tę chwilę,  
 Gdy do uścisku zimne podam dłonie;  
 Kiedy źrenicę, co zniosła już tyle  
 Spojrzeń, przed twemi chcę zakrywać oczy...  
 Poznasz po smutku, co ją dziwnie mroczy  
 I po tej bruździe, która blade skronie  
 Rysuje.

Drzę i chcąc zabić duszą mnie zmore,  
 Wyrzekam czci się i duszę swą własną  
 Obrzucam błotem i serce swe chore  
 Klnę, że do żadnych nie zdolne uniesień —  
 Że mi starości rozpaczliwa jesień,  
 Mimo lat młodych, tkaninę przejasną  
 Już psuje...

O, wówczas spojrzyl! o wówczas tej łzawej  
 Każ na mem licu wypocząć źrenicy,  
 Co mnie z duchowej wyswobadza wrzawy  
 I w taką szatę spokoju mnie stroi,  
 Jak gdybym stanął wśród złotych podwoi,  
 Gdzie wieczne biją ze szczęścia gromnicy  
 Promienie...

O, wówczas spojrzuj, ty pełna prostoty,  
 Ziemskimi jeszcze nie skażona brudy!  
 Uśmiechem dziecka, co rzuca obroty  
 Sztucznych wysileń, połączysz mnie z sobą:  
 I ożywiony czoło stawię grobom  
 I z tobą razem przejdę wszystkie grudy  
 I cienie.



## III

## PRZYPOMNIENIE.

## 1.

Pamiętasz jeszcze, kiedym cię za rękę  
 Pierwszy raz schwycił tą gorącą dłonią?  
 Wieczór był wtedy; ponad nami dzwonią,  
 Zdało się, gwiazdy złocistą piosenkę.

Tyś dłoń ścisnęła w miłosną podziękę,  
 A głębie ocz twoich, ukryte pod skronią,  
 Białą jak marmur, zdrój w me serce ronią —  
 Ach! dziś to czuję — na nawałnic mękę.

Lecz wtedy cały w tobie zatopiony  
 Duch mój, jak okręt, któremu rozwinął  
 Zagle wiatr lekki, po twej fali płynął.

Wtedy nie myślał, że przyjdzie z tej strony —  
 Z mej własnej piersi — demon burz z pobladał  
 Twarzą i stłucze to szczęścia zwierciadło.

## 2.

Tyś była dzieckiem... Jam spojrzał w krynicę  
 Twojego serca i widział, że do dna  
 Jest tak przezczysta i tak przepogodna  
 Twoja niewinność, jak poranku lice.

I wprzód, schylony, utopię źrenicę  
 W toni, co w lazur i w słoneczność płodna,  
 A potem dusza, takich blasków głodna,  
 Cała w tej głębi rwie się tajemnice.

A kiedy wyjdzie skąpana i oczy  
 Zwróci na przestwór, co za brzegiem leży  
 Twego źródlika, swym oczom nie wierzy:

Oto się nowy przed nią świat roztoczy,  
 Gdzie każdy żywiol, każda jego czynność  
 Rozbłękitnione, jak twoja niewinność.

## 3.

Ach! ile razy wracałem od ciebie,  
 Oszołomiony twojej duszy czarem,  
 Czulem, jak serce topi żar za żarem  
 W bryłę tak złotą, jak słońce na niebie.

I zapomniawszy o powszedniej glebie,  
 Wśród błękitów kroczę słońcem jarem,  
 Zmieniając w świeżość to, com mniemał starem  
 I zwiędłem w sobie i naokół siebie.



I, tak przemienion, w jestestw przemienionych  
 Serca się wpijam swoich blasków siłą —  
 We wszystkie drzewo, wszelki kwiat, płaz wszelki.

I czuję łączność i woń czuję miłą,  
 Płynącą z barwnych tych złączeń, zroszonych  
 O wszechmiłości! perłą twej kropelki.

## 4.

O jak mi wówczas było wierzyć trudno,  
 Że tych zachwytów urocze postacie  
 Zbyt rychłej życie poświęciło stracie,  
 We mgły rozwiawszy szczęścia chmurkę złudną,

Że, precz od ciebie, swoją rękę brudną  
 Złoży gdykolwiek na duszy mej szacie  
 I tych dwóch słodkich dźwięków: siostrzo! bracie!  
 Skłóci na zawsze harmonję precudną.

A oto dzisiaj węzeł, który łączy  
 Dwa serca czyste i dwa duchy bratnie  
 Stargawszy, w straszną mnie wprowadził matnię:

Chciałbym do ciebie, jako ptak ten rączy,  
 Lecz mnie do miejsca przykuwa i zgina  
 Ach! jarzmo losów i ma własna wina.

## IV

W metafizyce wieszczę rozkochani  
 Niech o miłości prawią, co się boi  
 Skapać swych kształtów w fali ziemskich zdroi,  
 Ku urojonej wzlatując przystani...

Moją tęsknotę, która serce rani,  
 Niechaj balsamu kroplą dziś ukoi  
 To, co jest z ciała: słodycz wargi twojej,  
 O ty wszechwładna wszystkich uczuć Pani —

Wiem, że ta rozkosz, choć przez nią przebija  
 Krwi ludzkiej kolor, nie zetrze z miłości  
 Bożego piętna, tuląc mnie do siebie:

Najniewinniejsza wszakże z ziół, lilija,  
 W której kielichu wonna rosa gości,  
 Nie w mgłach wyrasta, lecz tu, na tej glebie.



## V

Ten kwiat konwalji, z ręki twojej wzięty,  
 Woń swą już stracił i swą krasę całą,  
 Chwili mi tylko wspomnienie zostało  
 Błogosławionej ach! i tak przekłętej!

Zadnem i względów i praw ludzkich pęty —  
 Tak moje serce dotychczas wołało —  
 Nie powstrzymywaj, idąc zawsze śmiało,  
 Miłości, w łonie stęsknionem poczętej...

A oto dzisiaj, gdy stajesz przedemną  
 W promieniach szczęścia i tych oczu parą  
 Rozjaśniasz byt mój, w mgłę spowity ciemną,

Wszystkich władz siłą, do kochania zdolną,  
 Odpycham ciebie, o ty słodka maro,  
 Wołając z smutkiem: Nie wolno! nie wolno!

## VI

Czem jesteś dla mnie? Tem światłem gorącym,  
 Siłą, co z ziemi wydobywa zioła,  
 Zlewa je wonią, stroi barw tysiącem,  
 Co sieje życie i radość dokoła.

Czem jesteś dla mnie?... Myślą i tem rwącym  
 Tchnieniem uczucia, co w prostego zgoła  
 I ułomnego człeka wnętrzu śpiącym  
 Budzi niebiańskich hasel apostoła.

Czem jesteś dla mnie?... Zamknij to pytanie  
 W wielkich tajemnic świętym Alkoranie,  
 Ty dla mnie pierwsza w pierwszych miljonie:

Wszak, aby godnie odpowiedzieć na nie,  
 Nie starczą, widzę, światło, barwy, wonie,  
 Myśl ni uczucie, choć tak żywo płonie.

## VII

Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze czlecze  
 Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,  
 Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę  
 Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I zło, uchodząc, poza sobą wlecze  
 Tabor swych skutków i w nicość się toczy,  
 Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,  
 Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I znów oczyszczon i znowu ochoczy  
 Do tego życia, które mi zmieniły  
 Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

Tulę do piersi ten mój skarb uroczy  
 Ach! i całuję, pełen nowej siły,  
 Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

## VIII

1.

Nie wiem, gdzie jesteś i czy wielkie, czarne  
 Twoje źrenice tak się jeszcze palą,  
 Jak ongi, w chwilach, dziś przymglonych dałą  
 Sennych li wspomnień, ku którym się garnę

Słabym, ostatnim wysiłkiem żeglarza  
 Na szalejącej, złowróznej głębinie,  
 Kiedy mu wiosło z rąk zmęczonych ginie  
 I kiedy łódź się ku śmierci przeważa.

Nie wiem, czy dzisiaj, stanąwszy przedemną,  
 Nie snem, lecz jawą, umiałabyś jeszcze  
 W strunach mej duszy dawne wzbudzić dreszcze...

Ale twój obraz, odsunięty w ciemną,  
 Odległą przestrzeń, nęcić nie przestaje,  
 Jak nęcą owe z baśni niedościgłe raje.



2.

Nieraz cię widzę tak blisko, że usta  
 Chylę ku twoim, aby z ich kielicha  
 Wszystką wieczorną wypić woń, wtem cicha  
 Gaśniesz mi w oczach i znikasz, jak pusta

Bańka mydlana... Wnet ku duszy mojej  
 Przychodzisz znowu: Czy to ta, co mam  
 Nieugaszonej żądy płomieniami,  
 Hańby się ludzkiej i wstydu nie boi

I żar miłości, nie znający granic  
 Ani prawideł, na przekorę świata  
 Z tchem najszczytniejszych bogomodłów brata?

Nie! sen to dawnych dni, który się na nic  
 Rychło rozwiewa, żalu tylko mgłą  
 Snując smugę za sobą, że nie jesteś — jawą...

## IX

Nie wrócisz do mnie,  
 Nie wrócisz do mnie  
 I ja nie wrócę do ciebie:  
 Umarły żywe twe oczy,  
 Któż płacze po ich pogrzebie?

Patrzałem w blask ich,  
 Patrzałem w blask ich,  
 Dusza się moja spaliła —  
 Wyrosła nad nią samotna,  
 Chwastem okryta mogiła.

Czyż zmartwychwstanie,  
 Czyż zmartwychwstanie  
 To serce smutnego świata?  
 Topole w oczach mych więdną,  
 Szaruga po nich przelata.

Nie wrócisz do mnie,  
Nie wrócisz do mnie  
I ja nie wrócę do ciebie...  
O drzew pożółkłe upiory,  
O dni słonecznych pogrzebie!

## X

Co się to dzieje! Co się to dzieje!  
Aż lękam się wyznać to komu:  
Wiecie, że słońce dziś rano  
Zajrzało do mego domu.

Aż lękam się wyznać to komu...  
Trza mieć odwagę — do skutku!  
Złociste, wiecie, nasturcje  
Zakwitły w moim ogródku.

Trza mieć odwagę — do skutku,  
Więc powiem wam jeszcze coś więcej:  
Śród kwiatów śmiech, wiecie, rozblysnął,  
Szczery, radosny, dziewczęcy.

O, powiem wam jeszcze coś więcej,  
Tylko nie śmiecie się ze mnie:  
Ja, wiecie, czekałem na nią  
I nie czekałem daremnie.





Tylko nie śmiejcie się ze mnie  
Dusza ma całkiem pijana!  
Rzekła mi, wiecie: „Jak ślicznie,  
Gdy słońce w dom zajrzy z rana!”

## XI

Czekałem na ciebie wczora,  
Od rana czekałem do rana,  
Wywiodła mnie w pole tęsknota,  
Miłością twoją pijana.

Przenigdy już czekać nie będę,  
Takem chciał zarzec się w gniewie,  
Lecz kłamstwo jest obce mej duszy,  
O fałszu nic serce me nie wie.

Więc powiem ci prosto i szczerze  
Ty moje dziwne kochanie:  
Chociażbym wieki miał czekać,  
Dość woli nato mi stanie.

Bo cóż ja mam czynić, nieboże,  
Jeśli nie czekać do końca?  
Wszakże ty jesteś zachodem  
I wschodem mojego słońca!

## XII

Pójdziemy w świat w daleki świat,  
 Precz, precz od ludzkich oczu,  
 Przechadzać się będziem nad morzem,  
 Gubić się w niebios przezroczu —  
 Zbudź się, dziewczyno, z snu.

Na słońca wschód, na słońca wschód  
 Patrzący w to letnie zaranie,  
 Dech zatrzymamy z podziwu,  
 Aż tchu nam w piersiach nie stanie —  
 Zbudź się, dziewczyno, z snu.

W południa blask, w południa blask,  
 Słuchając orkiestry fali,  
 Zdumionym li będziem wzrokiem  
 Cichnący jej odpływ żegnali —  
 Zbudź się, dziewczyno, z snu.

Nie trzeba słów, nie trzeba słów!  
 Człowiek ich wartość przecenia.  
 Serce wezbrane ma jedną,  
 Wielką wymowę milczenia. —  
 Zbudź się, dziewczyno, z snu.

A tylko w czas, a tylko w czas,  
 Gdy wieczór błękitnieć zaczyna  
 Od gwiazd, ja twą rękę ucisnę  
 I szepnę ci: Mojaś jedyna!  
 Zbudź się, dziewczyno, z snu.

Pójdziemy w świat, w daleki świat,  
 Precz, precz od ludzkich oczu,  
 Przechadzać się będziem nad morzem,  
 Gubić się w niebios przezroczu —  
 Zbudź się, dziewczyno, z snu.



## XIII

Z zawiązanemi oczyma  
 Pędzę na oślepie ku tobie,  
 Nic mnie już, nic nie powstrzyma —  
 Ty śmieję się! Drzewa-m widział w jesiennej żalobie.

Jak mnie powitasz, ja nie wiem...  
 Gdy dotrę do drzwi twego domu,  
 Czyż z równem się zejść żarzewiem?  
 Milcz o tem, żem się potkną! Ni słowa nikomu!

Tam, słyszę, wstał już kręć słońca,  
 Na szczyt swój już wbił się z południa  
 I zagał i noc już... Bez końca  
 Trwa życie... Tęsknicami człek tor swój zaludnia.

Na skrzydłach by serce leciało,  
 Kosztowne dziś dary ci niesie...  
 Za mało ci jeszcze? Za mało?  
 Las ciemny, las odwieczny, dusza błądzi w lesie.

Niczego mi żal już nie będzie  
 I nic mnie urazić nie zdoła,  
 Gdy ujrzę takiego sędzię,  
 Jak ty... bo któż obetrze mi te krople z czoła?

Gdzież są tak miękkie dłonie?  
 Żrenica gdzież równie łagodna?  
 Warto potrudzić się po nie.  
 Ktoś spojrzal w głąb jeziora, pociągła go do dna.

Z zawiązanemi oczyma  
 Pędzę na oślepie ku tobie,  
 Nic mnie już, nic nie powstrzyma —  
 Ty śmieję się! Drzewa-m widział w jesiennej żalobie.

II

DZIEJE MIŁOŚCI



1.

L'AMORE DESPERATO

(Z ZAPISKOW PRZYJACIELA)

Chè tanto dà nel Sol, quanto nel rezzo  
Questa scherana micidiale e latra.

*Dante. „Vita Nuova“. Canz. XI.*

Jo vegno a te, come a persona pia,  
Piangendo Morte...

*Dante. „Vita Nuova“. Canz. III.*

O jakaś ty piękna, przyjaciółko moja,  
O jakaś ty piękna!...

*Salomona „Pieśń nad pieśniami“.*

Szczęścia i bólu wnet mijają chwile...  
Nie długo spocznę na wieki w mogile,  
Krzyż na mym grobie nie stanie miłośnicie,  
I świeża lilja nad nim nie wyrośnie,  
Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie,  
Miej nad skruszonym sercem zlitowanie...  
Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie  
Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,  
Gdy o mnie biednej pomyślisz inaczej,  
Wówczas niech Bóg cię chroni od rozpaczy...

*Violetta. Akt III.*

*U w a g a. W papierach jednego z moich przyjaciół, nieszczęśliwych, bo z takimi przeważnie łączył mnie dziwny fatalizm życia, znalazłem szereg urywkowych zapisków, odnoszących się do jego stosunku z ja-*



kąs kobietą. Zapiski te połączyłem w całość i wydaję niniejszem na widok publiczny.

Nie ulega wątpliwości, że psychiczna organizacja ich autora należała do rzędu nienormalnych. Same już cytaty z Danta, a więcej jeszcze sentymentalne strofy z Violetty, położone na pierwszej stronie manuskryptu, są tego najlepszym dowodem. Zdaje się, że miał on nawet świadomość swego stanu, porównując się z głośnym obłąkańcem włoskim Lazzarettim, któremu Lombroso w dziele „Genjusz i obłąkanie“ obszerny poświęcił rozdział. Czyż zresztą, przynajmniej z punktu widzenia modnych dziś teoryj takich myślicieli, jak przytoczony co dopiero uczony włoski i jego zwolennicy, nie jest chorobliwym objawem przelewania uczuć w tak kunsztowną i w tak przeżyłą formę poetycką, jak kanzona, lub przemawianie dziś, na schyłku dziewiętnastego wieku, językiem biblij? Co więcej! nawet użycie rytmu i rymu dla wypowiedzania się z bólu i tem samem dla sprawienia sobie ulgi, nie jest zapewne wynikiem umysłu zdrowego. A cóż mówić o formalnem pieśczeniu się Przyrodą, odskakującym nieraz od właściwej treści ze szkodą techniki poematu?! Ale mniejsza o to: daleko znamienitszym dowodem mego twierdzenia jest cała ideowa, że tak się wyrażę, treść poematu, odzwierciedlająca duszę nieszczęśliwego, przynajmniej w pewnych jej fazach. Chęć mnie zdejmuje szczegółowszego zastanowienia się nad tem, musiałbym jednak zbyt wiele poruszyć momentów, dlatego pozostawiam wolne pole uwadze czytelnika. Skończyłbym tutaj, gdyby nie obowiązek wytłumaczenia się jeszcze z jednego powodu. Dlaczego — tak się może

ten i ów zapyta —, jeżeli zapiski posiadają znamiona chorobliwe, nie pozostały na zawsze w ukryciu?

Na pytanie powyższe tę tylko mogę dać odpowiedź: Sądziłem, że wzbudzi pewien interes obraz nerwozy, której podlega dziś większa część umysłów wybitniejszych, postawionych na przelomie dwóch epok, zmuszonych oddychać ciężką atmosferą kończącego się wieku, wychowanych w szkole najsprzeczniejszych wyobrażeń filozoficznych i społecznych, począwszy od idealizmu, przeradzającego się niejednokrotnie w wizje mistyczne, a skończywszy na najsakrajniejszym materjałizmie, gdzie deterministyczne poddawanie się losowi i panującym porządkom współzawodniczy z prometeuszowemi porywy, dążącemi do przeobrażenia duchowego jednostek i tem samem do „wyrwania bryły świata z dotychczasowych jej posad“, do nadania jej kształtów, pełnych „boskiej harmonji“ i postawienia jej na fundamentach nowych, o jakich marzy zarówno „poetyczny utopista“, jak i zimny, ale kochający cnotę i pragnący szczęścia ludzkości, z więzów brutalnego samolubstwa wyzwolony myśliciel.

Z tych przyczyn, pomimo arcyromantycznego tytułu, poemat jest, zdaje mi się, nowożytny i dlatego też, sądzę, ma pewną rację bytu.

Co się stało z autorem zapisków, nie wiem, straciłem go z oczu przed laty kilku i pomimo starań, nie mogłem dowiedzieć się o nim nic stanowczego. Przypuszczam, że, jak wielu innych, jemu podobnych, zmuszony po burzliwej, niewesołej młodości, w jakim zapadłym kącie pchać nędzną taczkę żywota.

(Przedmowa do wydania pierwszego).



1.

Bądź pozdrowiona!  
Chociaż przelalaś do mojego łona  
Ach! tyle kropel goryczy,  
Że najlotniejsza myśl nawet nie zliczy,  
Ile chwil ciężkich sprawiły mej duszy,  
Bądź pozdrowiona!..  
Dzisiaj już żadna łza ciebie nie wzruszy:  
Na licu skona,  
Przez twe błękitne niewidziana oczy,  
Gdy ciemną strugą się stoczy  
Z pod mej znużonej powieki,  
Z tego źródłiska,  
Z którego tryska  
Żalu, tęsknoty i rozpaczny strumień...

Rzeki,  
Gdy demon burzy ponury,  
Z ciężarnych urodzon mgławic,  
Strojny u czoła wężami błyskawic,  
Grom niosąc w dłoni,  
Wypadnie w dzikiej pogoni,  
Z chmury



I rwącym skrzydłem o głębie ich trąci  
 I fale zmaci,  
 Czerpią otuchę z rozkosznych rozumień,  
 Że tam u szczytu,  
 Z wnętrza Prabytu  
 Promienna jasność wystrzeli  
 I z ich topieli,  
 Podobnej teraz do spienionej lawy,  
 Uczyni taflę przejrzystą i gładką...  
 I te świeżemi porośnięte trawy  
 Wzgórza nadbrzeżne, uwieńczone wieńcem  
 Srebrnych topoli;  
 I owe brzozy, pełne melancholji;  
 I owo niebo, gwiazdami, jak siatką  
 Złotą, zasnutę;  
 I owa zorza, rumieńcem  
 Lśniąca wstydliwym, gdy z nocnego łoża  
 Powstaje, naga i hoża —  
 Dziewicza zorza,  
 Czysta,  
 Ognista,  
 Jak hymn z natchnionej wyrzucony piersi,  
 Do której wichry nie dotarły lute;  
 I owo słońce,  
 Kiedy swe gońce,  
 Błaski promienne, posyła na ziemię,  
 Każąc, by ludzie byli tutaj szerszi  
 I promienniejsi w duszy, w której drzemie  
 Zmrok nienawiści —  
 Wszystko, co nakształt czarodziejskich liści  
 Wiąże się w wielką girlandę stworzenia,  
 Będzie, przepelne rozkosznego drzenia,

W tym zdroju  
 Rzek rozchmurzonych kapąło  
 Niewinne ciało...  
 Tylko ma dusza nie znajdzie spokoju!  
 Tylko w jej toni wiecznie wicherzyć będzie  
 Zły duch orkanu, co zniszczył i ciebie...

Mogiła grzebie  
 Dzisiaj twe kształty; krawędzie  
 Dołu czarnego, co cię w wnętrzu mieści,  
 Bujnem zarosły już zielskiem,  
 O ty symbolu bezceści!  
 Ucieleśnienie upadku!  
 Wyrazie grzechu,  
 Coś przyszedł z ciałem anielskiem  
 Na świat, a miałeś w oddechu  
 Straszną zarazę dla świata!  
 Ty, kwiatku —  
 Ty, który, będąc pełen barwnej pychy  
 I wonne dla mnie rozwarłszy kielichy,  
 Struleś na zawsze młode moje lata —  
 Albowiem jadem były twe haszysze:  
 Czemu w tę wieczną nie zapadł się ciszę,  
 W tę noc głęboką,  
 Razem z śmiertelną powłoką  
 I ten duch-robak, co stoczył tak wcześniej  
 Te twoje usta różowe,  
 Tak rozpalone, gdy we śnie  
 Anioły marzeń tuliły twą głowę  
 W swych ramion sploty;  
 Gdy ja, niebiańskiej zbywszy się tęsknoty,  
 Przed majestatem skażonej miłości



Kłękaj, całunek chłonać za całunkiem  
 I, upojony tym nieszczęsnym trunkiem,  
 Na twojej piersi zasypiał przybiałej?!  
 Dlaczego duch ten pośród żywych gości —  
 Przy moim boku — i sprawia, że cały  
 Drzę i upadam i ginę  
 W tę prześladowań godzinę,  
 Kiedy on duszę mą szarpie  
 Jako piekielne te harpie?!...  
 Dlaczego, z grzechu poczęta,  
 Nademną jeszcze władnie twa potęga?  
 O bądź przeklęta!  
 Że jeszcze stamtąd ręka twoja sięga  
 Do mojej duszy, co jak kwiat jest zmięta,  
 O bądź przeklęta!...

\*

Przeklęte niechaj będą te urocze chwile,  
 Co pierwsze mnie ku twoim popchnęły ramionom,  
 Co duszę mą spaliły, jak skrzydła motyle,  
 Gdy w ogniu jarej świecy bezpowrotnie spłoną!  
 Przeklęte niechaj będzie to ucho, co dało  
 Porwać się słów twych muzyce!  
 To ciało,  
 Które do twego przyłgnęło w płomiennej  
 Słodkich całunków rozkoszy;  
 To lice,  
 Które przy twojem żarem się oblało,  
 Niechaj na wieki! na wieki  
 Będzie przeklęte!  
 Szatan daleki  
 Tego wspomnienia, co dziś osłonięte

Zmrokiem boleści,  
 Niechaj mi spokój wypłoszy,  
 Kiedy łagodny i senny,  
 W zmierzchu godzinie,  
 W której wiatr cicho szeleści,  
 A miesiąc srebrny zjawia się na niebie,  
 Spłynie  
 Na oczy, co raz pierwszy zobaczyły ciebie!

O wieżo z kości słoniowej,  
 Lecz w której miejsca nie ma dla ołtarzy!  
 O Dawidowy  
 Tumie wspaniały, gdzie się ogień jarzy,  
 Ale nie ogień świętych całopaleń!  
 O gwiazdo morska, co nad głębinami,  
 Gdzie ludzki statek dzikie fale chłoscza,  
 Lśniesz z niedostępnych oddaleń!  
 Odblask twój mam  
 Portem zbawienia, a wiedzie w sam środek  
 Bezdennej głębi, gdzie goszcza  
 Siły piekielne, co, okrętu przodek  
 W żelazne ujawszy dłonie,  
 Sztorcem ściągają go w tonie,  
 Ażeby zginał, jak ongi, z niebiańskiej  
 Strącony góry, chór duchów skrzydlaty  
 Przepadł w czeluściach Zatrady!  
 O niebieska bramo,  
 Z pereł wzniesiona i szczerego złota,  
 Ale nie nato, aby przez nią cnota  
 Swe triumfalne święciła pochody!  
 Zbrodnia rozpusty, która serce wrzody



Rozjątrzonymi toczy,  
 Bramą tą kroczy!  
 O czyste dusze kalająca plamo!  
 O fałszu, z kłamstwa szatańskiej  
 Mocy poczęty,  
 Bądźże przeklęty!...

Nie! nie! Niech słowo to na ustach skona!  
 Bądź pozdrowiona!  
 Ty potępiona  
 I umęczona  
 Własnymi winy i winy mojemu  
 Na tej tu ziemi,  
 Bądź pozdrowiona!  
 Chociaż przelalaś do mojego łona  
 Ach! tyle kropel goryczy,  
 Ze najlotniejsza nawet myśl nie zliczy,  
 Ile sprawiły mej duszy  
 Ciężkich katuszy,  
 Ze jest jak rzeka zwichrzona:  
 Ty potępiona  
 I umęczona  
 Własnymi winy i winy mojemu  
 Na tej tu ziemi,  
 Bądź pozdrowiona!

2.

Niechaj, jak dawni czynili śpiewacy,  
 Ujmę boleści rozklebione tony  
 W kunsztowne zwrotki kanzony;  
 Niech dźwięki rytmu i rymu poddźwięki,  
 Śród artystycznej związowane pracy  
 Nakształt barwistej korony,  
 Kroplą zroszonej  
 Cichej rozwagi, przytłumią te męki,  
 Co pod dotknięciem niewidzialnej ręki  
 Wiją się w sercu, jak w gnieździe swem węże;  
 Niechaj się zmienią w orężę  
 I niech odpędzą Erynyj szeregi,  
 Które, obsiadłszy dziś brzegi  
 Źródła mej duszy, patrząc w jego toń,  
 W jego pochmurne, sfałdowane ścięgi,  
 Śmieją się doń  
 Rykiem piekielnym, bo pomiędzy wały  
 Wrzęciami swoje krwawe oblicza ujrzały...

Wielcy tej ziemi, gdy żal im na karku  
 Siądzie i żądło zapuści, jak osa,  
 Umieją kupić Erosa,



Albo do Bacha po zbawczą iść radę...  
 I w tego życia haniebnym jarmarku,  
 Gdzie, przeklinając niebiosą,  
 Ta Nędza bosa  
 Kroplami potu zlewa lica blade,  
 Lukullusową sprawiają biesiadę,  
 Znalazłszy towar, co duszę uraczy,  
 Co ją wyzwoli z rozpaczyl...  
 A ci ostatni na ziemi nędzarze,  
 Gdy krwią nabiegną im twarze  
 W wysiłku z bolem, zwracają swój krok  
 Do brudnych tawern, gdzie z pijaństwem w parze  
 Rozpycha tłok  
 Naga rozpusta, tańcząca kankana,  
 Karczemnych mgłą wyziewców, miast ambry, owiana.

Komuż dziękować, że moja istota  
 Ani do tamtych ni tych nie należy?  
 Jak ongi kanzonierzy,  
 Mógłbym się chęlczyć przed zdumionym tłumem,  
 Ze wokół siebie rzucam garście złota,  
 Ale dziś fałsz tak się szerzy,  
 Że nikt nie wierzy,  
 Aby się z ludzkim godziło rozumem,  
 Zwać to metalem, co jest tylko szumem  
 Dźwięcznych akordów... Wszak prawda w tem  
 Że ani chleba kawałka, [całka,  
 Ni łyżki strawy pieśń dzisiaj nie warta!  
 A jednak taka uparta  
 We mnie natura, że dumna jest stąd,  
 Iż moja dusza to poezji karta!  
 Przebaczcie błąd,

Gdy z pod ogólnych karbów się wylamię,  
 Szukając ulg nie w dole, lecz tam! w górnym chramie!

Z Jubalowego jestem pokolenia  
 I Tubalkain ma czciciela we mnie...

Minionych wieków ciemnie,  
 Pieśnią Miriamy drżące i Debory,  
 Rytmy Homera i safijskie pienia,  
 Co ongi dźwięczały we mnie,  
 Czyliż daremnie

Mają dziś przebrzmieć obok duszy chorej?  
 Czyż, zapatrzony w dawnych skaldów wzory,  
 Cały wsłuchany w bohaterskie nuty,  
 Co, jak miecz z stali ukuty,

Umiały przelać krew dumnego wroga,  
 Miałbym zapomnieć — na Boga!,  
 Iże ból własny to nie żaden ból?  
 Czyż wszczęta w wnętrzu miłosna pożoga  
 Ma być, jak król,

Co moc nad światem dźwierży niepodzielna?  
 O nie! o nie! ja siłę przełamie piekielną!

Fryzy, zdobiące szczyty partenonów,  
 I akantowe kolumn kapitele  
 Jakież sprawiają wesele

Rannemu sercu! Nagi kształt Wenery,  
 Nawet Laokoon, choć na widok skonów  
 Swych dzieci z bólu się ścięte,  
 Niby to ziele,

Zdeptane nogą, czyż rozkoszy szczerzej  
 Nie wzbudzą w piersi, rzuconej na żery



Sępów, posytnej szukających treści  
 W Prometejowej boleści?...  
 A te mądrości pożółkniałe księgi,  
 Gdzie wyraz swojej potęgi,  
 Która jest krewną bóstwu, zamknął człek?  
 Te papyrasy, gdzie gad miał swe łęgi  
 Przez wieków wiek,  
 Czyż, wydobyte dziś z zapomnień pleśni,  
 Nie wyrwą duszy z cierpień tych ponurej cieśni?  
 A te zagadnień bezdenne źródlika,  
 Ciemne, jak Stygu tajemnicze fale?!  
 Przebrzmiały wszystkie twe żale,  
 Gdyś raz się w wód tych zanurzył błękanie —  
 Taka z nich siła zapomnienia tryska!  
 Idź! śpiesz się! gruntuj wytrwale:  
 Są tam opale,  
 Przy których ogniu rozpoznasz niezbicie  
 Bytów początek i koniec; czem życie  
 I czem jest śmierci nieuchronna władza:  
 Ha! Rzeczy skryte głąb zdradza:  
 Może się dowiesz gdzieś na dnie tej rzeki,  
 Że już ten czas niedaleki,  
 W którym nad śmiercią weźmie człowiek moc  
 I że nad bóstwem zawładnie na wieki,  
 Jak nad dniem noc!  
 I czem są — mówcie — wobec tego rany  
 Z nieszczęsnych rąk kobiety, tej bez czci, skalanej?  
 A to Przyrody obnażone piękno,  
 Co skier słonecznych wita nas uśmiechem  
 I ziół wiosennych oddechem,

Czyż nie uśmierzy boleści poziomej?  
 Niech przed Naturą myśli moje klękna,  
 Niech z bożych gońców pośpiechem  
 Lecą za echem  
 Tych hymnów wielkich, co biją, jak gromy,  
 Albo tak huczą, jak morze o złomy  
 Skał poślubionych, albo tak szeleszcza,  
 Jako te wiatry, gdy pieszcza  
 Rozmłowane w ich poszumach sosny...  
 O, niech za dźwiękiem wiosny,  
 Wybawion z ziemskich łańcuchów, mój duch  
 W jeden się pean zamieni radości!  
 Niech wszystkich słuch  
 Wyteży w stronę, gdzie wabi Przyroda,  
 Wieczyście nieskalana i wieczyście młoda.  
 Rozradowany, jak ów wyzwoleniec,  
 Na zaobłoczone niech się wzniesie szczyty,  
 Gdzie każda z gwiazd swe zenity  
 I swój ma przestwór, dla którego miary  
 Nie znaleźć w mózgu człowieka, a wieniec  
 Z gwiazd miljonów uwity!  
 W tej ziemi skryty  
 Niech wnuknie skarbiec i pozna jej czary!  
 Łon wulkanicznych tajemne pożary  
 Niechaj zeń spluczą to powszednie błoto;  
 Jak drogi metal niech oto  
 W tym świętym ogniu z żużli się oczyści!...  
 Jako ci z legend ogniści,  
 Rozanieleni duchowie z swych ran  
 Wili dla bóstwa, niby z krwawych liści,  
 Mistyczny wian,



Tak niechaj duch mój, w miljonów światy  
Zapatrzon, z rąk Przyrody otrzyma stygmaty...

O niechaj idzie na łąki i pola,  
Niech się przypatrzy, jak się ziarno rodzi  
Z nasiennych pyłków powodzi,  
Które wiatr z kłosek przenosi na kłoski,  
By się spełniła niewidzialna wola!  
Kiedy to serce się wrodzi,  
Gdy się, jak złodziej,  
Chyłkiem do wnętrza wciska Szatan troski,  
Niech duch się śpieszy podziwiać ten boski  
Wymiar Przyrody, co dłońmi możnemi  
Przeznacza atomek ziemi  
Lub jedną kroplę, jako brylant lśniącą,  
Na władztwo bytów tysiącom...  
O niechaj idzie! Ogarnie go dziw,  
I nad boleścią zawładnie piekącą,  
I będzie żyw,  
I będzie takie wydzwaniał harmonje,  
Jak rzeki, co swe źródła mają w opok łonie...

Jak ta kanzona, nie wypadnie z granic,  
Życia-artysty zakreślonych palcem...

I już nie żadnym służalcem,  
Lecz panem będzie tej niskiej boleści,  
Która mu serce potargała na nic,  
Duszę na równi z padalcem  
Stawiła...

## 3.

Rwiesz się kanzono? W twej treści  
Nie ma więc dla mnie cudownego słowa,  
Co na trąd duszy leki w sobie chowa?  
A więc na zawsze mam być, jako człowiek,  
Któremu cieką z pod zmęczonych powiek  
Łzy na żywota potarganą kartę  
Za tem, co płaczu i żalu nie warte?  
Chciałem być blaskiem, co skry w pomrok rzuca  
I martwe byty do życia ocuca,  
A oto jestem dziś cieniem nad cieniem!  
Ze wszystkich stworzeń najlichsze stworzenie  
Więcej ma w sobie jaśniejącej mocy,  
Niżeli duch mój, podobien do nocy,  
W której przed chwilą szalał orkan dziki,  
Co, pogasiwszy złotych gwiazd promyki,  
Obłoków czarne pozostawiał szmaty,  
Jako z legendy ów potwór skrzydlaty:  
Zerwał się z ziemi, strzepnął się u góry  
I świat zasypał ciężarnymi pióry,  
A z nich tej samej zrodziły się doby  
Pomór straszliwy i inne choroby,



Nawiedzające i ciało i duszę; —  
 Powodzie, grady, bezlitośne susze,  
 Czerwie, co drzewa najwybrańsze niszczą,  
 I te sporysze, któremi się pryszczą  
 Kłosa, jak raną, z owych piór powstały...  
 Chciałem być surmą wiosenną, co cały  
 Tłum podeptanych ziół do walki budzi  
 Przeciwno zimie, a oto się truzi  
 Daremnie pierś ma, by okrzyk bojowy  
 Wyrzucić z siebie nad zgębnionych głowy!  
 Głos w niej zamiera i, jak siła mściwa,  
 Jeszcze pierś moją, zamierając, zrywa,  
 Jeszcze ją truje, ażeby z jej czary  
 Nigdy ożywcze nie trysły nektary...  
 I czym jest człowiek? Świecą, którą gaszą  
 Lada powiewy, nędzne ćmy, co straszą  
 Dzieci, do izby wleciawszy wieczorem,  
 Umieją blask jej swoim skrzydłem skorem  
 Zamienić w ciemność... Niestety! niestety!  
 I czym jest człowiek? jakież ma zalety?  
 Brzmieniem organu, co huczy tak długo,  
 Dopóki w niego dmiesz powietrza strugą,  
 A gdy się spruje przypadkiem szew miecha,  
 Wnet się urywa i ginie bez echa...  
 I czym jest człowiek? kwiatem, co świeżemi  
 Płonieje barwy, dopóki ze ziemi  
 Pył się nie wzniesie i na kwiat nie spadnie...  
 Nie ma swej woli: siła nad nim władnie,  
 Która nie z jego wypłynęła łona,  
 Lecz z gry przypadków swawolnych zrodzona.  
 Tylko, że nieraz ta swawola losów  
 Woła o pomstę do głuchych niebiosów,

Tak jest nikczemna, ach! i tak jest krwawa  
 Ta z wolą czleka słabego zabawa!  
 Niema ratunku! Z zaklętego koła  
 Żadne zaklęcie wybawić nie zdoła,  
 Chyba śmierć tylko, ten posłannik boży,  
 Gdy swój całunek na wargi położy...  
 O śmierci, bolejących jesteśw zbawicielko!  
 Schorzałej wyobraźni przytępione dłóto  
 Nie rzeźbi cię w porfirze, ani w ametyście,  
 Na wzór antycznych kamei,  
 Pięknej wieczyście  
 I uśmiechniętej promieniem nadziei,  
 Lecz twarz nadaje ci lułą,  
 Gdzie zamiast wargi różowej, zroszonej  
 Wonnego miodu kropelką,  
 Lśni zimna i cuchnąca martwość żółtej kości!  
 A zamiast oczu, wabiących błękitem  
 Źródlisk najczystszych w życiodajne strony  
 Wieczności,  
 Dwie puste jamy,  
 Jak dwie piekielne bramy,  
 Szyderstwem, nakształt gadu, w ich cieniu ukrytem,  
 Od ciebie odstraszą, patrzaj! duszę wszelką,  
 O śmierci, bolejących bytów zbawicielko!...

Ze sfer, gdzie myśli ludzkiej opadają skrzydła  
 Na widok zmian przedziwnych, gdy to, co dziś pada  
 Przeżyte do mogiły, jutro z brzaskiem zorzy,  
 Na mocy prawidła,  
 Którego rozum nie zbada,  
 Powstaje w nowych kształtach, młodością promien-  
 [nych;



Ze sfer, gdzie żywot wieczny, ten pierwiastek boży,  
 Dany jest wszystkim bytom,  
 Począwszy od amfibij i ziół niskopiennych,  
 Od nikłych infuzoryj, co wody kropelką  
 Pomiedzy sobą w częściach dzielą się tysięcznych,  
 A ukończywszy na człeku,  
 Który od wieku do wieku,  
 Śród trudów, z jego życiem nigdy nierozłączonych,  
 Z swych myśli i swych uczuć przedzie złotolita  
 Tkań, przez eony ciemności szarpaną:  
 Ze sfer, gdzie jasne rano  
 Czeką po nocy zmroku  
 Walczącą duszę wszelką,  
 Spłyn ku mnie w światła potoku,  
 O Śmierci, bolejących bytów zbawicielko...  
 O Śmierci, ty Madonno, pędzłem Rafaela  
 Rzucona w poetycznym zachwycie na płótno,  
 W spokoju ócz niebiańskich kryjąca serdeczny,  
 Łagodny uśmiech wesela,  
 A w ustach swych, zamkniętych, jak pękówka róży,  
 Mieszcząca urok, przedwiecznej  
 Pelen boskości,  
 Którego troska ani wiek nie zburzy —  
 Niel ty Wenero, którą mistrz z Werony  
 W figowym gaju podpatrzył i potem,  
 Słonecznem oblaną złotem,  
 Czarem okrutną,  
 Potomkom w nieśmiertelnym przekazał obrazie,  
 Że dziś w ekstazie,  
 Z przepelnionemi łony  
 Podziwem i pragnieniem, stają skamieniałi:  
 Do wymarzonych włości

Zabierz mnie dzisiaj, gdzie się duch nie żali,  
 Gdzie rozkosz sączy kropła za kropelką —  
 O Śmierci, bolejących bytów zbawicielko!...

W objęciach twoich ramion, toczonych z marmuru,  
 Na piersi stokroć bielszej ponad alabastry,  
 Objąwszy biodra twoje, krągłejsze nad linje,  
 Którymi zataczają skrzące gwiazd szeregi  
 Elipsoidalne biegi  
 W wieczornej godzinie,  
 Wśród chóru  
 Harmonji sfer —  
 Z źrenicą zapatrzoną w twoich źrenic astry,  
 Z ustami, chłoniącemi z twoich ust kielicha  
 Rozkoszny żer,  
 Nakształt tej pszczoły,  
 Co z kwiatów czerpie woniejące miody —  
 Niechaj się cały rozplynę w wszechbycie!...  
 Niechaj to życie,  
 Co dziś się w jednej skupiło postaci  
 Boku i nędzy,  
 Zatraci  
 Dotychczasowe znamiona!  
 Niech się przemienię u twojego łona,  
 O ty przecicha  
 I uśmiechnięta czarodziejko boża,  
 W tysięczne kształty: w powietrze,  
 W ogień i krople błękitnawej wody:  
 Niech wniknę w wszystkie żywioły,  
 W wszystkie jestestwa, co w wszechżycia przedzy  
 Różnobarwnemi są niemi: w owady,  
 Co się z ziemnego wychylają łoża,



By w jednej chwili zagubić swe ślady;  
 W poziomą trawkę, w ślepy kwiat paproci,  
 W jaskier, co łąki nam złoci!...  
 A jeśli znajde, o Śmierci, przed tobą  
 Łaskę, to w lilje zmień mnie, nad śnieg bledsze,  
 W róże czerwiejsze od krwi!  
 Tylko po końcu tych smutnych dni,  
 Okrytych czarną żalobą,  
 Niechaj najmniejszą nie wnknę kropelką  
 W byt ludzki, o złamanych jestestw zbawicielko!...

Przeklinam świat, bo w jego przepaścistej cieni,  
 Gdzie, patrzaj! szatan Pychy z Rozpustą się miota,  
 Wśród kazirodczych uścisków  
 Rodzą się plody, co z błysków  
 Słonecznych nic w swej duszy nie mają bezbożnej...  
 Przeklinam świat, tak trwożny,  
 Gdy posmutniała zbliża się doń Cnota,  
 A taką czelność mający w swem oku,  
 Takie promienie odwagi,  
 Gdy doń w pośpiesznym kroku  
 Biegnie Występek nagi;  
 Kiedy go chwytą w swój szalony taniec  
 I w rozburzonej piersi skrę rozżęga,  
 Co nie miłością jest, lecz tchem lubieżnym,  
 Warzącym wszystkie uczucia,  
 Gdy wystrzelają nad kraniec  
 Zepsucia,  
 I hamującym tę myśl, gdy wybiega  
 Z poziomych gnieździsk i ginie  
 W złotej krainie —  
 W niebios przestworze bezbrzeżnym...

Przeklinam go ostatnią krwią i lzy kropelką  
 Ostatnią, zrozpaczonych bytów zbawicielko!...

Kochałem dawniej ludzi  
 I żyć pragnąłem zawsze  
 Dla wszystkich nieszczęśliwych, którym rany, krwaw-  
 Od Chrystusowej boleści [sze,  
 Zadają życia oszczepty,  
 Gwoździe i ciernie...  
 Dziś się nienawiść budzi:  
 Jej syk mi w uszy szeleści,  
 Ażebym, głuchy i ślepy  
 Na nędzę świata.  
 Deptał niewiernie  
 Własnego brata...  
 O tak! ta miłość przeczysta, co chciała  
 Przygarnąć wszystkich do serca, dziś na nic!...  
 Na nic? W nienawiść zmieniła się cała,  
 Ach! w tę nienawiść bez granic...  
 O, żyć już dłużej nie mogę!  
 Pokaż mi swoją drogę,  
 Zanim szlachetność wszelką  
 Utracę w dziwnym tym boju!  
 O ty spokoju!  
 Cisza niebieska! Szczęśliwości zdroju!  
 O Śmierci, padających jestestw zbawicielko!

Pokaż mi drogę i zamknij te wargi,  
 By z nich daremnie nie sączyły skargi,  
 Aby nie rzucał na grób ten przekleństwa,  
 Gdzie śpi przyczyna mego męczeństwa,  
 Mego upadku i mojej niemocy...



Poco żyć jeszcze, gdy duch jest sierocy?  
 A zawsze będzie osamotnion w tłumie  
 Duchów, swych braci, kto kochać nie umie.  
 Gdyż tylko „miłość zamienia step świata  
 W ogród rozkoszy i ludny“, gdzie brata  
 Człek widzi w bracie i przy jego boku  
 Żar czuje w piersi i pogodę w oku!...  
 A już nieszczęście nad sercem się ślania,  
 Co utraciło zdolność miłowania...  
 A kto w nienawiść zmienił ogień święty,  
 Będzie po trzykroć przeklęty! przeklęty!...  
 Ona jest winna, że mnie ręka karze,  
 Jakiej najwięksi nie czuli zbrodniarze;  
 Że zapomniałem w tem życia pustkowiu  
 O serca zdrowiu i o duszy zdrowiu;  
 Że, utraciwszy świadomość swej woli,  
 Stałem się nakształt wyciągniętej roli,  
 Gdzie już miłości kwiat dziś nie wystrzela,  
 A tylko pną się jadowite ziela,  
 Co wśród korzeni, wśród łodyg i liści,  
 Chowają soki zgubnej nienawiści...



4.

O jak łagodny żar  
 Spływał z jesiennych nieb  
 Na ziemię, rodzicielkę owoców soczystych;  
 Jak ten lazurów sklep,  
 Co się o brzeg jej wsparł,  
 Tysiącem blasków drżał  
 Przepromienistych,  
 A wonnych, jak żywica, którą w sosny wlał  
 W rosach kroplistych  
 Skapany Anioł przyrody...

Szumiał jaworów liść,  
 Ptak jeszcze w krzewach grał,  
 Schylonych nad obliczem rozszepanej wody;  
 Ku słońcu uśmiech słał,  
 W czerwoną strojny kiść,  
 Rozkwitłych astrów wian:  
 Pełen pogody,  
 Jakby nie miały zadać mu już ran  
 Zimowe lody,  
 Wszystek świat tonął w rozkoszy...



A przecież blask ten i ta woń rzeźwiąca  
 Były ostatniem świadectwem żywota...  
 Za chwilę klombów szmaragdowa zieleń  
 Miała się zmienić w czerwieniastą żółtość,  
 Naksztalt rumieńców, płonących na twarzy  
 Pergaminowej suchotnicznych bytów...  
 Ale jak człowiek, dotknięty zaniku  
 Straszłą chorobą, nie przeczuwa końca,  
 Tak i świat wówczas, zdało się, nie wiedział,  
 Że duch zniszczenia, przyodziany w śnieżną  
 Płachtę zimową, zbliży się za chwilę  
 Od stron północnych i mroźny swój oddech,  
 W lód ścinający niebieskie jeziora,  
 Srebrzyste rzeki i stawy, ujęte  
 W ramiona grobli, usypanych w piasku  
 Glinkowatego, rozleje na drzewa,  
 Na traw kobierce i kwiatów korony...  
 I jam nie wiedział, że szczęście, którego  
 Pierwsze promienie zajaśniały dla mnie  
 W oczach błękitnych, gdyśmy razem, pomnisz,  
 Na owej ławce usiedli, w jaworów  
 Cimnej alei — ach! i jam nie przeczul,  
 Że miało zgasnąć tak prędko, że miało  
 Bezbronną stać się ofiarą nieczystych  
 Sił, czyhających na wesele czleka...  
 Miałem ze sobą wtedy księgę świętą,  
 Hymn Salomona, w którym już niejednen  
 Dzień kapaliśmy wyobraźnię naszą...  
 I wśród uroków jesiennej przyrody  
 Jąłem ponownie czytać ci ustępy  
 Psalmu miłości, którą, jak powiada,  
 Scholastyk boży, pała Jezus Chrystus

Ku Kościołowi, swej Oblubienicy...  
 I ty mi rzekłaś: „O słuchaj! na zawsze  
 Zostanę twoją i służyć ci będę,  
 Jako Sulamit swojemu wybrańcy.  
 Z duszą otwartą, jak ów kielich lilji,  
 Chodziłam dotąd po ziemskim ogrodzie,  
 Szukając rosy ożywczej, lecz nigdzie  
 Niepokalanej nie dostrzegłam kropli.  
 Stałam, by jabłoń rozkwitła na słońcu  
 I plon niosąca, lecz dotąd nie było  
 Godziwej ręki, coby zerwać mogła  
 Ten zrumieniony mój owoc... O słuchaj!...  
 Hermon i Sanir, Amara i Liban  
 Czyż na swych szczytach, pachnących żywicą,  
 Widziały cedrę, wonniejszą ode mnie?“  
 I wtedy z głową, oplecioną zwojem  
 Pukli czarniawych, przechodzących w kolor  
 Wieczornej zorzy, kiedy słońce krwawo  
 Zaszło po burzy, ale stokroć miększych  
 Od jedwabnistych włókien, z których ongi  
 Królewskie w Kedar przedzono namioty,  
 Lekko na mojej wypoczęłaś piersi...  
 I oczy twoje, nawpół przysłonięte  
 Zróżowionemi u dołu powieki,  
 Jakby kto rozlał atom karmazynu  
 Na alabaster, zwilżony kryształem  
 Rosy porannej, zwróciły się wtedy  
 Ku moim ustom, rozwartym nad tobą  
 Z nieslychanego podziwu... Wymowne  
 Były te oczy: w ich blaskach tak cichy,  
 A tak zdradliwy usiadł demon śmiechu,  
 Tak do niezwykłej wabiący rozkoszy,



Że mimowoli przeszedł dreszcz me kości...  
 Czulem, że płomień na twarz mi wystąpił  
 I że nie jestem panem swojej woli...  
 Chciałem się zerwać, młody i w Platona  
 Boskiej mądrości zakochan, wielbiący  
 Rdzeń seraficznych zachwyty świętego  
 Mistrza z Assyżu... Wtem dłoń twą uczulem:  
 Zdawało mi się, że na mojej ręce  
 Wypieczę stygmat, który bardziej pali  
 Od czerwonego żelaza... I w uszy  
 Wśliznął się szept twój, jak żmija Edenu,  
 Co, odsłoniwszy nagość praczłowieka,  
 Śmierci Ablowej stała się przyczyną,  
 Duszy niewinnej, w dziecięcej pokorze  
 Szczytne ofiary składającej bóstwu —  
 I że morderca Kain, syn Adama,  
 Stał się tułaczem na ziemi, biegunem,  
 Który, na czole mając bratobójcy  
 Niestarte piętno, nie znalazł spokoju...  
 „Stój! stój!” szepnęłaś... „Taka filozofja  
 I takie władną prawidła w wszechświecie,  
 Że ponad wszystko jest miłość, nie we mgłę  
 Sfer zaobłocznych zrodzona, lecz tutaj,  
 W naszych uściskach i w naszych całunkach...  
 Stój! stój! jeleniu, sunący z wzniesioną  
 Głową po górach Beteru, twa lania  
 Dzisiaj przy tobie!... Z tych kwiatów ostatnich,  
 Z mchów, co skrywają korzenie jaworów,  
 Uścielmy gniazdo, zanim czas przeminie,  
 Zanim ta młodość, która gra nam we krwi  
 Pieśń nad pieśniami, zamilknie na zawsze...“  
 I usłuchałem... I wtedy raz pierwszy

Z duszy, w mistyczny zakowanej pancerz,  
 Hymn mi wytrysnął bluźnierczy, że niema  
 Potężniejszego bóstwa ponad ciało...  
 O nienawiści! ty liljo wśród cierni!  
 Różo sarańska, zerwałem cię wówczas  
 Ręka, drgająca od żaru, którego  
 Żadne poezji nie określi słowo...  
 O serce, zmaż ludzkich żądzt nietknięte!  
 Ty jasny zdroju, błyszczący w Hezbonie  
 Tuż podle bram Batrabinu! Zmąciłem  
 Wówczas na zawsze tem zbrodniczem tchnieniem  
 Głęb twą lustrzaną, że stała się ciemną,  
 Jak noc sodomska... A jednak — szpikanard,  
 Szafran i kasja, galban i snop myrry —  
 Wszystkie kadzidla, jakie tylko rosną  
 W Raju, nad brzegiem świętych rzek: Eufratu  
 I Chydekelu, nad strumieniem Fuson  
 I nad Gihonu czystemi wodami,  
 Niczem są, niczem przy woni, co z ciała  
 Twego plynęła, gdym twe piersi krągłe  
 Tulił do warg mych na łożu, zaslanem  
 Purpurą wielkiej miłości... Hewile,  
 Ziemię, gdzie złota rodzi się obfitość,  
 Gdzie jest onychyn, kamień drogocenny,  
 Stokroć ognistszy ponad ogień słońca,  
 Kiedy w południe zaśmieje się usty  
 Iskier pełnemi — wszystkie kosztowności,  
 Gdybym był władcą Tyru i Sydonu,  
 Oddałbym, patrzaj! za jedną sekundę  
 Owej rozkoszy, która wnętrza mego  
 Gmach, zbudowany z prawd i pojęć, szczęście  
 Dających tłumom, zmieniła od podstaw...



Ach! niezapomnę przenigdy tej chwili,  
 Kiedy, zbudziwszy się ze snu, co ujął  
 Piękne twe kształty, z białego marmuru  
 Canowy dłótem rzeźbione subtelnem,  
 I odchylone zobaczywszy piersi,  
 Z okiem, wstydliwie odwróconem ku mnie,  
 Chciałaś ich czary przysłonić... Twą rękę  
 Schwyciłem wtedy i rzekłem: „Nie skrywaj  
 Wdzięku, co odtąd jest dla mnie busola,  
 Pokazująca, jak i dokąd dążyć...  
 Niema już dla mnie tajemnic: Wieczystym  
 Połączyliśmy się już dzisiaj ślubem:  
 Chociaż jarzące nie płonęły świece  
 W ciemnym kościele, przystrojonym w kwiaty,  
 Chociaż nam organ nie brzmiał: Przybądź Duchu!  
 I łaskę swoją zlej na dwie istoty,  
 Które chcą razem iść na bój życiowy,  
 Chociaż nam kapłan od Pańskich ołtarzy  
 Z wnętrza wzajemnych nie wyciskał przysiąg,  
 Choć tłum ciekawych nie wytrzeszczał oczu  
 Na suknię białą, z koronek uszytą,  
 Myśmy wieczystym związani już ślubem!...  
 I twoja dusza jest już moją duszą,  
 I twoje serce jest już mojem sercem,  
 I twoje ciało jest już mojem ciałem —  
 Niema już dla mnie tajemnic, o niema!“  
 I założyłem twą rękę na szyję,  
 I, wpół cię z miękkiej podniósłszy murawy,  
 Włos rozpleciony, splywający ciemną,  
 Jako ten wieczór, co się zbliżył, falą,  
 Obsypywałem tysiącem całunków...  
 I odtąd mężem byliśmy i żoną...

Lecz wnet nasz związek dziwne wziął znamiona:  
 Przestał spokojem być i używaniem  
 Wśród idyllicznych poszumów ogrodu,  
 Przy szmerze wody i blasku księżyca,  
 A stał się walką, albowiem, przemienion  
 W duszy i sercu, rozwinąłem sztandar,  
 Na którym krwawy widniał napis: ciało!  
 I z fanatyzmem Lazzarettich jałem  
 Obalać dawny porządek, stawiając  
 Na miejscu świątnic o gotyckich oknach,  
 Wzniesionych z uczuć, strzelających w niebo,  
 Przybytek szczęścia, w którego podwoje  
 Wkraczały zmysły, nagie i z rumieńcem  
 Na świeżych licach... I rzekłem do ludzi:  
 „Skrzydła Ikarów, posklejane woskiem,  
 Rzućcie od siebie, a natomiast silną  
 Antejów stopę postawcie na ziemi...“  
 Ale potęgi dawnych bożyszcz, w sercu  
 Mojem zamkniętych, nie umiałem stłumić;  
 Z pod popieliska spalonej katedry  
 Jęły podnosić swe głowy, zlorzecząc  
 Nowym idolom... I wszczął się bój straszny,  
 W którym me siły słabły coraz bardziej...  
 Próżno u ciebie szukałem pomocy;  
 Wilgny całunkiem zamykałaś usta,  
 Kiedy, spieczone od wewnętrznej walki,  
 Jaką dwie siły prowadziły we mnie,  
 Szeptaly: pomóż! niech ten bój się skończy!  
 Na lzy — wyznaję, żem płakał jak dziecko  
 Niedoświadczone, wątłe, nie mające  
 Hartu męskiego, albowiem w uściskach  
 Twojej miłości, zdradliwa Dalilo!



Znikały z wolna wszystkie jego ślady —  
 Na lzy, na prośby ty zawsze jedyną  
 Miałaś odpowiedź: „Takie we wszechświecie  
 Władną prawidła, że to, co urosło  
 Z ciała, dla ciała wojować powinno!  
 Patrz, aby ludzie, żyjący na ziemi,  
 Coraz to większy zdobywali skarbiec  
 Ziemskiego szczęścia...” I znowu wznosiłem  
 Głowę i znowu walczyłem w twe imię...  
 Lecz nieprzyjazne twym hasłom demony,  
 Mające we mnie dawne swe gnieździska,  
 Z coraz to większą rozpierały mocą  
 Głęb mojej duszy... Nie mogąc już dłużej  
 Znieść gigantycznej rozterki, złamany  
 I zrozpaczony, rzuciłem ci w oczy  
 Wyrzut, na który dziś jeszcze truchleję...  
 Nic nie odrzekłaś, raz tylko przy dźwiękach  
 Fortepianu usłyszałem słowa  
 Z ust twych płynące, które mi na zawsze  
 Zostały w uszach, słowa Violetty:  
 „Szczęścia i bólu wnet mijają chwile...  
 Niedługo spoczne na wieki w mogile,  
 Krzyż na mym grobie nie stanie miłośnie,  
 I świeża lilja nad nim nie wyrośnie,  
 Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie!  
 Miej nad skruszonym sercem zlitowanie...”  
 „Kłamiesz!” krzyknąłem, wpadłszy do pokoju,  
 „Pełna obłudy jesteś, tak jak jadu  
 Pełen jest blekot, który, patrzaj! rośnie  
 Pod twojem oknem... Zniszczyłaś na wieki  
 Duszę człowieka, co dziś gardzi tobą,  
 I dziś ponownie chcesz go w swoje siła

Uwikłać sztuką nędznych sentymentów...”  
 I znowu byłaś milczącą, jak przedtem...  
 Podniosłaś tylko głowę, a z żrenicy  
 Gniew ci wytrysnął, by wnet w żal się zmienić,  
 Jak mi się zdało, obłudny... Odszedłem  
 I unikałem odtąd twoich spojrzeń...  
 Stałaś się zimną... Zamknięta w pokoju,  
 Gdy towarzysza utraciłaś we mnie,  
 W dźwięki muzyki przelewałaś boleść,  
 Pośród akordów, wśród dziwnie starganych,  
 Smutnych melodij powracając zawsze  
 Do tej przeze mnie pohańbionej pieśni:  
 „Szczęścia i bólu wnet mijają chwile...  
 Nie długo spoczne na wieki w mogile,  
 Krzyż na mym grobie nie stanie miłośnie,  
 I świeża lilja nad nim nie wyrośnie,  
 Ze swej opieki nie puszczaj mnie Panie,  
 Miej nad skruszonym sercem zlitowanie...”  
 A gdy ostatni podzwiek w dali zgiął,  
 Po kilku jękach, wycięśniętych strunom,  
 Do jęku wichrów podobnych, gdy w słotnej  
 Rozpocznie porze dać wśród wierz b odartych,  
 Zabrzmiała znowu przejmująca strofa:  
 „Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie  
 Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,  
 Gdy o mnie biednej pomyślisz inaczej,  
 Wtedy niech Bóg cię schroni od rozpaczy...”  
 I czas ten nadszedł... Spoczęłaś w mogile,  
 Którą dziś chwasty okrywają dzikie...  
 Znalazłaś spokój, a mnie, jak Kaina,  
 Ściga przekleństwo słowami twej pieśni:  
 „Szczęścia i bólu wnet mijają chwile...”



Nie długo spocznię na wieki w mogile,  
 Krzyż na mym grobie nie stanie miłośnie,  
 I świeża lilja nad nim nie wyrośnie,  
 Ze swej opieki nie puszczaj mnie, Panie!  
 Miej nad skruszonym sercem zlitowanie...“  
 Gdzie nogą stąpnę, tam twój duch jest przy mnie  
 I oczy swoje, w których gniewu blaski  
 W cichą się boleść zmieniają, zatapia,  
 Jako sztylety w me serce, a w duszy  
 Wciąż owe jęki sący mi żalobne,  
 Niezapomniane słowa Violetty,  
 „Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie  
 Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,  
 Gdy o mnie, biednej, pomyślisz inaczej,  
 Wtedy niech Bóg cię chroni od rozpaczey...“  
 I czas ten nadszedł! o nadszedł! o nadszedł!  
 I lata trwa już ma rozpacz i końca  
 Cierpień nie widzę, widzę tylko ducha  
 Twego przy sobie, jak mi serce pali  
 Skrą swego wzroku, jak mi w uszy sący  
 Przerażające słowa Violetty!  
 „Ach! czas nadejdzie, gdy w skruchy godzinie,  
 Strumień łez gorzkich z oczu ci popłynie,  
 Gdy o mnie, biednej . . . . .“

2.

## MIŁOŚĆ - GRZECH



Μύντις εἰμι' ἐσθλῶν ἀγώνων.

Sofokles. „Oedip. Colon“.

Ein deutsches Mägdlein mag von Bechern nippen,  
Die fader Maitrank füllt; seit meine Lenze  
Von dannen flogen, ist, was ich kredenze,  
Kein Honigseim für jungfräuliche Lippen.

Dranmor. „Requiem“.

U w a g a. Obok działaczy, dążących w ucieleśnieniu ideału społecznego do tych tylko przeobrażeń, które leżą na drodze rozwoju politycznego, istniał i u nas przed niedawnym jeszcze czasem, a może i dzisiaj nie wymarł zupełnie typ „światoburców“-utopistów. — Szlachetne porywy tego rodzaju głosicielei nowych porządków, podsycane gorącą krwią młodzieńczą, pragnęły niejednokrotnie wprowadzić praktycznie w czyn pojęcia, w których idealistyczne teorie Rousseau'a o uszczęśliwieniu się ludzkości przez „powrót na łono natury“, przeważną grały rolę. Teorie te, odnoszące się głównie (dodawać tego nie potrzeba), do stosunków seksualnych i rodzinnych, usiłowano z mniejszą lub większą ścisłością uzasadnić aparatem naukowym, zaczerpniętym z dziedziny wiedzy przyrodniczej. Że w walce przy urzeczywistnianiu tych teorii apostołowie ci ulegali, nad tem rozwodzić się byloby zby-



tecznem: szczęśliwymi mogli się nazwać, jeżeli, straciwszy wśród nadludzkich zapasów wiarę w możność nadania idealom swym kształtów pochwytnych, nie utracili wiary w zasadniczą (z ich punktu widzenia) idealów tych słuszność; szczęśliwszymi, jeżeli z winy ich zasad nie ucierpieli inni, dający posłuch nowej ewangelji, a najmniej do przejęcia się nią podatni.

„Bohaterem“ niniejszego poematu jest jeden z moich dawnych znajomych. Był to człowiek, posiadający wszelkie warunki, ażeby stać się nadzwyczaj dodatnim w społeczeństwie czynnikiem. Nieszczęśliwa miłość, pojęta odpowiednio do jego przekonań, którym nie chciał zadać kłamu w swem życiu, doprowadziwszy go niemal do zbrodni, rozbudziła w człowieku, wręczając się do czynu z zapalem apostołskim, pesymizm, w którego zimnych objęciach stał się jednostką zupełnie bierną. Smutny ten fakt tem smutniejsze wywołał wrażenie, że nieszczęśliwemu pozostała świadomość winy, wynikającej z utraty wiary w dawne ideały, a zabrakło mu już siły, ażeby się z „grzechu“ tego otrząsnąć.

Walka, naszkicowana w poemacie niniejszym, należy zapewne, mimo wszystko, do kategorii przebojów, nie pozbawionych znamion szlachetnych, i z tej też przyczyny — pobłażliwy na słabości ludzkie czytelnik wybaczy mi zarozumiałość — zastosowałem do siebie w nagłówku Sofoklesowe słowa

*Μάντις εἴμ' ἐσθλῶν ἀγόνων.*

Z innych względów niech mnie wytłumaczy przytoczony powyżej cytat z wspianalego „Requiem“ Dramora.

(Przedmowa do pierwszego wydania).

1.

... . . . . Tak! tak! próżne żale  
 Próżne, powiadam... Kochałem: mój Boże,  
 Niema stworzenia tu na tym kawale  
 Twojego świata wielkiego, a może  
 I tam u góry, gdzie rój planet złoty,  
 Jak kule z ognia, płonie w twym przestworze,  
 Niema zapewne żyjącej istoty,  
 By w sobie nie uczuła miłosnej tęsknoty.

2.

Nic więc dziwnego, że przyszła godzina,  
 W której się miłość zbudziła i we mnie.  
 Ha! może to wam dziwnem być zaczyna  
 Że ja kochałem całkiem nadaremnie?  
 Żłem się wyraził: że przez moją miłość  
 Dusza się w straszną pograżyła ciemnię,  
 Żem z wielką myślą utracił zażyłość,  
 Żem padł, jak owe jabłko, pożarte przez zgnilość.



3.

Raczie to tylko rozważyć w swej głowie,  
 A i stąd drogą wnet wyjdziecie krótką;  
 Wszak to wam dzisiaj każdy z ludzi powie,  
 Że czar pożądań nie równa się skutkom;  
 I to wam powie, w jak wielkim są błędzie  
 Ci, co mniemają, że miłość w bielutką  
 Stroi nas suknię, jak pierze labędzie,  
 I stawia nas w aniołów uskrzydłych rzędzie.

4.

Nie! jej początek nie rodzi się w niebie,  
 Lecz ma swe gniazdo tu, w tem grzesznem  
 Cóż więc dziwnego, jeśli człeka grzebie [ciele;  
 W przepaściach zbrodni?!... Naiwni minstrele,  
 Plaksy-rzezańce i mdlejące grona  
 Bezkrwistych dziewic w liljowe ziele  
 Wieńczą jej skronie dokoła, a ona  
 Od żarów wskroś występnych, choć skrytych, czerwona.

5.

Patrzcie! tak, patrzcie! co ze mnie zrobiła!  
 Cień tylko został z dawnego człowieka!  
 Jej demoniczna, bezlitośna siła,  
 Niby orkanem rozburzona rzeka,  
 Zerwała brzegi mej skalanej duszy;  
 Tak, precz odemnie myśl odbiegła wielka!  
 Dziś, jak zwierz dziki w niedostępnej głuszy,  
 We wnętrzu mojem ryczy, zrywa się i puszy...

6.

Tak, precz odemnie myśl odbiegła wielka!  
 Co? śmiech wam z piersi wychodzi na usta?  
 Nie zawsze celem była mi butelka  
 I w gronie trutniów pijanych ta pusta  
 I poszarpana gawęda... Jam dawniej  
 Sądził, że dusza, jak biblijna chusta<sup>1)</sup>,  
 Na sobie wielką ową myśl ujawni,  
 Że stanę się jak ongi bohaterzy, sławni...

7.

Wiedziecie, co chciałem? Ni mniej ani więcej,  
 Jak tylko zmienić te świata porządk!  
 Mózg mi się palił od ognia gorącej,  
 Ażeby wszystko zdruzgotać na szczątki,  
 Gruz dawnych świątyń porzucić pod nogi  
 I dawnych wierzeń pochować w nim wątki;  
 Z uroku dawne poobdzierać bogi  
 I stanąć na ich grzbiecie, jak mąż złotorogi.

8.

I jako mąż ten, Mojżesz, ów wybraniec,  
 Inne ludowi chciałem dać ustawy,  
 Zakończyć grzeszny wokół cielców taniec,  
 Przekleństwa piorun rzuciwszy nań krwawy;  
 Zdrój chciałem żywy wydostać z opoki,  
 Manę sprowadzić, ziemię zmienić w spławy  
 Mleka i w miodu soczyste potoki —  
 O tak! tak krąg tej myśli mojej był szeroki.

<sup>1)</sup> Chusta św. Weroniki.



9.

Od czegom pragnął — tak mnie się pytacie —  
 Rozpocząć wielkie odrodzenie bytu,  
 By zajaśniała ziemia w majestacie  
 Szczęścia dla wszystkich? by nie było zgrzytu  
 W symfonji życia?... Od jądra wszechrzeczy —  
 Tak! od miłości, od tego zachwytu  
 Wieszców natchnionych, od tej słodkiej cieczy,  
 Co — mówią —, niby cudem, ludzkie rany leczycy...

10.

Pragnąłem zdrzeć tę maskę obludy,  
 W którą ascetów schorzałe pojęcia,  
 Lub moralistów kuglarskie prysiudy  
 Twarz niebiańskiego skrywają dziecięcia.  
 Tak! do widomej pragnąłem zasady,  
 Czystej, jak przedmiot, godny wniebowzięcia,  
 Podnieść pierwiastek bez śmiertelnej wady,  
 Pierwiastek, co wytwarza jestestw mirjady.

11.

Koń się nie skazi, ani pies, ni trzoda  
 Wieprzów, spełniając wszechpotężne prawo,  
 Jakie swym tworom naznacza Przyroda,  
 Aby utrzymać byt świata; z obawą,  
 By się nie zbrukać, tylko człowiek dłonie  
 Wznosi po owoc, który dolę krwawą  
 Zgotował jego praszczurom... W koronie  
 I źródle wszego życia żar nieczysty płonie...

12.

Tak nauczają!.. Tak jest! mówię szczerze...  
 A przecież ongi wierzyłem inaczej!  
 Gdym wzrok w Milońskiej zatapiał Wenerze,  
 Kiedy się dusza jej nagością raczy,  
 Myśl wtedy wielka zawitała w głowie,  
 Żar niecąc w sercu. I chciałem ślimaczy  
 Żywot przemienić w twardy bój i w mrowie  
 Tych ludzi hasło-m rzucił: „Bądźcie jak bogowie!”

13.

Tak! jak bogowie, nadzy w swoim czuciu  
 I w swem myśleniu... I gdy orle skrzydła  
 Rwały mnie w górę, wszelkiemu zepsuciu  
 Jąłem urągać... I w swoje prawidła  
 Świat ten ująłem — cały świat dokoła...  
 A co mnie w zdradne uwikłało sidła,  
 Żem dziś stracony? Miłość!... Że u zola  
 Mam piętno strasznej hańby, winna miłość zgoła!...

14.

I tak upadłem... Widzicie, jak nisko!  
 Myśl wielka zmarła, a tylko co nocy  
 Wraca jej upiór na moje łożysko  
 I gniewem strzela, jak kulami z procy;  
 Na pierś się rzuca, palce, jak postronki,  
 Naokół szyi, z niesłychanej mocy  
 Dusząc, okręca; ubezwładnia członki,  
 Że są, jak z drzew odcięte, suche, martwe płonki...



15.

Bo trzeba wiedzieć, że myśl to nie tylko  
 Jakaś abstrakcja, jakieś coś bez ciała,  
 I że się kończy na zawsze z tą chwilką,  
 Gdy jej w człowieku zbrodnia cios zadała.  
 Nie! ona żyje, jak homunkuł jaki,  
 Tu, w całym wnętrzu; tym rumieńcem pała,  
 Tem okiem świeci, kreśli szczytne znaki  
 Tą ręką, temi stopy wielkie mierzy szlaki.

16.

A kiedy człowiek zmieni w grób się dla niej,  
 Wówczas jej upiór, błędząc za kresami  
 Swych form dawniejszych, powraca z otchłani  
 Nieokreślonych światów, aby z nami  
 Czynić rachunek — mścicielem powraca,  
 Sumienie czleka krwią wyrzutów plami  
 I tak męczarnią morderstwo odpłaca  
 I tłum nieszczęsnych nowym nieszczęsnym wzbogaca.

17.

Co noc go widzę — zaledwie przymrużę  
 Zmęczone oczy... Łachman ma podarty  
 Na zgiętych plecach; w twarzy jamy duże,  
 Jak bramy piekiel, poprzez które czarty  
 Prowadzą duszę na wieczyste męki.  
 W jamach tych ogień, we dwa kłęby zwarty,  
 Wraz się w tysiączne rozpryskuje pęki  
 I rośnie w miarę tego, jak rosną me jęki...

18.

Naprzód, do łóżka zbliżywszy się cicho,  
 Prawie na palcach, śmiechem mnie przywita,  
 Niemym, dwuznacznym, jak uliczne lichy;  
 Tak mnie polehce, jak grzeszna kobieta;  
 Jak nałożnica po twarzy popieści,  
 Potem, ach! potem zębami zazgrzyta,  
 Niby grzechotnik, kośćmi zaszeleści  
 I dusi, że snąc skórę zostawi bez treści.

19.

I urągania, niby garście żwiru,  
 Sypie mi w oczy i wyszydza moją  
 Nicość dzisiejszą i grozi, że miru  
 Już tu nie znajdzie; że mi się podwoją  
 Ta moja hańba i ten ból — słyszycie?  
 Którego żadną nie odtrącę zbroją,  
 Jeżeli będę włókl dalej to życie,  
 Jeżeli sam nie skończę, jawnie albo skrycie.

20.

Tak, tak — powiadam, ten upiór mi każe,  
 Bym w waszych oczach skreślił tę chuścinę,  
 Zrobił pętlicę i, zmyliwszy strażę  
 Wiernych przyjaciół, w samotną godzinę  
 Ot! tak do studni — albo tam! w izdebce,  
 Na tem okienku!... Że odrazu zginę,  
 Niby jak mucha, lub dziecię w kolebce,  
 Lub szczenię — tak to widmo do wnętrza mi szepce...



21.

Z tych butów szydzi i z tego surduta —  
 Że jest wytarty? Że na łokciach dziury  
 Nieomal świecą?... Nie! nie! Inna nuta  
 Tych naigrawań, co mi brzmią, jak chóry  
 Wrogich demonów... Owóz tem mi w oczy  
 Miecie ten upiór, jak burza ponury,  
 Że tak być miało, iż mój grzbiet otoczy  
 Płaszcz — mówię — apostołski... O! tak, płaszcz pro-  
 [roczy...

22.

I że mnie ścigać będą miliony  
 Tych, których zbawić mogłem swoją wolą;  
 I że mnie przeklnie zamiar niespełniony;  
 Że moją duszę, jak węże, okolą  
 Wszystkie te zbrodnie, które przyszłość splodzi,  
 Ten grunt, podatny występkom i bolom  
 Przez to, żem, tonąc w miłosnej powodzi,  
 Nie zasiał na nich ziaren, z których szczęście wschodzi.

23.

Bo ja wam mówię — słuchajcie! że człowiek  
 Jeden jedyny — tak się często dzieje —  
 Może od razu, niby drgnięciem powiek,  
 Swą wielką myślą przemienić koleje  
 Całego świata... We mnie myśl ta była  
 I już, już miałem otworzyć wierzeje  
 Nowego gmachu, gdy wtem zła mnie siła,  
 Jak piórko, od tych bramic jasných odtraćila.

24.

Jak to się stało?... O nielitościwi!  
 Ostatnie byście wnętrzości wydarli...  
 Macie je, macie!... Człowiek tak się żywi  
 Ścierwem swych braci, jako zwierz... Zaparli  
 Pyszni się ludzie z wilkiem pokrewieństwa,  
 A są od niego krwawszi... Trutnie, karli!  
 Od najmniejszego najmniejsi maleństwa!  
 Człek wielki da wam dzieje swojego męczeństwa....

25.

Kiedym ją poznał, miała lat — ja nie wiem —  
 Może szesnaście, lub też osiemnaście —  
 Wiek, w którym dziewczka staje się żarzewiem...  
 Przy innych była jak róża przy chwaście,  
 Albo piwonja wśród traw gorejąca...  
 Cała — płomienne czyniła napaście  
 Na zmysły człeka, niecąc w nich bez końca  
 Rozkoszny żar, jak ogień lipcowego słońca...

26.

Bywałem często w ich domu; jej matka  
 Nieraz mnie nawet zwała swoim synem,  
 Jakkolwiek wielka z niej „arystokratka“,  
 A tacy ludzie gardzą prostym gminem...  
 Prawda, co do niej to mawiała zawsze,  
 Że darzy wstępu uczuciem jedynem  
 Chłopstwo, od gadu ziemnego plugawsze,  
 Dla innych juścić było jej oko laskawsze...



27.

A więc i dla mnie, bo — mówiąc *ab ovo* —  
 Nie urodziłem się pod żadnym plotem,  
 W żadnych pokrzywach, pod bylicą płową,  
 Pośród łopianu... O nie! mnie łomotem  
 Jędrnych konarów nie głuszył wiatr dziki  
 Pierwszego płaczu, ani jarem złotem  
 Nie popieściły słoneczne promyki,  
 Ni muszki mi brzęczały, ni polne koniki...

28.

Tak sielankowy nie był mój początek...  
 Pałac, prawdziwy pałac w wielkim mieście,  
 O białych murach i pełen dziesiątek  
 Świetlanych okien, przytułku niewieście,  
 Niby mej matce, udzielił... Co chcecie!  
 Zawsze jest lepiej, niżli w drzew szeleście  
 I marnych trawek, wydać na świat dziecię  
 W szpitalnym, pośród pańskich wygod, gabinecie.

29.

I byli wszyscy świadkami momentu,  
 W którym się na świat nowy prorok zjawił;  
 Siwy profesor, zziąjany do szczeru,  
 „Fakt demonstrował“, szczęście błogosławił,  
 Ze wszystko poszło niesłuchanie gładko;  
 Rój młodych uczniów wzrok i uszy pławił,  
 Schylon badawczo nad proroka matką  
 I wsłuchan w słowa mistrza, „ciekawe, jak rzadko“.

30.

Tylko mój ojciec nie przybył — dlaczego?  
 Wiecie, mój ojciec wielkim był artystą —  
 Tragikiem pono... Niech go bogi strzegą!  
 Jam go nie widział przenigdy... Ognistą  
 Musiał mieć duszę, kiedy tak zapłonął  
 Ku mojej matce, co — prała chórzystom  
 Lichą bieliznę... Wiatr po nim powionął,  
 Bez śladu znikł, dziś pewnie ducha już wyzionął.

31.

Lecz mniejsza o to! Świat pójdzie swą drogą,  
 Tak samo pójdzie me opowiadanie:  
 „Arystokratka“ nie kopnęła nogą  
 Dziecka miłości, któremu posłanie  
 W niewłasnej izbie zgotowały losy...  
 „Trudno“ — mawiała — „rzucać pomstę na nie:  
 Z nieba spadają jak niebieskie rosy,  
 Lub grady, które z żniwa dają czeze pokłosy“.

32.

Zresztą, trza wiedzieć, że ich państwo całe  
 Było, jak kozuch bez welny, jak futro,  
 Zżarte przez mole, doszczętu zleniałe,  
 Ja zaś przed sobą wielkie miałem jutro  
 I byłem dla nich tą cudowną gąbką,  
 Którą swym licznym wrogom wargi utrał,  
 Co, dzikim żbikom równi, nie gołąbkom,  
 Rzucają ich niedolę na pastwę swym ząbkom...



33.

To jest w ten sposób myślała nie ona,  
 Moja wybrana, lecz jej rodzicielka...  
 Ma Beatrycze, ku mnie rozpalona,  
 Była tak czysta, jak ranna kropelka,  
 Kiedy na gwoździk rumiany upadnie;  
 Jasna jej miłość i, jak morze, wielka,  
 Głębin tych w sobie nie skrywała zdradnie,  
 Gdzie potwór samolubstwa niepodzielnie władnie.

34.

Niel W moje sieci wkiął ją ten boży  
 Duch, co przenikał wówczas moje serce:  
 Owo proroctwo o złocistej zorzy,  
 Mającej spłynąć na ziemi kobierce,  
 Bujnie rozkwitłej pod mej myśli wiewem;  
 Skra moich oczu znajdowała w skierce  
 Jej ócz swą siostrę... Byłem dla niej drzewem  
 Z legendy, gdzie liść każdy drży czarownym śpiewem.

35.

Drżała naprzemian, naprzemian rumieńce  
 Twarz jej zlewały, gdy jej myśl roztoczył,  
 Jako się ludzie przemienili w jeńce  
 Niskiej obłudy, odkąd krok ich zбочzył  
 Z dróg, które bytom nakreśla Przyroda;  
 I że się przez to kres szczęścia odroczył,  
 Ze szczęście ludziom rękę wówczas poda,  
 Gdy staną się w swych czynach przejrzysti, jak woda.

36.

Ze to nastąpi, gdy ród ludzki wszystek,  
 Idąc za głosem Natury, precz rzuci  
 Ze siebie sztucznie przykrojony listek.  
 Bo nie to w czleku chęć nieczystą cuci,  
 Co jest otwarte, ale to, co gaza  
 Zdradna osłania, płodzi rój złych chuci;  
 Ze grzech stąd płynie i wszelaka zmaza,  
 Szerząca się po świecie, jak trądu zaraza.

37.

Ze taką gazą jest mądrość człowieka,  
 Gdy naga miłość stawia między zbrodnie  
 I kształt ludzkiego uczucia obleka  
 W płat, z którym może aniołom wygodnie,  
 Lecz nie nam, ze krwi i kości stworzeniom;  
 Ze trzeba inne zaświecić pochodnie —  
 Niech przy ich blasku ludzie się nie lenią,  
 Poznawać, że są ludźmi, miłość z prawdą żenią...

38.

Onego czasu helleńscy mędrcomie  
 Tę prawdę duchem pochwycili szczytnym:  
 Z wód nieskalanych, rumiana, jak zdrowie,  
 Z wzrokiem, jak niebo wiosenne, błękitnym,  
 Rodzi się naga, czysta Afrodyta,  
 Symbol miłości, który był uchwytnym  
 Dla ludzkich źrenic, bogini, spowita  
 W ludzkiego urok ciała; jako kwiat — kobieta!



39.

I pokąd Venus dzierżyła swe berło,  
 Naokół bioder nieodziana szmatem,  
 Póty i miłość równała się z perłą,  
 Jak tonie czystą; w jej źródle, bogatem  
 W promień niebiański, nie znalazłeś brudu:  
 Zbrodnia rozpusty oświadczyła światem  
 Z chwilą, gdy zastęp śmiertelnego ludu  
 W Izydę tajemnicach począł szukać cudu.

40.

Tak! tak! pamiętam; gdym jej mówił o tem  
 Na naszych długich przechadzkach, wśród woni  
 Lipin rozkwitłych i pod słońca złotem;  
 Śród łąk, gdzie owad w rozkosznej pogoni  
 Wzlatywał z kwiatka na kwiatek; wśród kłosów  
 Żyta, na pulchnej szumiącego błoni;  
 Śród dźwięków pieśni, pod sklepem niebiosów,  
 Rozbrzmiałych słodką nutą przetysiącznych głosów;

41.

Gdym jej tłumaczył, że te drzew konary  
 Ze pnem się wiążą przez miłość; że ziola  
 Stroją się w koron mnogobarwne czary  
 Ręką miłości, co wian u ich czoła  
 Tchem swym spłodziła i na nowych przyjście  
 Koron wciąż nowy rzuca blask dokoła;  
 Ze zapłodnione przez nią kłosów kiście  
 Wydadzą jutro ziarno, sypiące rześcicie;

42.

Że dla kobiety najwznioślejszą chwałą,  
 Którą nam surmą jerychońską głosić  
 I wielbić hymnem chaldejskim przystało,  
 Jest: zostać matką, w łonie swoim nosić  
 Przyszłych pokoleń żyjące ogniwa;  
 I że tem chryzmem, którym trzeba zrosić  
 Związki bytów, winna być ta żywa  
 Krynica, co nie z ustaw, lecz z uczuć wypływa —

43.

Gdy moje słowa mieszały się z echem  
 Boru ciemnego; gdy majestatycznie  
 On mi wtórował i świeżym oddechem,  
 Wonią żywicy, sypał ustawicznie,  
 Niby kadzidłem, na cześć Wszechmacierzy,  
 Co wśród swych płodów, rozsianych przelicznie  
 Po łąkach świata, (świat u stóp jej leży)  
 Królowej samowładnej złote berło dzierży:

44.

Wówczas wśród drogi moja Beatrycze  
 Nieraz stawała i, jako lilje,  
 Niebieskie oczy topiąc w me oblicze,  
 Swą ręką białą objęła mą szyję  
 I na me usta, drżące od tej świętej  
 Skry, co się w głębi naszej duszy kryje,  
 Kładła całunek — niemy, niepojęty  
 W rozkoszy swej, z uczucia serdecznego wszczęty.



45.

A gdym jej wspomniał, że nawet wśród tłumów  
 Myśl o dniu nowym swe odbłaski ciska,  
 Że szumi nakształt nieuchwytnych szumów  
 Drzew, co wyrosły nad brzegiem urwiska;  
 Że matka moja, ta kobieta z gminu,  
 Nieraz mnie, dziecku, szeptała, jak bliska  
 Jest już godzina potężnego czynu,  
 Co zmieni świat — godzina szczęścia i wawrzynu;

46.

Jak się ruszają gdzieś uczeni ludzie,  
 Jak nawet ojciec, który był tragikiem  
 I filozofem i wszelkiej obłudzie  
 Wytaczał walkę, o wszystkim językiem  
 Prawił natchnionym, że przyjdzie niebawem  
 Dzień, gdzie nikt ostrem nie zrani przytykiem  
 Matki za — miłość; i że wszystkim prawem  
 Dla świata będzie serce, choć dziś tak jest krwawem:

47.

Gdym jej to wspomniał, wnet szepnęła ku mnie.  
 Że pragnie matce ucałować ręce;  
 A na me słowa, jako matka w trumnie  
 Legła już dawno po przebytej męce,  
 Z ocz jej, widziałem, czysta łza pociekła  
 I usta zmlkły, jakby niemowlęce —  
 O ja wam mówię, gdyby tylko rzekła,  
 W tej chwili byłbym za nią poszedł i do piekła!

48.

I ona za mną — tak! I ona, wierście,  
 Byłaby za mną poszła do ciemności  
 Hadu... I poszła!... poszła! Ha! rozgrzeszcie  
 Wy ją z tej winy, co wśród naszych kości,  
 Rozgrzanych ogniem pożądań odrazu  
 Rodzi się w pełnym rynsztunku, z miłości  
 Rodzi się — ludzkiej, nakształt tego płazu,  
 Co z słońca wiosennego powstaje rozkazu.

49.

I głów ta wina ma tysiąc, jak owy  
 Płód, wylęgnięty w starogreckiej baśni...  
 W nas zaś zabrakło mocy Heraklowej,  
 By wyjść zwycięsko z tej krwiozerczej waśni,  
 Która się wszczęła z rozpędem żywiołów,  
 A tak gwałtownie, że — lampę zagaśnij,  
 Albo źrenice wykluj z ocznych dołów,  
 To blask nie szybciej w zmroku przemieni się olów.

50.

Ramię tej winy, żelaziste ramię,  
 Precz odepchnęło postać zbawicielki,  
 Chłodnej rozwagi, która jedna łamie  
 Zastęp złych duchów i ich zakus wszelki...  
 Tak! nad rozwagą, która w wnętrzu mięści  
 Wszystką rozterkę kojące kropelki,  
 Silniejszy grzech był, urodzony z treści  
 Uczucia, gdy je ciało dotykem zbecześci.



51.

Moja Beatryks, ona, co rozwarte  
 Miała te usta, kiedyś z głębi swojej  
 Rozwijał przed nią nowej wiary karte,  
 Naraz idei spełnionej się boi:  
 Błada, śnać martwa, jak małżonka Lota,  
 Stanie przede mną, swe serce rozkroi,  
 W którym się boleść, wstyd i skrucha miota,  
 I jęknie: „twa nauka to grzech! grzech! nie cnota!...”

52.

„Tak! grzech!” powiada, „albowiem nie czuje  
 Odwagi w sobie, aby we świat rzucić  
 Jasne spojrzenie... Wstyd się za nią snuje,  
 Widzi to dziś już, gdzie tylko obrócić  
 Pragnie swe kroki... Wszyscy wokół ludzic  
 Nie poprzestaną jej żywota klócić  
 Głośno lub cicho, hołdując obłudzie,  
 Tem słowem, co w ulicznym zrodziło się brudzie.

53.

„I świat ma słuszność, gdyż w powszechnym głosie  
 Drży echo boże... Tak ją nauczone  
 Wierzyć i w martwym upadną pokosie  
 Ci, którym inna myśl wypełni łono...  
 Tak! dawną wiarę, ongi przez me słowo,  
 Przez moje zdradne pokusy stłumioną,  
 Dziś wstyd w jej wnętrzu rozbudził na nowo,  
 Zapóźno, aby tego nie opłacić głową...”

54.

„Niema ratunku!... Świat ma swoje śluby,  
 Które Bóg nadał, aby z pierworodnej  
 Oczyścić winy — miłość i od zguby  
 Uchronić człeka; Szatan, jak zwierz głodny,  
 Krąży, by zepchnąć go w przepaść bezprawia...  
 Ślub niema władzy po czynie, a zgodny  
 Głos ludu między publiczne nas stawia:  
 Choć pójdziem do ołtarza, dawny wstyd się wznawia...”

55.

Tak więc, widzicie, od razu straciła  
 Moja Beatryks poczucie zadania,  
 Odrazu niska owładła nią siła,  
 Co na wyżyny ludziom wejść zabrania,  
 Na te wyżyny, z których człowiek wzgardę  
 Rzuca na przesąd i, chcąc panowania  
 Światła, ku niebu wznosi czoło twarde,  
 By chmury niem rozedrzeć, swą ciemnością harde...

56.

A ja?... Przenigdy nie zapomnę chwili,  
 W której się grzech mój narodził śmiertelny --  
 Rozbrat z mą myślą... Wszyscy, jacy byli  
 Syci żywota, tej jego beczelnej,  
 Zbrodnią, lub bólem poranej twarzy;  
 Ci, co ginęli od trucizny zielnej,  
 Albo od jądów zwierzęcych, lub wrażeń  
 Potęgi metalicznej, która na śmierć parzy --



57.

Wszyscy ci biedni i nędzni, co w ziemi  
 Niepoświęconej znaleźli wythnienie,  
 W grobie samotnym, zarosłym marnemi  
 Trawy, przeklętym, w niepamięci cienie  
 Na wieki wieków rzuconym z prostaczej  
 Tłumów pogardy: czyż większe cierpienie  
 Czuli nade mnie, gdy ona rozpaczy  
 Okrzykiem „jestem matką!“ boleść swą zaznaczy?!....

58.

Nie!... Ja wam mówię: odbiegły mnie zmysły!  
 Jakby pod wpływem szatańskiej hipnozy,  
 Odrazu wszystkie marzenia me przysły,  
 A na ich miejscu stanął obraz grozy:  
 W mej myśli wielkiej, w apostołstwie mojem  
 Ujrzałem zbrodnię wśród wszetecznej pozy,  
 Rozpustę w płasach z bezwstydnym Opojem,  
 Nierządnic i pijanic otoczoną rojem...

59.

I zaciążyła nade mną przewaga  
 Względów, któremi walczy tłum... I w uszach  
 Bily mi gromy, jaka hańba naga  
 Moją Beatryks w swych objęć katuszach  
 Będzie trzymała na zawsze; że wszyscy,  
 Co pozór cnoty mają w swoich duszach  
 A są, jak węże i jaszczurki, ślisicy,  
 Plwać będą i do nizin spychać, sami niscy.

60.

I uwierzyłem w krwawy wyrzut matki,  
 Żem nie prorokiem, ale kusicielem;  
 Że jestem z gminu, a z gminu odpadki  
 Tylko wyjść mogą; że trującym zielem  
 My, dzieci gminu, wiem się, zepsuci  
 W jądrach serc naszych, sycący weselem  
 I szczęściem innych swe poziome chuci —  
 Że trujem, w swym oddechu, jak dżuma, zatruci.

61.

Że się wśliznąłem chyłkiem do ich domu,  
 Jak pies skomlący z zimna, by za ciepło  
 I za kęs chleba zgotować in sromu  
 Straszną biesiadę, która krew zakrzepłą  
 Rozburzyć może, albo ściąć wzburzoną;  
 Że jej źrenica była wskroś ośleplą,  
 Gdy nie dostrzegła od razu, iż stroną  
 Ode mnie czart nie chodzi, lecz wnikł w moje łono.

62.

Że w każdym dźwięku mego słowa drżało  
 Ohydne kłamstwo; kłamstwem wszystkie mary  
 O mej przyszłości, co się nigdy w ciało  
 Oblęc nie mogła, bo warunki wiary  
 W nią były kłamstwem... W każdym moim ruchu  
 Fałsz się kołysał, a największej kary  
 Ten fałsz jest godzien w mych fałszów łańcuchu,  
 Przez który zamieszkałem w Beatryczy duchu...



63.

Trzeba mnie było odegnąć od progu,  
 Bo hańbą jest już dla dobrej rodziny,  
 Jeśli nędzarze, powstałi z barlogu,  
 Wśród niej są gośćmi, płody ludzkiej winy,  
 Wytwory grzesznych pożądań... Cóż na to  
 Rzec, gdy je człowiek weźmie na swe syny!  
 Trzeba mieć duszę w bezczelność bogata,  
 By znieść wyrzuty zacnych — ze czci swojej stratą!...

64.

Tak! Ja wam mówię, byłem w takim stanie,  
 Że mi się zdało, jako gmach się wali,  
 Płonąc, nade mną: tu pada wiązanie  
 Na grzbiet mój waty, gniecie go i pali,  
 Tam gruz się sypie na głowę rozpiekły,  
 A tu w płomieni groźnej, ciężkiej fali  
 Wzrok utracilem, tu już śmierć orzekły  
 Zarzewia, co mi w gardło gęstą lawą ściekły...

65.

I jałem wierzyć w prawidła ascety,  
 Męża, co, żywot straciwszy na puszczy,  
 Przestał już ludzkiej doznawać podniety,  
 Jaką się kała ciało grzesznej tłuszczy —  
 Męża, co głosi, że miłość tak długo  
 (Świętych wam księga tę prawdę wyluszczy)  
 Bskich promieni rozlewa się strugą,  
 Dopóki nie zostanie materji sługa.

66.

I ponurego mądrość filozofa,  
 Którą gardziłem, świadom celów życia,  
 Wiedząc, że człowiek to Dantejska strofa,  
 Mająca w sobie początek spowicia  
 Dalszych strof, naprzód płynących bez końca —  
 Owóż ta mądrość, co pragnie ubicia  
 Ludzkich pokoleń, zmieniła mnie w gońca  
 Swojego: tak! z jej wroga stał się jej obrońca...

67.

I pod jej wpływem jeła, niby z ziarna  
 Demonicznego, myśl kielkować we mnie,  
 Jak piekło wrząca i jak piekło czarna —  
 Myśl, którą stłumić pragnąłem daremnie:  
 W jednej sekundzie ach! do tak potwornych  
 Wzrosła rozmiarów, że mą duszę w ciemnię,  
 Nakształt jesiennych pomroków wieczornych,  
 Zmieniła: by je przedrzeć zbrakło sił odpornych...

68.

I, korzystając z rozpaczliwych wzruszeń,  
 W jakie mnie swoją wprawiła boleścią  
 Biedna Beatryks, poczęła w pokuszeń  
 Wikłać mnie sidła: „Patrzaj! wszystką treścią  
 Ludzkiego życia to nicość“ — tak szepce,  
 Weiaż mi do ucha z słodyczą niewieścią,  
 Albo szczebiocąc, jak dziecię w kolebce,  
 Lub cedząc słowa mędrca, co zakony depce.



69.

„Siła Samsona to garść nędznych włosów...

Kulka z ołowiu, kawał martwej stali,

Kropła rozczyń dostarczy pokosów

Ludzi, co oto po żywota fali

Płyną z potęgą pancerniczej lodzi...

Człowiek“ — tak kusi mnie ów Szatan dalej —

„Przynosi z sobą, gdy na świat przychodzi,

Tę słabość, z której śmierć się wraz z występkiem

[rodzi...“

70.

Śmierć i występki!... Boże!... Boże!... Boże!...

To dwie przyczyny niedoli człowieczej!

Zgnieść je w zarodku kropła płynu może...

Kropelka płynu spłucze zło wszechrzeczy —

Śmierć i występki! W obrębie przestworu

I czasu niebytu zawładnie — od cieczy,

Którą sam człowiek spragniony pomoru,

Wycisnął z roślin bagnisk, albo z jagód boru...

71.

I tajemniczą, wnet zapędzon burzą,

Naraz stanąłem we wnętrzu jej domu

I rzekłem do niej: „Ludzie zbrodni służą!

Przyszedłem ciebie ratować od sromu,

Zniszczyć choć jeden występku zaczątek —

Tak! tak! występku!... Dotychczas nikomu

Grzech nasz nieznan... Masz! pij!... Oto wrzątek,

Co, paląc, wsiąknie w zbrodnię, w jej najskrytszy kątek...

72.

Tak! kusicielem byłem... Tak! przyznaję...

Ale czas jeszcze!“ „A ty, słuchaj, pani!“ —

Rzekłem do matki — „zbrodnia pozostaje

Zbrodnią, choć człowiek ma święcenie dla niej

W swoich ustawach: małżeństwo, czy miłość

To jeden grzech jest!... Tak! co duszę rani

I co ją strąca na zbrodni pochyłość,

To ta łącząca ciała grzesznych żądza opiołości...“

73.

I potem naraz oswładła mną cisza;

Jakaś ukryta chytrałość truciciela,

Podstęp złodzieja, jakiś spryt hołusza

Opięły duszę moją naksztalt ziela,

Co się owija wokół pniów... Błagałem

O przebaczenie, jako już wesela

Nie znajduję odtąd w mojem życiu całem —

A potem... że są środki... znak tajemny dałem...

74.

Lecz gdym z ócz matki, blyszczących niezdrowo,

Poznał, że nie trza było mojej rady,

Wówczas szal dziki porwał mnie na nowo.

Z krzykiem „zbrodniarki! trucicielki! gady!“

Nóż pochwyliłem, aby ostrze jego

Utopić w łonie tych kobiet... Sąsiady

Na krzyk się zbiegli i mnie, szalonego,

Wynieśli... Ten, widzicie, ten był koniec złego...



75.

Tak! ten był koniec mej wielkiej miłości,  
Co mi zabiła wielką myśl... A one?

W ich domu dzisiaj cześć i honor gości;

Nikt o tem nie wie, że zbrodnią splamione...

Beatryks moja — szczęśliwa, ma męża,

Co prostą drogą zdobył sobie żonę,

Drogą do — ślubu, tak, jak każą — księża:

Ich prawda zwyciężyła! tak! i wciąż... zwycięża...

3.

## AMOR VINCENS

(FRAGMENT Z DZIEJÓW IDEALISTY)



*There was a Poet...*

Shelley. „Alastor“.

*Wszystko się dziwnie plecie  
Na tym tu biednym świecie,  
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,  
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.*

Jan Kochanowski. „Pieśni“. (II. 5).

. . . . . i pomogła mu młoda niewiasta,  
Ellenai . . . . .

Słowacki. „Anhell“.



1.

Był pewien człowiek, co, „jak Dant za życia“ —  
W dniach swej młodości — przeszedł przez pałac  
„Katusze piekła“. Ze swego ukrycia,  
Gdzie nigdy złote nie zajrzało słońce,  
Jakowyś demon pędził do rozbicia  
Łódź jego duszy poprzez fale wrzące  
Namiętnych szalów i dążeń, niezwykłych  
Dla jestestw słabych i, jak atom, nikłych.

2.

Podniosłe cele, co, jak gwiazdy, płoną  
Na horyzoncie ludzkich usiłowań  
I nieśmiertelnej zasługi korona  
Skronie tych wieńczę, którzy, mimo knowań  
Szatańskich, czyste zachowali łono,  
Zdolne do rajskich złud i rozkoszowań,  
W dziwne w nim duch ów łączył amalgama  
Z tem, co jest niskie i brudne, jak plama.



3.

Pycha i ludzi pogarda i żądze  
 Zakosztowania trującego płynu,  
 Gnuśność, co złote zamyka wrzeczadze  
 Owej świątyni, w której ołtarz czynu  
 Pnie się gotycki, oto, jak pieniądze  
 Zdrajcy Judasza, będącego z gminu  
 Sług Mamonowych, chciały na Golgotę  
 Oddać w nim człeka zbawiającą cnotę.

4.

Chciały na zawsze — tak! bez zmartwychwstania  
 Jasnej nadziei przybić w nim do krzyża  
 Ową pokorę, łagodną, jak lania,  
 A która przecież śmiertelnika zbliża  
 Ku sferom bóstwa i giąć się zabrania  
 Przed pysznym światem; pańskiego żołnierza  
 Zapal, co nigdy w drodze się nie trudzi,  
 Chciały w nim zabić wraz z miłością ludzi.

5.

Nie było chwili, by się w jego duszy,  
 Od lat najmłodszych wychowanej w znoju,  
 Te dwie potęgi, jak w pustynnej głuszy  
 Dwie tygrysyce, nie rwały do boju,  
 Co najsilniejsze wnętrza w niwecz kruszy  
 Ostrzem wysiłku, obuchem rozstroju —  
 Nie było chwili, aby w tej rozterce  
 Spoczęło walką potargane serce.

6.

Daremnie pragnął ukojeń; zmęczony  
 W tej twardej drodze, jak Orestes, biczem  
 Krwawych Erynyj smagany, obrony  
 Szukał w źródliku wiedzy tajemniczem,  
 Popod gwiazdziste chodził nicbosklony,  
 Na ziemię padał z splakanem obliczem  
 I pod razami tych siekających batów  
 Usta przyciskał do traw i do kwiatów.

7.

Lecz blaski słońca i gwiazdy i zorze,  
 Świty poranne i tęczowe wstęgi  
 I ziół zapachy i rosy, co w morze  
 Sebrne się łączą, i uczone księgi  
 Nie potrafiły na spokoju łożę  
 Rzucić szalonej demonów potęgi,  
 Ormuzdowego nie miały zakłęcia,  
 By w pył rozproszyć wrogie przedsięwzięcia.

8.

Daną mu była przez łaskawe bogi  
 Zdolność, nad wszystkie ponętniejsza skarby,  
 Że mógł żywota nagie, ostre głogi  
 Przemieniać w róże Poezji i farby  
 Zlewać cudnemi pył ten, co się nogi  
 Naszej uczepia; umiał wtłaczać w karby  
 Kunsztownych zwrotek, pełnych wzniosłej treści,  
 Nadmiar szarpiącej mu duszę boleści.

15075





9.

Więc też i teraz, gdy mu wnętrze toczy  
 Walka pierwiastków, złożonych w naturze  
 Wszystkiego człeka, jał błagalne oczy,  
 Jak zwierz, prowadzon na rzeźniczym sznurze,  
 Zwracać w tę stronę, gdzie pośród przezroczy  
 Stref wymarzonych, w królewskiej purpurze,  
 Jako latarnia wśród morskiej przystani,  
 Świeci ta wielka, ta królewska Pani.

10.

Ale, o! zgrozo! w źrenicach Królowej  
 Przygasł ten promień, co ongi wykrzesza —  
 Bywało — żar mu ze serca; lodowy  
 Smutek, jakiego nie zaznała rzesza  
 Chodzących dołem, zwarł jej usta; z głowy,  
 Zamiast warkoczy, tłum się węzów zwiesza,  
 Złączon na szyi w skamieniałe guzy,  
 Jak u mitycznej, straszliwej Meduzy.

11.

Błagał, zaklinał, wil się, jak gadzina,  
 U stóp jej martwej potaci — daremnie!  
 W piersi z marmuru życie się nie wsczyną,  
 Zbielałe oko nie zmienia się w ciemnie  
 Źródeł głębokich... Nadzieja jedyna,  
 W bolącej duszy żywiona tajemnie,  
 Że w niej, w Poezji, zbawcze znajdziecie leki,  
 Razem z jej okiem zgasła snąc na wicki...

12.

Nie! Być nie może! Jeszcze raz się rzuci,  
 Jako Pigmaljon na jej kształty z głazu,  
 Ognia się jeszcze w tem łonie docuci!  
 Wszak niepodobna, aby tak, od razu,  
 Miało żywotnej pozbawić się chuci,  
 Skutkiem Szatanów skrytego rozkazu,  
 To, co młodzieńczą duszę wczoraj jeszcze  
 W silne wprawiało i rozkoszne dreszcze.

13.

I, jak Pigmaljon, ale z rozpustnika  
 Pożądliwością, zrodzoną z rozpaczy,  
 W objęcia swoje zimny głaz zamyka,  
 Drogę do piersi spiekłą śliną znaczy,  
 Pomiędzy wargi przeciska języka  
 Koniec spalony; wzorem owych graczy,  
 Partnerów kartą bijących fałszywą,  
 Coraz się bardziej pali nad — nieżywą.

14.

Patrzcie! zwyciężył! zwyciężył! zwyciężył!...  
 Jak elektryczną poruszony siłą,  
 Kształt się umarłej do góry wyprężył  
 I wznosił źrenicę, niezwykle opiłą  
 Blaskiem — fosforu: stopniał lód, co zwężył  
 Usta, rozkwitłe pełnią róż, przemiłą  
 Woń wydających, i z pod zębów cieśni  
 Znów, jak z pod skały, trysnął strumień pieśni.



15.

Lecz to nie były te cudowne zwrotki,  
 Duchem łagodnej harmonji przejęte,  
 Co goi rany; to nie zdroj był słodki,  
 Jasny i świeży, co zioła pomięte  
 Podnosi znowu ku niebu i wiotki  
 Krzak zmienia w dębu konary niezgięte  
 I ziarna z twardej wydobywa ziemi,  
 By się pokryła kłosy złocistemi.

16.

Nie! Antytezą była pieśń ta nowa  
 Wszelakiej pełni i wszelkiego życia:  
 Zawiedła w rdzeni, zwątpieniem niezdrowa,  
 Tłumi nadzieję już u jej spowicia,  
 Wiare tam spycha, gdzie przepaść grobowa,  
 A znak miłości, który od rozbicia  
 Ochronia wszechświat, w nienawiść przemienia,  
 Świeżych wciąż ofiar żądną i zniszczenia.

17.

Złudą i czczością zowie te uczucia  
 I te z uczucia zrodzone rozumy,  
 Które z sobkowskiej martwoty, z zepsucia  
 Gniazd pokalanych wyrwyają tłumy,  
 By, mimo glazów, mimo cierniów kłucia,  
 Pędziły przed się, wsłuchane w poszumy  
 Prawdy, ukrytej w wszechświata atomach,  
 Stawiać gmach cnoty na występku złomach.

18.

I w tych zbrodniczych rozpoznawszy zgrzytach  
 Echo swej duszy, przeklnie dawne bóstwo,  
 Że wieść go jeło nie po gwiazdnych szczytach,  
 Lecz po przepaściach, gdzie się gadów mnóstwo  
 Czołga obleśnych, co nigdy w błękitach  
 Głów nie skapały, co swoje ubóstwo  
 I swą pełzliwość kryją przed obliczem  
 Niebios, słonecznym oświeconych zniczem.

19.

I znowu zmlknie, znów w bryłę kamienną  
 Zmieni się jego Królowa na skutek  
 Klnącej Rozpaczy.... Samotny, w bezdenną  
 Zatopion boleść, pójdzie, jak wyrzutek,  
 Zdala od swoich milczeć, ducha w senną  
 Sieć upowijać; tylko czasem smutek,  
 Co wśród apatii nagle się odzywa,  
 Na ludzką nędzę jęk mu wydobywa.

20.

Na ludzką nędzę, nie tę, co łachmanem  
 Okrywa plecy od zimna czerwone,  
 Nie tę, co wrzeszczy: *circenses et panem!*  
 I pożądlivem patrzy okiem w stronę,  
 Gdzie przy biesiedzie tuł w sen, nad ranem,  
 Syci Lukulle głowy, uwieńczone  
 W pomięte róże, i nie tę, co z głodu  
 W krwi dla stóp nących poszukuje brodu.



21.

Na ludzką nędzę, tę, co, w ziołi rozkwicie  
 Wielbiąc barw tęczę, nie umie robaka  
 Dojrzeć, jak korzeń podgryza im skrycie  
 I szkarłat króla zmienia w szmat żebraka;  
 Na ludzką nędzę, tę, co w gładkiej płycie  
 Jasnych metali, lśniących niby jaka  
 Powierzchnia wody, rdzy nie widzi zębów,  
 Ani też próchna wśród komórek dębów.

22.

Na ludzką nędzę, tę, której się zdaje,  
 Że człowiekowi, gdy ulata myślą  
 Tam, ku niebiosom, w te ogniste kraje,  
 Gdzie gwiazd miliony swe orbity kreśla,  
 Gdzie słońce gaśnie i gdzie słońce wstaje,  
 Jakoweś siły spraw poznanie przysła  
 I że się z jego połączy żywotem  
 Szczęście, w poznaniu lśniące prawdy złotem.

23.

Czasem zaszydzi z tych, co chcą napoju  
 Zaczepnąć z myśli krynicy głębokiej,  
 I tych, co, zawsze gotowi do boju,  
 Jako rycerze, zwracają swe kroki  
 Tam, gdzie czyn splasza anioły spokoju;  
 I tych wyszydza, co, wiedząc, że zwłoki  
 Nie cierpią lata, jak motyle, skrzętnie  
 Z życia spijają miód w pośpiesznym tętnie.

24.

A potem mocą strasznej konsekwencji  
 Do tego dojdzie myśli rezultatu,  
 Który ma w sobie trującej esencji,  
 Ilość dostatnią, by ludzkiemu światu  
 Stawić ideał gnuśnej impotencji,  
 I że brat świadczy dobrodziejstwo bratu  
 Gdy niepewnemu ostrą poda brzytwę,  
 Potem sam życia zakończy gonitwę.

25.

Bo człek jest nato, by — umarł; że prosta  
 Rzecz to i zgoła dociekań nie warta:  
 Jakkolwiek ludzie, gdy ich życie chłosta,  
 Drżą, zamiast lekko puścić je do czarta,  
 Jakkolwiek Manfred, Faust, Juan, Akosta  
 I najzwyczajniejszy śmiertelnik (uparta  
 Taka w nas dusza) dziwnym chęć sposobem  
 Mieć z życia rozkosz, co nie traci — grobem.

26.

I sam też nieraz w samotnych godzinach,  
 W których izdebkę zamieniał na celę,  
 Kiedy tak dumał o nędzy przyczynach,  
 Wyganiającej ze świata wesele,  
 Bliskim był winy, która w ludzkich winach  
 Stoi na przedzie: w swej duszy popiele  
 Czując, że świętych skier już nie rozżegnien,  
 Chciał pójść śladami, którymi Śmierć biegnie.



27.

Ale we wnętrzu jestestw, z losów woli  
 Zrodzonych nato, ażeby do końca  
 Na scenie świata w oznaczonej roli  
 Wytrwać, ukryty mieści się obrońca  
 Prawa natury, władca ludzkiej doli:  
 Elementarny pęd życia, jak słońca  
 Blask, który nato rodzi się co rano,  
 By ziola rosły, lub by je — deptano!

28.

Wtedy to poszedł między przyjaciół,  
 Między lekarze i między znachory:  
 Spojrzeniem, ruchem na los nie wesoły  
 Chciał z nich wydobyć lekarstwo, na zmory  
 Ucisk gwałtowny, co, jako jemióły  
 Kwiat pasorzytny, wciskała się w pory  
 Jego jestestwa, ssąc najlepsze soki  
 I powstrzymując wszystkie żywsze kroki.

29.

Jak owo dziecko-niemowlę, co matce  
 Boleść lub przestrach wyraża z pomocą  
 Nieokreślonych krzyków, lub jak w klatce  
 Człowiek, któremu szła posępna nocą  
 Duszę ogarnął, lub jak zwierz, w zasadce  
 Czujący naraz, że mu się szamocą  
 Stopy, tak on się wobec nich zachowa,  
 Lecz wyraźnego nie wyrzeknie słowa.

30.

Czasami maskę przybiera bajazza,  
 Śmieje się, ciało w dziwne łamie skręty,  
 Jakby mu żadna nie tknęła zaraza  
 Duszy nieszczęsnej, jakby bój w nim wszczęty  
 Oddał zwycięstwo w ręce Oromaza,  
 Symbolu światła, lub jakby go w pięty  
 Kastratów podle laskotało plemię  
 Wśród lepkich hurys, w rozkoszonym haremie.

31.

Lecz przyjaciele oko mieli baczne,  
 Pozór spostrzegli w tem co on podawał  
 Za jasną prawdę; widzieli opaczne  
 Linje, przy których prostości obstawał,  
 I na godziny, wesołością znaczne,  
 Rzekli: to wielki post, a nie karnawał.  
 A jeśli gody, to szaleńca gody,  
 Co ma kałuże za kryniczne wody.

32.

I nad tym bytem, co się w walce łamie,  
 Jako z liściwia odarta lodyga  
 Pod biczem wiatru; nad bytem, co znamię  
 Widocznych cierpień na swych barkach dźwiga,  
 A każdym ruchem, każdym rysem kłamie,  
 Zdjęta litością wiernych druhów liga,  
 Z słów mu życzliwych taką radę splecie:  
 „Niech się zakocha! Zbawienie w kobiecie...”





33.

Jakto? Gdy urok wiedzy niezbadany,  
 Który Hypatjom wlewał zdroje męstwa,  
 Że te krwawiące z rąk wsteczników rany  
 Nie mogły odnieść nad nimi zwycięstwa,  
 A Galileom, zakutym w kajdany,  
 Wyrwał triumf, a nie krzyk przekleństwa —  
 Gdy dziś ten urok stał mu się przedmiotem  
 Szyderstw, kobieta ma-ż być prawdy złotem?

34.

Jakto? Przyroda, ta wspaniała, wielka,  
 Codziennie nowe tworząca obrazy,  
 Ona, co sprawia, że jedna kropelka  
 Cały świat kryje, ta matka ekstazy  
 Niewysłowionej, piewców rodzicielka,  
 Atomy pyłków zmieniająca w głązy,  
 Mniejszą-ż by miała siłę w swym ogromie,  
 Niż jest w kobiecie, w tym jednym — atomie?

35.

Jakto? Więc dobro, ten pierwiastek boży,  
 Wlany nam w duszę przez Stwórcę wszechrzeczy,  
 Przez władcę tego, co pod blaskiem zorzy,  
 Co pod osłoną promienistej pieczy  
 Słofica się rodzi, nowe byty tworzy,  
 Że się z podziwu wikła rozum człeczcy,  
 Samo ze siebie złego nie zwycięża,  
 A ma zwyciężyć — służebnica węża?!

36.

Jakto? Nad wszystko, co duch czysty spłodził  
 I co się stało dążeniem szermierzy,  
 Hasłem pokoleń, które szatan wodził  
 Po ciemnych jarach, a które na świeży  
 Pragną wyjść przestwór, gdzie się dzień narodził,  
 Gdzie nagość szczęścia w całej pełni leży,  
 Ma-ż być silniejszym ów symbol słabości,  
 Kobieta, wytwór Adamowej kości?!

37.

Ona co z rajy wygnała człowieka,  
 Pierworodnego grzechu praprzyczyna,  
 To Martwe Morze, przed którym ucieka  
 Ptak, by nie przyszła nań śmierci godzina,  
 Ona, gdy dusza w rozpacz się obleka,  
 Gdy ją do ziemi bez litości zgina  
 Ten zła i dobra straszny pojedynek,  
 Ma-ż jej zgotować raj i wypoczynek?!

38.

Grzechem jej miłość i zgubą, spodleniem  
 Ludzkiej natury, powiązaniem skrzydeł,  
 Gdy chcą nas unieść ponad ziemskim cieniem;  
 Kłatką i kojcem, okiem nowych sideł,  
 Które zastawia Belzebub, ze drzeniem  
 Patrzący nato, jeżeli z wędzideł  
 Piekła duch ludzki wyostać się pragnie,  
 By nie utonąć w beznadziejnym bagnie...



39.

Śmiał się; lecz rada przyjaciół żywiuła  
 Rozpętanego tajną miała siłę...  
 Jak człek, co, pośród jeziornego dołu  
 Niechybna widząc dla siebie mogiłę,  
 Zielska się czepia, aby z niem pospołu  
 Zginać, tak on też od bólu opiłe  
 Serce w miłościach z niemym topił śmiechem,  
 Które — Rozpaczą były, albo — Grzechem...

40.

I popadł cały w zdrtwienie; duch jego  
 Stał się granicznym słupem między zbrodnią,  
 A między cnotą, między drogą złego,  
 A drogą dobrą, lecz stracił przewodnią  
 Świadomość dawną, co dobre, a czego  
 Tykać nie wolno, bo jest złe... Był kłodnią,  
 Pniem wpół przeciętym, dłońmi zabójczemi,  
 Wraz z korzeniami, wyrwanym ze ziemi.

41.

Poprzestał walczyć, aby zwycięstw szalę  
 Na stronę dobra przechylić... Żrenicą  
 Szklaną i zimną nie widział już wcale,  
 Gdzie zmrok się kłębi, a gdzie blaski świecą;  
 Płynął bez wiosła, rzucony na fale,  
 Jak kawał drzewa!... Podobien dziedzicom  
 Chorób, zrodzonych z rozpusty ojcowskiej,  
 Przestał już głoskę odróżniać od głoski.

42.

A oto naraz — użyczcie psalterzy,  
 Wszystkie muzyczne dajcie instrumenta,  
 Harfę i cymbał, niechaj w nie uderzy,  
 Mirjam boska, triumfem przejęta,  
 Gdy wróg pogięzion u jej stopy leży;  
 Niech z ust Dawida pieśń popłynie święta,  
 Bo oto naraz — o przedziwne dziwy! —  
 Odżył na nowo ten, co był nieżywy...

43.

Bo oto naraz, jakby od zachodu —  
 Od brzegów morskich, w sierpniową spiekotę  
 Splynęły z wiatrem nikłe pyłki lodu  
 I, niewidzialne dla oczu, ochotę  
 Wlały widoczną w żyły tych, co z głodu  
 I ze zmęczenia upadli, robotę  
 Pozostawiwszy w pół niedokończoną,  
 Świeży prąd życia przebiegł jego łono...

44.

Wśród jego pojęć, powikłanych, sprzecznych,  
 Tęczowa naraz zabłysła harmonja,  
 Spójnia, złożona z promieni przedwiecznych,  
 Którym jest obcą posepna agonja,  
 Spójnia, co węzłem sojuszów bezpiecznych  
 Łączy nas z bóstwem, nieśmiertelne błonia  
 Otwierająca dla tłumów śmiertelnych,  
 Słabych w szermierzy zmieniająca dzielnych.



45.

Pierwiastek dobra wzrósł w nim do rozmiarów,  
 Wypełniających całe jego wnętrze,  
 I swym ogromem i potęgą czarów  
 Przygniótł, oślepił, coraz to gorętsze  
 Sypiąc skry w koło, siłę zła, że w parów,  
 Z którego duszy zapędy najświętsze  
 Trudno już wiązać, stoczyła się, zgoła  
 Jak szatan, strącon oszczepem anioła.

46.

Czystym się uczuł, bo obmyty chrzestem  
 Nadziei, wiary i wielkiej miłości;  
 Z dumą zawołał: Oto znowu jestem!  
 Oto duch boży znowu we mnie gości  
 I znów mnie wiedzie skrzydeł swych szelestem  
 W środek gotyckiej świątyni ludzkości,  
 Bym na ołtarzu jej pragnień, jej bojów,  
 Składał ofiarę z własnych trosk i znojów.

47.

Apokalipsy świat przed jego okiem  
 Wnet się roztoczył, jasny, pełen cudów,  
 O jakich przedtem nie marzył, natłokiem  
 Szalów zgnębiony: łańcuch, skuty z trudów,  
 Zmienił się w wieniec i kołem szerokiem  
 Otoczył wszystkich; wśród najsłabszych ludów  
 Płynęła siły zbawiającej rzeka,  
 Co do potężnych czynów pcha człowieka.

48.

Z pieśnią na ustach — bo i ta, w młodzieńczej  
 Krasie, grobowej uszła z nim ztracie,  
 Wonna, jak kwiat ten, który lipy wieńczy,  
 Słodka, jak miód ten, co mieszka w tym kwiecie  
 Silna, jak napój, gdy ten miód rozcieńczy  
 Grzybek fermentu, — poszedł, w majestacie  
 Potężnej woli, głosić bez wytchnienia  
 Naukę czynu, hasło odrodzenia.

49.

Szedł z apostoła bożego pokorą,  
 Lecz i z odwagą Pańskiego wysłańca,  
 Żadną nie wstrzyman przeciwieństw zaporą,  
 Jak Dant, w sam środek piekielnego tańca,  
 Szedł krzepić ciało, wzmacniać duszę chorą,  
 Rozpraszać zmroki blaskami kagańca,  
 Szedł pośród cierni, lodów, wrogiej zgrai,  
 A z nim szła razem wierna Ellenai.

50.

Tak! Ellenai!... Argument rozumu  
 Żaden nie starczy, by przyczyny zbadać,  
 Dlaczego człowiek, który pośród tłumu  
 Stworzeń, królewskiem umie berłem władać,  
 Nieraz zależny jest od tego szumu  
 Wiatru, co powiał, Bóg wie skąd, że lada-ć,  
 Pylek na drodze, lotny i bez treści,  
 Cały los jego w swoim łonie mieści.



51.

Na śmierć był skazan... Szafot już gotowy  
 Piał się ku niebu, ze skazańca sznurem  
 Kroczył ku niemu, nie podnosząc głowy,  
 Albowiem stał się apatji marmurem...  
 A oto jemu, co rzucił węzowy  
 Jad na kobietę w zuchwalstwie ponurem,  
 Szaman — przypadek w ostatniej godzinie  
 Świętą w kobiecie przywiódł wybawczynię.

52.

A była żywą inkarnacją Ciszy,  
 Co w jeden środek skupia władze ducha;  
 Usobieniem Miłości, co słyszy  
 Jęk najtajniejszy w wnętrzach ludzi; głucha  
 Na rozszalały prąd świata, haszyszy  
 Jego nie żadna; cnej Pokory druha,  
 Wylaniem serca była, Poświęceniem  
 I dni, co idą, jasnym Zrozumieniem.

53.

Nie wiedząc wcale, w którą stronę zdąża  
 Niby automat, nakreślony ręką  
 Losu, co ludzkie jestestwa okrąża,  
 Stając się dla nich radością lub męką,  
 Co im zdejmuje juki lub obciąża  
 Większym ciężarem, biegła nie z piosenką  
 K'niemu, lecz z smutkiem, nie po ziół kobiercu,  
 Lecz po krzemieniach, z tragedją w sercu.

54.

Duch jej, jak jego, spragniony oparcia,  
 Sfer szukający swym sferom pokrewnych,  
 Był jak w przestworach luźny dźwięk, zamarcia  
 Bliski i wtedy dopiero wśród śpiewnych  
 Rozbrzmiewający melodyj, gdy z starcia  
 Bytów niebieskich, blaskami ulewnych —  
 Z źródła wspólnego — drugi dźwięk zrodzony  
 Z nim się połączył wśród gwiazdzistej strony.

55.

O Ellenai! Ellenai! ten drugi  
 Był, co przez ciebie uniknął szafotu  
 I znowu wznosił się na świetlane smugi,  
 By tam słonego nie oszczędzał potu  
 Dla wielkiej myśli, aby tam, gdzie pługi  
 Skrzętnych oraczy, mimo klątw, chichotu,  
 Prą w twardej glebic, nie był z nich ostatni,  
 Tak cię, jak pająk, nie puścił z swej matni.

56.

O Ellenai! uczuł on, że w wielkiej  
 Duchów wędrówce, ongi, przed wiekami,  
 Nim pył w chaosie ziemią, a kropelki  
 Nikle morskimi stały się falami,  
 Duch dobra, dan mu z woli Rodzicielki,  
 Z rąk Praharmionji, władającej bytami,  
 Lwią część swą zgubił, aby żyć, jak w grobie,  
 Pokąd jej dzisiaj nie odnalazł — w tobie!...



III  
Z GÓR



## O PORANKU.

---

Rozwiał się twoje włosy  
Złote włosy twoje,  
Jak jutrzniannie  
Blaski ranne  
Tak ci się rozwiały...

Jak ta zorza,  
Kiedy, hoża,  
Wезде na niebiosy,  
By po łąkach i po lasach  
Rozbudzić hejnały,  
By rozdźwięczyć jasne zdroje  
W pieśni tajemnicze,  
Które słyszą tylko dusze  
Z pośród dusz wybrane,  
Tak dziewicze  
Twe oblicze,  
W młodości skąpane,  
Przyoblekło się w purpurę  
I ponure  
Moje wnętrze,



Zatopione w twoich krasach,  
 Co od dni letnich zdają się gorętsze,  
 Rozjaśniewszy radości promieniem,  
 Nastroiło je w weselny  
 Hymn...

Śmiertelny,  
 W nieszczęśliwych tłumie  
 Wychowany człowiek,  
 Kroczący przez głąsę  
 Ciemnego żywota  
 I nie wierzący, by dla jego powiek,  
 Przywykłych tylko do nocy,  
 Mogło zabłysnąć słońce  
 W swej wielkiej mocy,  
 Albo jutrznia złota  
 W swym słodkim wdzięku,  
 Czyż umie  
 Przyjąć bez lęku  
 To co jest przeczeniem  
 Dotychczasowego bytu?

Czyliż to szczęście, co płynie  
 Z twojej postaci,  
 Do wcielonego podobnej zachwytu,  
 Nie jest tą hojną wieczera,  
 Skąpaną w winie  
 I w wyszukane owoce bogata,  
 Którą straceńcom w godzinie,  
 Nim sprawiedliwość wymierza,  
 Podają prawa obrońce,  
 Litościwi kaci,  
 By koniec jeszcze był krwawszy?

Czyż się promienną szatą  
 Ten straszny odział kościotrup, nabrawszy  
 Świeżego ciała,  
 Aby omamić — wbrew fantazji mniszej —,  
 Że wypoczynek wśród jego uścisków  
 Nie jest rozkładem, lecz życiem  
 W rozkosznej ciszy,  
 Na ciepłym łonie  
 Którejś z niebianek?

Z złocistych błysków  
 Włos ten uwity, co-ć okala skronie,  
 Twarz, co się ku mnie podała,  
 Kwitnąca kwieciami  
 Jedwabnych róż,  
 Nie jest-li jedną z złud, które przede mną  
 Wymarzył ondyn kochanek,  
 Shelley, niebiański poeta,  
 By wnet w pościgu za niemi,  
 Mogiłę znaleźć ciemną  
 Śród głębin mórz?

Twoje włosy się rozwiały — ja dłońmi drżącemi  
 Sięgam po nie: rzeczywistość, a nie snów podnieta!  
 Sięgam po nie i do wargi półotwartej tulę  
 I nie pytam już, co będzie! Pieszczę i całuje  
 Twoje złote, jasne włosy,  
 Co się tak rozwiały,  
 Jak jutrznianne  
 Blaski ranne,  
 Kiedy świt wspaniały,  
 Operlony mgłami rosy,



Promienistą tkankę snuje  
 Dla ziemi zbudzonej,  
 Dla szczęśliwej, świeżej ziemi  
 Poślubną koszulę...

Zrumieniły się twe lica,  
 Twoje lica mleczne  
 Śród korony  
 Złotych włosów tak się zrumieniły,  
 Jak ta zorza,  
 Kiedy, hoża,  
 W pełni rajskiej siły  
 Na niebiesiech zajaśnieje  
 I rozleje  
 Czar na kwiaty, drzewa,  
 Na jezioro, które śpiewa  
 Głosem stujęczynym  
 Melodje odwieczne  
 I do fali  
 Smugi z dali  
 Przyciąga olbrzymie,  
 Błękitów kobierce,  
 Szafirowe,  
 W promienistość  
 Przystrojone nieba...

Szczęścia błyskawica  
 Przeniknęła elektrycznym  
 Prądem moje serce.  
 Usta szepcą twoje imię —  
 Wznoszę głowę, nie jak ślepiec, co się drogi boi,  
 Lecz pewnego świadom celu,

I w weselu  
 Rozpieśnionej duszy mojej,  
 Której nic nie trzeba,  
 Obejmuję cię w ramiona!  
 Obejmuję w ramion kleszcze,  
 Aż mi serce kona,  
 Twoją postać wiotką!  
 Obejmuję  
 I całuje  
 Jak ta zorza,  
 Kiedy, hoża,  
 Wszędzie na niebiosy  
 I światu przyświeca...  
 Jeszcze, jeszcze i wciąż jeszcze  
 Tulę, pieszczę  
 Twoją wargę słodką!  
 Tulę, pieszczę i całuję twoje jasne włosy,  
 Co naokół białej skroni tak ci się rozwiały,  
 Jak jutrzniannie  
 Błaski ranne,  
 Jak ten świt wspaniały!...



### PRZY SZUMIE DRZEW.

W wielkiej świątyni Przyrody, pod niebios  
 Jasnym sklepieniem, w zielonym  
 Lesie, wyrosłym na łagodnym wzgórzu,  
 Przy drzew poszumie zawarłem z nią śluby...

Czerwone słońce, wtargnąwszy przez gęstą  
 Tkaninę liści do głębinę boru,  
 Kładło się swoim promienistym ciałem  
 Na świeżą trawą okrytej polanie,  
 Albo ukradkiem całowało kłody  
 Omszałych buków i klonów... Kropelki  
 Srebrzystej rosy, śnać jeszcze od rana,  
 Lśniły się w miejscach, gdzie wieczyste, widać,  
 Panują cienie — na pochyłych stokach  
 Dołów, tonących w paprociach, wśród starych  
 Pniów, z wilgotnego ulepionych próchna.  
 Z pomiędzy trawy wychylały główki  
 Białe stokrotki i niebieskie dzwonki,  
 Do symbolicznych podobne kielichów,  
 Mieszających na dnie tajemne słodycze

Dla dusz, co, z ziemią rozerwawszy węzeł,  
 Pną się ku niebu, skąd wzięły początek.  
 Smukłe storczyki, by jacy rycerze  
 Z lilipuciego królestwa, na państwo  
 Ziół zmienionego, wznosiły do góry  
 Dumne szyszaki, błękitnemi barwy  
 Pomalowane, a gminny biedrzeniec,  
 Czujący swoją przewagę, w pobliskich  
 Skryty zaroślach, urągał ich pysze.  
 Obok ścieżynki, wiodącej do serca  
 Starego lasu, złociły się mlecze  
 Kragiem szerokim, a spór z nimi wiodły  
 O atom miejsca jaskry i srebrniki,  
 Przytulające aksamitne piersi  
 Do ciepłej ziemi. Z pośród wonnej trawy  
 I mchów jedwabnych poziomka wstydliwą  
 Skroń wychylała, lub dziewiczo piękna,  
 Okiem brutalnych przechodniów zapewne  
 Niedostrzeżona, z swych siostrzyc ostatnia,  
 Widać, konwalja, a od skraju lasu  
 Słały swój zapach krzaki tomentozy.

Na mchach siedliśmy, milczący oboje...  
 Ona, na łono opuściwszy ręce,  
 Kwiat jakiś w palcach trzymała, zrywając  
 Z białej korony listek po listeczku.  
 Jak szczypty pierza miękkiego, lub śniegu  
 Maleńkie płatki, wionęły pod moje  
 Stopy te życia złamanego szczątki...  
 Powieki miała spuszczone. Od czasu  
 Tylko do czasu, kiedy nad głowami



Natrętna osa, wyrwawszy się z gniazda,  
 Skrytego w ziemi, łążyć rozpoczęła,  
 Brzęcząc, jak echo rozbitego dzwonka,  
 Podniosła w górę źrenicę, podobną  
 Do niezabudki, na której pozostał  
 Ślad mgły porannej, albo ślad kropelki  
 Dżdżu wiosennego. Wtedy mimo woli,  
 A może z wolą wewnętrznego pędu,  
 Uwięzionego gdzieś w najgłębszej toni  
 Dziewiczej duszy, by koral w przepaściach  
 Oceanowych, wzrok jej błyskawicznie  
 Spotkał się z mojem spojrzeniem i naraz  
 Żywy rumieniec, jakby wstyd ją było  
 Myśli tajemnej, zakwitnął na twarzy,  
 Opadłej znowu na piersi. I ręce  
 Poczęły znowu obrywać listeczki  
 Z ziół, rozrzuconych na łonie... Z wstydlivej,  
 Słodkiej bezwładzcy wyrzywał na chwilę  
 Schyloną postać nagły chrzest w konarach  
 Bliskiego drzewa, na które brunatna,  
 Zwinna skoczyła wiewiórka, lub szelest  
 Przemykającej łąsiczki, lub jaszczur,  
 Gdy się po trawie u jej stóp przewinał.  
 Czasem na dłoń jej upadła biedronka,  
 Lub wpelznął owad zielonawo-złoty,  
 Zrodzony w trawie, wychowany w słońcu.  
 „Boisz się?“ szepnę. Drgnęła, a jej oko  
 Jeszcze się głębiej pod rzęsy schowało,  
 Pod długie, gęste, pod te ciemne rzęsy,  
 Pokrywające tajemnice duszy,  
 Niby zasłona, co ongi, przez wieki,  
 Skrywała w Sais święty obraz bóstwa.

Onieśmielony byłem jej milczeniem.  
 A przecież w ślad jej spieszyłem, by oto,  
 Zdala od zgłębów i od targów świata,  
 Rzecz jej w tej ciszy uroczego lasu,  
 Że choć na życia przypadkowych drogach  
 Spotkaliśmy się, jak się spotykają  
 Przez wiatr odcięte z różnych pniów gałęzie,  
 Mamy w swem wnętrzu coś, co już na wieki  
 Złączyć nas winno. Lecz znowu, jak nieraz,  
 Onieśmielony byłem jej milczeniem.  
 I wątpliwości, jak rój młodych węzów,  
 Które podnoszą nad krawędzie gniazda  
 Swe drobne głowy, powstawały we mnie:  
 Czy znam jej wnętrze i czy jest w niem kącik,  
 Który na wyraz czarodziejski „kocham“  
 Wyrośnie dla mnie w świątynię, jak owe  
 Z ludowej baśni kościoły, co w pewnych  
 Chwilach umieją zmienić się z maleńkiej,  
 Prostej kaplicy w wspaniałe katedry  
 O strzelających ku niebiosom wieżach,  
 O dachach, złotem pokrytych, o nawach,  
 Przepęlnych ducha bożego!... Nie pierwszy  
 Raz to pragnąłem wyrzucić z głębin  
 Duszy ten kamień, co legł mi ciężarem  
 Na dniu dzisiejszym i na snach Przyszłości,  
 Na wymarzonych wszystkich jej nadziejach.  
 Nie po raz pierwszy chciałem dłoń jej schwycić  
 I, przycisnąwszy ją do ust, zapytać  
 Jej oczu jasnych i jej warg rumianych,  
 Czy mają dla mnie odpowiedź, mogącą  
 W ciemne kruzganki mojego żywota  
 Wlać strugę światła. O, nie raz jedyny



Byłem już bliski tej chwili, by, ręce  
 Mając na piersiach i z grzbietem skulonym,  
 Jak przebaczenia i świętej pociechy  
 Żądliwy grzesznik, jednym tchem jej wyznać,  
 Jaki huragan szalał pośród drogi,  
 Którą dotychczas kroczyłem! Jak w oczy  
 Sypał mi kurzu tumany, że rychło  
 Żrenica moja straciła wrażliwość  
 Na wielki urok promieni słonecznych  
 I że jej było najlepiej wśród nocy!  
 Jak owa burza, wszczęta przez złe duchy,  
 Które w mem własnem zamieszkały wnętrzu,  
 Nietoperzowe roztaczała skrzydła  
 I, niby pyłek, na bagna mnie niosła  
 I jak z rosnących tamże jadowitych  
 Cykut straszliwy-m wyciskał eliksir,  
 Aby nim zatruć niejedną niewinną  
 Duszę! Nie pierwszy był to raz, żem pragnął  
 Do stóp jej upaść i, podniósłszy głowę  
 Ku jej żrenicom, zawołać: „Ty władze  
 Posiadasz w sobie, daną ci przez siły,  
 Zmysłom człowieka nieznane, lecz w skutkach  
 Błogosławionych widoczne, że możesz  
 Już nie wyrazem, lecz ruchem, spojrzeniem,  
 Jak czarodziejskiem zaklęciem, z grzesznika  
 Twardej powłoki, by z ciemnej jaskini,  
 Nowego ducha wydobyć, światłością  
 Wszystkich strzelistych cnót promieniającego!  
 To, co w nim było dawniej potępieniem,  
 Przez ciebie będzie zbawiającą łaską!  
 Betezdą jesteś“ — tak nieraz myślałem  
 Zwrócić się ku niej — „tą ewangeliczną

Sadzawką jesteś, której święte źródle  
 Trąd obmywały z nieczystych! Czem wszystkie  
 Przewiny chmurnej przeszłości, gdy dzisiaj  
 Zabłyśnie nad nią siedmiobarwna tęcza,  
 Uwita z błysków twojej czystej duszy!“  
 To znów, gdym spojrział w jej błękitne oczy,  
 Do lustrzanego jeziora podobne,  
 W którym odbija się głębia i ogrom  
 Niezmierzonego widnokregu niebios,  
 Kiedy przede mną lekki wietrzyk rozwiął  
 Jej włos jedwabny, igrający w słońcu  
 Połyskiem złota; gdym patrzył na kibić,  
 Smukłą, jak młoda brzezina; gdy wrok mój  
 Spoczął na szyi łabędziej, białością  
 Odurzającej, lub na krągłych piersiach,  
 Kształt swój znaczących dwiema światła plamy  
 Na ciemnej sukni; gdym spojrział na drobną  
 Stopę, przypadkiem lekko wysuniętą,  
 Krew we mnie wrzała! Sardanapałowej  
 Uczty płomienne migały obracy!  
 Jak gibką gałąź giąć ją w swych uściskach!  
 Pokryć jej postać tysiącem całunków,  
 Ażby jej krwawe wystąpiły smugi,  
 Ażby omdlała w pieszczotach! Zapachem  
 Świeżego ciała wabion, z legowiska,  
 Jak noc ciemnego, dziki zwierzę się skradał,  
 Aby się rzucić na słabszą ofiarę,  
 Szczękającymi od chciwości kłami  
 Przegryźć jej gardło, wypić płyn gorący  
 Z tych żył sinawych, co zdradliwą siatką  
 Pokryły skórę, alabastrem lśniąca,  
 Potem, pijany rozkoszą, zatoczyć



Kręgi śmiertelne i zginąć na zawsze  
Gdzieś w niewidzialnej przepaści...

Lecz rychło

Wstyd jakiś straszny pożerał me lice,  
Czerwieniąc nawet powieki. Pochylon  
Stawałem przy niej, jak ów pies obity,  
A wierny panu swojemu! Nie mogłem  
Opędzić myśli, która, jak złowieszczy  
Ptak, mego serca dotykała skrzydłem  
Piekielnie czarnem, szeleszcząc, że ona  
Łagodnym wzrokiem wniknęła w najskrytsza  
Toń mego wnętrza, spostrzegła w niem — zbrodnię  
I za tę zbrodnię czuje bezgraniczną,  
Bezdenną litość!... I już nie marzyłem,  
Aby jej ręką zapukać do wrótni  
Utraconego Edenu, lecz, chłodnym  
Przejęty dreszczem, pragnący „po życiu,  
Przepełnem błędów i męczarni, wypocząć  
W zimnej mogile“, chciałem jej wyrazić  
Owo życzenie pieśniarza, ażeby  
Nie jak kochanka, oddana mi ongi  
Ciałem i duszą, lecz „jak gołębicą,  
Jak wielki anioł miłosierdzia, przyszła  
Na grób, usypan z ciężkiej, twardej ziemi,  
I kilka świeżych rzuciła nań kwiatów“.  
Na mchach milczący siedzieliśmy razem...  
Od brzegów lasu, przez wyrąb szeroki,  
Od pól rozległych, falujących świeżo  
Wykłoszonemi zbożami, skapanych  
W aromatycznej kąpieli rzepików,  
Osianych puchem zlocistym, przepłynął  
Wiatr zleniwiła ku naszej polanie.

I naprzód cicho ruszyły się trawy;  
Storczyki, wnet się zbudziwszy z zadumy,  
Chwiały helmami; gięła się konwalja  
I liść poziomki mchy rozpoczął głaskać;  
Biedrzeniec skronie ocierał o twarde  
Gałęzie dzikiej krzewiny; paprocie  
Strząsnęły resztki brylantowej rosy;  
Jaskier swe lica odwracał od słońca,  
Giał je do kolan, to je znów podnosił,  
Jak zadąsany; nawet mlecz i srebrnik  
I gwiazdkowata stokroć, choć się zdają  
Niby przypięte z lodyżką i liściem  
I razem z kwieciem do ziemi, zadrgnęły...  
I krzaki głogów, wyrosłe na miedzy,  
Która oddziela bór od plennej niwy,  
Jeły tu owdzie rozrzucać przestałe,  
Bładoróżowe płatki z swej korony.  
Powoli wiew się przedarł ku wierchołkom  
I jedno drzewo zaczęło drugiemu  
Podawać dziwne akordy prastarej,  
Utraconego Raju tajemniczem echem  
Będącej pieśni, ze słów ułożonej,  
Co pozostały z języka praświata,  
Ludziom dzisiejszym nieuchwytnie dźwięki,  
Lecz zrozumiałe dla duszy poety...  
Szum wszczął się w klonie, w którego okołu  
Spoczywaliśmy: zaszeleścił starzec  
I urwał naraz, jak gdyby w fałszywą  
Uderzył strunę, potem znów potrafił  
W lutnię runiczną i głosem stłumionym  
Jał wyśpiewywać przedwieczne rapsody...  
Ton pochwyliła lipa, nasładowując



Pomruki górskich potoków, a za nią  
 W trop pośpieszyli inni towarzysze,  
 Od wieków jednym ogrzewani światłem  
 I jedne burze znoszący: jawory,  
 Buki i graby, a nawet gromada  
 Zbłąkanych świerków, które oblepiły  
 Pasorzytnicze, niby pleśń, jestestwa.  
 Patrząc na klony i na graby stare,  
 Na rozłożyste jawory i buki,  
 Na lipę wonną i na świerki siwe,  
 Mogłeś z początku odróżnić dokładnie,  
 Które z nich szumią, a które szeleszczą,  
 Które z nich szemrzą, lub szepcą, lub mruczą.  
 Ze zamkniętymi wsluchany oczyma  
 W te różnorodne akordy, sądziłbyś,  
 Że gdzieś tam w sferach, do których w niezwykłych  
 Snach ulatuje uwięziony w glinie  
 Ziemskiego bytu, lecz na chwilę z więzów  
 Wyswobodzony duch ludzki, narzędzia  
 Stroją muzyczne jacyś mistrze tonów,  
 Śród gwiazd zrodzeni, i że na ten padół  
 Przypelzły echa ich dźwięków. Niebawem  
 Ten szum i szelest, szmer i szept i pomruk  
 Zlał się w harmonji przepęlną melodję,  
 Głucho płynącą nad naszymi głowy,  
 Jakby tam w górze daleko, daleko,  
 Olbrzymie morze toczyło powoli  
 Ciężkie swe fale...

Milczący oboje  
 Spoczywaliśmy pośród mchów... Las szumiał,  
 A szumy jego wnikały powoli

W wszystkie me żyły. Krwi mej każdy atom  
 Zdawał się zmieniać w miljonową cząstkę  
 Jakiejś symfonji i zlewać się razem  
 Z szumem, z szelestem, z pomrukiem i szeptem  
 Drzew, konarami chwiejących nade mną.  
 I tajemnicze przejęły mię dreszcze...  
 I wnet uczułem, że szumiące drzewa  
 Nie nad mą głową tak szumią, lecz we mnie.  
 I zdało mi się, że powoli tracę,  
 Jedną za drugą, cechy człowieczeństwa...  
 Chciałem się bronić... Napróżno! Od władz tych,  
 Które się gnieźdzą w mózgu — nie! w ramionach,  
 We wyprężonych do oporu piersiach,  
 Była silniejszą potęgą, idąca  
 Z onych wierzchołków i całą mą postać  
 Ogarniająca swą dziwną muzyką,  
 Słodką, a straszną... Doznałem wrażenia,  
 Żem się przedzierzgał w jeden z tych jaworów,  
 Buków czy klonów lub świerków, a potem,  
 Że ci liśćmi naodziani boru  
 Tego mieszkańce zrosli się w olbrzymie  
 Jakieś pradrzewo, rozparli tę nikłą  
 Uwięź cielesną, która już nie gniotła,  
 I mą prawdziwą stali się istotą.  
 Nie umiem dzisiaj powiedzieć, jak długo  
 Trwał stan niezwykły: być może, sekundę  
 Według obliczeń chłodnego rozumu —  
 Mnie się zdawało, że bezmiar wieczności  
 Wypełniam swemi konary... Powoli  
 Ludzkiego bytu wracała świadomość;  
 Powoli-m zaczął uczuć ten ciężar  
 Znikomej gliny, z której ulepiono



Ten grzbiet, te stopy, te nasze ramiona...  
 Powoli-m zaczął ludzkimi oczyma  
 Rozróżniać klony i buki i świerki.  
 Lecz duch, wykapan przed chwilą w przedwiecznych  
 Falach, nie umiał otrząsnąć odrazu  
 Wszystkich kropelek, co na jego skrzydłach  
 Zostały z owej kąpieli, tajemnie  
 Lśnić się blaskami nieznanych dziś pereł...  
 W jakiś się dziwny jeły amalgamat  
 Zlewać dwa stany: dawna, dawna przeszłość  
 I terazniejszość... Obrazy przede mną,  
 Bytem, odzianym ciężką, ludzką gliną,  
 Zaczęły wstawać z niedzisiejszej doby,  
 A jednak w żywym do niej podobieństwie,  
 Jakby nie było między tem, co przeszło,  
 A tem, co dziś jest, najmniejszej różnicy.  
 Zdawało mi się, że ja to przed wieki  
 Z liści bukowych uplotłem odzienie,  
 Ażeby nakryć swą nagość występną,  
 I że mnie wyгнаł płomienistym mieczem  
 Boży archanioł za bramy Ogrodu,  
 I że w tym szumie ściga mnie wspomnienie  
 Pobytu w raju... I wszystkie męczarnie,  
 I wszystkie trudy, jakie przebył Adam,  
 Syn ziemi, walcząc z dzikimi potwory,  
 Które mu twardą tamowały drogę,  
 Gdy ku wschodowi podążał, ku słońcu,  
 Dawcy światłości, ciepła i owoców —  
 Wszystkie te jego ciężary mnie gniotły...  
 Oślizłe węże, co z sykiem owijac  
 Nie przestawały swem cielskim mych kolan  
 I moich piersi i szyi wygiętej,

Wilgnemi żądły aż do warg sięgając,  
 Zdzieralem ręką, drżącą od zmęczenia.  
 I na mej dłoni uczulem pęcherze  
 Od wrywania chwastów i korzeni  
 I od łamania konarów, by sobie  
 Przez niedostępną gęstwinię, okrytą  
 Czarnymi zmroki, utorować wyjście  
 Na łan świetlany. I ze skroni bladej  
 Jałem ocierać zimny pot, co spływał  
 Hojnym strumieniem, kiedyś ja, pracźlowiek,  
 Adam, syn ziemi, rozbijał rydlicą  
 Grudy kamienne, albo orał pługiem  
 Twarde opoki, aby z nich wydobyć  
 Czarny kęs chleba...

I potem mi było,  
 Jakbym Kaina piętno miał na czole,  
 Bo bez spokoju dążę i spoczynku,  
 Sam nie wiem, dokąd — może, aby zabić  
 Wspomnienie zbrodni, której nie spełniłem,  
 A którą przecież — tak mi się zdawało —  
 Umiałbym spełnić, czy też, aby znaleźć  
 Nieznane szczęście w ziemi Nod, na wschodzie  
 Od wrót edeńskich... I jałem wyrzucać  
 Złowrogim losom, że mi snac zabrały  
 Prawo do niego — do owego szczęścia,  
 Które powinno być udziałem czleka,  
 Jeżeli może być udziałem kwiatu —  
 Tego biedrzeńca, co z zarośli szdyzi  
 Z mojego losu, tych niebieskich dzwoneków,  
 Na dnie kielicha cichego kryjących  
 Miód dla — owadu, i tych mleczków złotych



I tych nieznaczących srebrników  
 I tych stokrótek i tej róży dzikiej,  
 Co mnie odurza swą wonią...

Las szumiał,

A ponad jego wierzchołkami słońce,  
 Dośięgłszy swego zenitu, rozlało  
 Nagle złocistych blasków wielkie morze,  
 Dźwięczące razem ze szumiącym lasem.  
 Rozgrana jasność, spływając z jaworów,  
 Buków i klonów, owionęła duszę  
 Ciepłym promiennej melodji, rozkosznej,  
 Pobudzającej do jakiegoś życia,  
 Pełnego żaru i wielkiej radości.  
 Uczułem naraz, że te krwawe bole,  
 Co przed minutą gryzły tak straszliwie  
 Me grzeszne wnętrze, stały się już mitem,  
 I że nie byłem wygnańcem z Edenu,  
 Ale dopiero w tej chwili, oczyszczon  
 Z wszystkich przewinień burzliwej przeszłości  
 Jakąś nieznaną mi siłą, a jednak  
 Jak gdyby znaną oddawna, stanąłem  
 U bramy Raju, który żył dotychczas  
 Jedynie w moich snach i pożądaniach.  
 Doznałem naraz uczucia, jak człowiek,  
 Gdy się pobożnie zbliża do ołtarza,  
 Na którym Pański mieści się sakrament,  
 Skryty w misternem cyborjum. Naokół  
 Jakiejś świętości drżała atmosfera.  
 I ducha mego pochwyciła naraz  
 Wielka tęsknota, ażeby na barkach,  
 Jak legendowy Oferus, świat jakiś

Przenieść przez morze nieznaną przestrzeni.  
 I tak, jak człowiek nagle przebudzony,  
 Ku niej, siedzącej na mchów aksamitnych  
 Miękkiej pościeli, zwróciłem swe oczy:  
 Ucieśnieniem wieszczego natchnienia  
 Wydała mi się, wsłuchana w ten poszum  
 Starego boru. Naokoło głowy,  
 Wzniesionej w górę, lekki wiew przewiewał,  
 Igrając włosom, rozwianym, by sypkie  
 Włókna drogiego jedwabiu, błyszczącym  
 W promieniach słońca połyskami złota  
 Rozpylonego. W wilgotnym błękiecie  
 Rozwartych źrenic, a wlepionych we mnie,  
 Jak oczy łani, lśnił łagodny ogień  
 Elektrycznego światłością płomienia,  
 Uwięzionego gdzieś na dnie głębokiej,  
 Niebieskiej, czystej, jako kryształ, wody.  
 Twarz jej oblewał rumieniec, a usta  
 Nawpół otwarte, oprawione w koral,  
 Drżały, by lekko wywinięte płatki  
 W koronie róży czerwonej. Zaiste!  
 W takiej postaci zjawiał mi się nieraz  
 W snach moich anioł przebaczeń, zawstydzon,  
 Że jemu przyszło spełniać miłosierdzie  
 Nad grzeszną duszą, którą on ukochał,  
 Jak równą sobie... We mgłę moich marzeń  
 Taką stawała przede mną jutrzniarna  
 Miłość, co, chociaż krew zapala w żyłach  
 I ciało nęci niezwykłą rozkoszą,  
 Przecież na takie prowadzi wyżyny,  
 Gdzie duch nasz z wszystkich otrząsa się strzępów,  
 Z których mu ziemia szyje brudną suknię,



I, jak pokryty wiecznymi śniegami  
 Wierzchołek góry olbrzymiej, w swej białej,  
 W swej nieśmiertelnej świeci się nagości,  
 Czysty, a piękny!... Rytmicznie wzrastało  
 I opadało jej łono; snąć w serca  
 Świętym przybytku brzmiał organ uczucia,  
 Nastrojon szumem i szelestem lasu  
 W jakiś hymn wielki, rozeprzeć pragnący  
 Nawę kościoła... Z głębokiem spojrzeniem,  
 Pełen wylania i jakiejś słodczy  
 Niewysłowionej i jakiegoś ognia,  
 Zwrócona ku mnie, chciała coś przemówić,  
 Lecz zanim słowo zdołało wypłynąć  
 Przez wargi świeże, w pól ją pochyciwszy —  
 Nagle, jak człowiek, porwany zachwytem,  
 I przycisnąwszy do piersi, złożyłem  
 Na tych rozkwitłych, na płonących wargach  
 Pierwszy całunek — symbol wieczystego  
 Dwóch dusz złączenia i dwóch ciał, o losach  
 Rozstrzygający człowieczych, potężny,  
 Utraconego przed wiekami Raju  
 Słoneczne bramy wskroś otwierający  
 Symbol...

Kłęczałem u jej stóp, na białych  
 Płatkach, wyrwanych z wiosennej korony  
 Jakiegoś kwiatu wiotkiego... Jej ręce,  
 Jak bluszcz, oplotły drżąco moją szyję,  
 Usta szeptały rozgrzeszeń wyrazy,  
 A z jej otwartych, jasnych ocz splotły  
 Dwie duże krople, by perły, na lica  
 Zarumienione...

Powoli, powoli  
 Rozkolysany las się uspokajał:  
 Powoli milkła jego pieśń przedwieczna,  
 Niezrozumiała dla ludzi dzisiejszych,  
 Ale uchwytna dla duszy poety.  
 Przebrzmiał już akord ostatni... Wstaliśmy  
 I wśród storczyków i dzwonek i mleczków,  
 Pośród stokrotek, jaskrów i srebrników  
 Obok róż dzikich, od których szczęśliwszym  
 Uczul się duch mój, dotychczas nekany,  
 Oferusową dziś przejęty żądzą,  
 Powracaliśmy, weseli, złączeni,  
 Błogosławiący tej symfonji boru.



## W TURNIACH.

## 1.

Pierzchnął już zmrok...  
 Z pod krawędzi ziemi  
 Wytrysły już  
 Płomienne skry  
 Porannych zórz.  
 I mgły  
 Płachtami się kładą białemi  
 Po reglach, po zielonych,  
 Lub się zwieszają, jak przedze pajęczę,  
 Z stoku na stok;  
 Lub, jak olbrzymie, tajemnicze ptaki,  
 Rwą się na skrzydłach srebrzonych  
 W powietrzne szlaki,  
 Lub, opadając, jak wał,  
 O strome poręcze  
 Sinawych skal  
 Rozwiewają wilgotne swe puchy.

O wstań! O wstań!  
 Ma dusza, rozśpiewana

Pieśnią tęsknoty,  
 W ten głuchy,  
 A jednak żywy  
 Pędzi mnie świat!  
 Zwraca swe loty,  
 Gdzie każda ciemna grań,  
 Gdzie każda jasna polana  
 Opowiada dziwy  
 Niewysłowione  
 I niepojęte  
 Z przedwiecznych lat.

Za chwilę blasków koronę  
 Wychyli słońce z za gór;  
 Z blasków poczęte  
 Jak się ślaniają błękity,  
 Bez plam,  
 Bez chmur,  
 Ponad ostremi szczyty!  
 O chodź! o chodź: przez mgły  
 I ja i ty  
 I dusza ma —  
 Mój dobry genjusz z drżącą lutnią w rękę,  
 Pójdziemy tam,  
 Gdzie światłość gra  
 Śwą promienistą pieśń  
 Śród niedostępnych turni!  
 Pójdziem, gdzie grożą wieczystemi zmroki  
 Żleby bezdenne,  
 Nieslyszalnego jakby pełne jęku,  
 Odziane w czasów pleśń —  
 Tych dawnych, dawnych, dawnych dni,



Których bezmiaru myśli nie ogarna,  
 Lecące choćby najgórniej,  
 Ani marzenia senne,  
 Choć swą przedziwną mocą  
 Przeniknąć umieją  
 Głęboki  
 Tajemnic zleb.

Świerkowy bór  
 Oddycha  
 Swą piersią czarną,  
 Na której zorze się złocą,  
 Perłami rosa lśni:  
 Lekkie powiewy wieją —  
 I płynie, płynie, płynie,  
 Jak fala, cicha  
 Z powodu głębi swej,  
 Przedziwny chór!  
 Aż pod niebieski sklep  
 Wypełnia przestwór cały  
 Przeszywający mnie do szpiku kości  
 Odwiecznych dum  
 Miarowy, pełny i rozciągly ton...  
 O haj! o haj!  
 Tam ninie  
 Snać się siklawy rozlały  
 W szum!  
 Nie widzę ich srebrzystych wstęg,  
 Ale je słyszę — to one,  
 Lecąc ze szczytów,  
 O trzon  
 Granitów,

O skalnych łon  
 Rozsiadłe brzemię biją, rozpienione,  
 Dzwonią, jak dzwon,  
 I grzmią, jak grzmot,  
 Wałą, jak straszny eonów młot,  
 Do bram nieskończoności,  
 Do tych tajemnych wrot,  
 Poza którymi gości  
 Przestrach i lęk  
 I uwielbienie i skrucha  
 I osłupiały dziw  
 I serce w pył miazdząca  
 Pokora...

O słuchaj! słuchaj! w jaką strunę trąca  
 Tęsknota mego ducha,  
 Jaki cię budzi zew:  
 Tam! do tych niw,  
 Które Praoracz w skiby niebosiegle  
 Pokrajał ongi, przed wieków wiekami,  
 I posiew grozy w nie rzucił  
 I, gdy ta w zboże-potwora  
 Wyrosła, w kamień obrócił  
 (Ale nie martwy, lecz żywy)  
 I łan i siew,  
 Że dziś nad nami  
 Zieją, jak wężę olbrzymie, wylęgte  
 W łonie prabytu, obrócone w glazy  
 (Ale nie martwe, lecz żywe,  
 Choć nieruchome) — tam  
 Niechaj nas kroki wiodą niecierpliwe!  
 W te tajemnicze,



Rajskie, a straszne dzicze  
 Podążać nam  
 Na białych skrzydłach ekstazy!  
 U bram  
 Nieskończoności, wśród groz,  
 Pośród przestרחu i lęku,  
 Od których jeży się włos,  
 Oko zachodzi mgłami —  
 Nad przepaściami,  
 Z ręką w rękę,  
 Wpatrzonym w śmierci oblicze,  
 Zadawać śmierci kłam,  
 Z rąk życia rozkosz pić  
 I żyć i żyć i żyć...

2.

Graj, moja duszo, graj,  
 Pierwotne hymny nuć  
 W takt pieśni runicznych, co płyną  
 Z tych groźnych skal!  
 Ponad uroczy maj,  
 Wodzący kwiatów młodź  
 Wonną doliną,  
 Miłszy ten biały śnieg,  
 Co się na szczytach zwiął  
 Lawiną  
 I, leżąc wieków wiek,  
 Przepaści straszny grób  
 Przywalił płytą lodową.  
 Graj, moja duszo, graj,  
 Pierwotne hymny nuć  
 W takt pieśni, co z puszczy dziewiczej  
 Do naszych wije się stóp,  
 Nad naszą wznosi się głową,  
 Jak ciężka kraje lódź



Powietrza tysiąc staj  
I pośród urwisk łona,  
Śród niedostępnej dziczy,  
Tłumiąc powoli głos,  
Głuchnie, zamilka i kona.

Złocisty splotła włos,  
Przykryła rąbkiem koszuli  
Niewinnej piersi blask  
I, śmiejąc się do zorzy  
I do błękitnych nieb  
I do tych śnieżnych szczytów,  
Którymi wita nas dal,  
Swe ramię do mego przytuli,  
Swą wargę do mojej przyłoży  
I, jak królowa hal,  
Jak można pani gór,  
Zawładnie swą mocą nade mną.  
Miłość, dawczyni łask,  
Zrodzona śród błękitów,  
A na tej ziemi step,  
Na tę powierzchnię ciemną  
W słonecznej szacie zesłana,  
Z niebiańskich, słodkich cór  
Najpowiewniejsza, najśłodsza,  
Jak wiew górskiego rana,  
Wiewem mnie swoim owiała.  
Ach! I, od bluszczów wiotsza,  
Pnie się ma dusza,  
Płonąca cała,  
Około pragnień drzewa,  
Co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga.

Przejmuje słodki ją dreszcz;  
Wszystkie w niej struny porusza  
Jakaś ukryta potęga,  
Jakaś nieznana dłoń,  
I dusza ma,  
Jak lutnia, gra,  
Radosne hymny śpiewa.

A wieszczów wieszcz  
W tej chwili skroń  
Rozpromienioną ukaże  
I pieśnię blasków zanuci.  
Po rosie, po rosie, po rosie  
Mkną brylantowe dźwięki,  
W fiolet zleją się w jarze,  
A opalami na turniach zawisną.  
Czarny je bór odrzuci,  
One się w perły rozprysną  
I na zielonym spadzie,  
Klejnotów wielkie pokłosie,  
Ogniami błysną...  
W tłumnym nieładzie  
Iskrzyste pęki,  
Światłości smugi,  
Złotawe płachty promieni  
Łączą się razem z mgłami  
I z niemi razem  
Pną się do góry,  
Gdzie głaz nad głazem  
Sterczy ponury,  
Lub, jak pas długi,  
Hen! ponad nami



Po śliskich ścianach wiją się i w cieni  
Giną pomiędzy złomami.

O haj! o haj!...

W porannych blasków kraj,  
Ponad grzbietami skał,  
Zwartych w zygzaków wał,  
W kamiennych zamków bastjony,  
W tumów wspaniałe portale,  
Które oblały promieniste fale,  
Wystrzelili dziki, szalony,  
Namiętny krzyk!  
To w błyskawicy mig  
Wspiął się w młodzieńczym szale  
Na krzesanicy skraj,  
Na opalową grań,  
Zwinny juhasik młody  
Po siwy kwiat szarotki:  
Z przepaści patrzy nań,  
W ciemne spowita mgły,  
Cierpliwa śmierć...

O haj! o haj!

W zawody

Ze śmiercią pójdzie on —

W to jemu graj!

Niech pod nim ściana drży,

Niech się zawali perć,

Niech granitowy trzon

Wstrząśnie się cały, jak wiotki

Młodego świerku pień,

Gdy dmuchnie śnieżny wiew:

On się przylepi do skały,

Niby ta nikła cień,  
Którą kosówki krzew,  
Z szczelinki malej  
Gdzieś tam u góry  
Wysuwający swe pajęczę nóżki,  
Rzuca na grani.  
On na niej —  
Na stromej turni, krzyżami zawiśnie  
I z piersi wyrzuci w lazury,  
W porannych blasków kraj:  
O haj! o haj!...  
Co jemu śmierć? co lęk?  
Co zimne głazów poduszki?  
Co jemu chróstu pęk,  
Który przechodzień mu ciśnie  
Na tę samotną mogiłę?  
Zuchwałą żądzy siłę  
W stęsknionem czuje lonie,  
Krew ogniem gra!  
Stanie na szczycie koronie,  
Niby królewski ptak,  
Swej lubej hasło da,  
Ten swój rozgłośny znak  
W porannych blasków kraj  
Na sto wyrzuci staj:  
O haj! o haj!...  
Kryształowemi dróżki  
Mknie, leci krzyk gorący,  
Wirchy ma za podnóżki,  
Górą płynący.  
Odrazu gdzieś upadnie,  
O ściany się rozbije,



O granitowy złom,  
 O jakichś zboczów łuk  
 Z grzmotem, jak grom,  
 Albo jak działa huk.  
 To znowu gdzieś na dnie  
 Czarnego żlebu się skryje,  
 Zamierający,  
 Niby myśliwski róg,  
 W dalekim jarze  
 Głuchnący.  
 To znów do góry tryśnie,  
 Jak mężnej surmy głos,  
 I spłynie znów na szyję  
 Jakiejś podartej turni  
 I, ze skałami w rozgwarze,  
 Skapawszy się w opalach,  
 Któremi się iskrzy ściana,  
 Gdy na nią słońce błysnie  
 W swym żarze,  
 Spłynie na miękki wrzos  
 I po zielonych halach,  
 Śród pereł ros,  
 Jak jaka struga rozlana,  
 Cicho się wije,  
 Jak połączone kapele  
 W szerokiem echu się ściele.  
 To znowu górnij, górnij  
 W blasku lecący,  
 Jak harf tysięcznych brzęk,  
 Jak dźwięk,  
 Jak jęk,  
 W atomy się rozprysnie

O jakiś szczyt.  
 Tak na promiennych falach,  
 Na mżących światłach rana,  
 Co wnika w każdą cieśń,  
 Zmienił się w organ brzmiający,  
 W miłości dźwięczną pieśń,  
 Szalonej żądy zgrzyt  
 I swój ostatni ton,  
 Rozkołysany,  
 Rozgrany,  
 Rozwiany,  
 Jak srebrny dzwon,  
 Gdzieś tam w oddali słyszany,  
 Gubi śród naszych ton  
 I w żyłach gra.  
 Miłość się w oczach lśni,  
 Miłość na ustach drga,  
 Na wargach rozpalonych,  
 Które się łączą znów:

— „Słoneczny wzniosłbym ci  
 Ponad skałami tron,  
 W rozpromienionych  
 Wiecznego szczęścia dziedzinach!  
 Życie i skon  
 Bez skargi słów  
 Do twoich złożyć stóp“.  
 — „Na łąz nizinach,  
 Gdzie dola cięży głazem,  
 I ciągłych prób,  
 I na tych górnych wyżynach,  
 Do których dusza się rwie,



Ze sobą ujrzysz mnie!  
 Przez piekła graźń, przez raj  
 Poszłabym z tobą razem!  
 Czem dla mnie grób,  
 Jeśli-ć otworzy słońca kraj?...“  
 O haj! o haj!

## 3.

Czarny, odwieczny las  
 Zakrył nam blasków zdrój  
 Ach i osłonił nam duszę  
 Jakąś ponurą, tajemniczą grozą.  
 Odrazu przygniótł nas —  
 Cały ten ogrom swój  
 Milczenia i mroczy  
 Zwalił na pierś nam i oczy.  
 Przystąpiliśmy jego próg —  
 Weszliśmy w jego głuszę,  
 Ja z moją mimozą  
 I z oną drugą towarzyszką wierną  
 Tych naszych dróg,  
 Z taką pokorą bezmierną,  
 Z jaką pobożny człek  
 Wchodzi pomiędzy strzeliste filary  
 Okrytej mrokami  
 Świątyni starej,  
 W której podziemiach, naodzianych pleśnią,  
 Złożył niejedyn wiek  
 Swoje kapłany i swoich rycerzy.



Wyteżyliśmy tylko słuch,  
 Aż nad nami  
 Z tych pospinanych łukami,  
 Sklepisk gotyckich naraz nie uderzy  
 Swą przejmującą, niepojętą pieśnią  
 Zaklęty duch  
 Zapomnianego czasu —  
 Aż na odgłos przedwiecznej trombity,  
 Rozbrzmiałej naraz wśród lasu,  
 Jakiś się wielki nie rozewrze grób  
 I czy na jakieś boje  
 Nie staną stare woje,  
 Czy inne widma olbrzymie,  
 Waligóry, wyrwidęby,  
 Których ořeżny chór  
 Gdzieś tutaj drzymie  
 Z niepamiętnego stulecia  
 Nieobliczony czas,  
 I czy od rąk ich granity,  
 Otaczające ten straszliwy bór,  
 Nie ruszą swojemi zręby  
 I swemi szczyty  
 I nie przywałą nas  
 I świata.

Ta trzecia,  
 To towarzyszka, której okiem ciała  
 Nie widzieliśmy, lecz którą  
 Czuliśmy żywo, jak naszemi ślady  
 Kroczyła wszędzie bez przerwy, purpurą  
 Ciemną swe kształty odziała,  
 Chociaż przed chwilą jej szata

Była w promienie bogata,  
 Choć mirjady  
 Pereł i jasnych opali  
 Przed chwilą lśniły się na niej.  
 Z swej lutni, zmienionej  
 W złowieszcze jakieś narzędzie,  
 Jęła dobywać ciężkie, długie tony,  
 Jak gdyby echa potrzaskanych grani,  
 Gdzieś do bezdennej lecających otchłani;  
 Jak gdyby echa walących się kłód,  
 Które w szalonym pędzie,  
 Z hukiem, jak grom,  
 Prawicher zmiotł...  
 I w pieśni swej,  
 W tem straszmem robrzmieniu swych strun,  
 Których człek słucać się boi,  
 A jednak, przerażon, słucha,  
 To niedostępna druha  
 Wciąż nam szeptała do ucha  
 O jakiejś nocy bez lun,  
 Bez gwiazd, bez zórz,  
 O jakimś mroku bez granic,  
 Który nas dreszczem przejmował,  
 A który nas i świat — jak złom  
 Strzaskanych krzesanic  
 Topi w swych głębiach żleb —  
 O już, o już  
 W swej ciężkiej chmurze pochował!  
 W rozgromie  
 I w tym zalewie,  
 Gdzieś na przestrzeni nieb,  
**Zwieszonych nieruchomie**



Nad rozprzężeniem wszystkich świata spójni —  
 Tak brzmiała nuta w jej śpiewie  
 Łagodniejącym —  
 Zabłysnął promień złoty  
 I coraz bujniej  
 Zaczął rozkrzewiać blaski.  
 Ucichły trzaski,  
 Huki i grzmoty,  
 Świat się wylonił z bezdenne go cienia  
 I pełen upojenia,  
 W zachwycie gorącym,  
 Ogarnięty ciszą,  
 Wielbił zbawczynię,  
 Miłość.  
 Czarny, ponury las  
 Zakrył nam blasków zdrój  
 Posplatanemi koronami drzew.  
 Wszystko łączący czas —  
 Spokój i bój,  
 To, co wyrasta i to, co ginie —  
 Snać w nieprzebitą pozbijał zawilość  
 Pnie i konary.  
 Obdarte smereki,  
 Których przepłonnny siew  
 Przywiał tu wicher przed wieki,  
 Naokół dyszą  
 Posepną grozą.  
 Milczący, wpatrzeni  
 W ten bór głęboki,  
 Ja z mą mimozą  
 I z moją pieśnią, duszą mojej duszy,  
 Mchem stłumionemi kroki

Idziemy wśród cieni,  
 Śród dzikiej głuszy,  
 W jakiś nieznany świat.  
 Olbrzymie, spróchniałe kłody,  
 Powywracane wykroty,  
 Które tu, widać, jakiś demon kładł,  
 Pelen piekielnej ochoty,  
 Ażeby zatrzeć wszelkiej drogi ślad  
 Dla ludzkich stóp,  
 Leżą dokoła.  
 Tam — snać przy grobie grób —  
 Śmierci milczące grody:  
 Z trawy i zielska wychylają czoła  
 Zadumane, sennie  
 Płyty kamienne,  
 Białe i zimne, jak lody,  
 Albo szerniałe, podobne do kory,  
 Odpadającej od tych pniów odwiecznych.  
 W tym strasznym zmroku sterczą, jak upiory,  
 Strzegące swego cmentarza,  
 Umarłe smereki, w mlecznych  
 Strzępach całunów, co się pozwieszały  
 Z ich trupich ramion. Wraża  
 Ogarnia cisza ten cały  
 Świat tajemniczy.  
 W tej dziczy  
 Czasami  
 Ponad naszymi głowami  
 Zatrzeszczy jakaś zeschnięta gałązka,  
 Lub zaszeleści jakiś gad w chościakach —  
 Mimoza tuli się do mnie milcząca,  
 Uczuwać dech jej gorąca



I w oczach błysnie mi, jak smuga lśniaca,  
 Jak błysk porannych ros,  
 Jej złoty włos...  
 Czasem pod stopą zachlupocze grząska  
 Ziemia, kałużą przesiąkła; od czasu  
 Do czasu spada po grani zygzakach  
 Jakiś gład wielki i w piarg się roztrąca  
 I tak przerywa oniemienie lasu  
 I jednostajne tak przerywa echa  
 Tęgo potoku, co ze szumem spada  
 Tam! Z graźni wirchu jakiegoś...

Do słońca,

Które się tutaj ku nam nie uśmiecha,  
 Idziemy naprzód, ja, moja mimoza  
 I towarzyszka ta druga — bez końca  
 Idziem ku światłu, a za nami groza  
 I strach i groza przed nami... Zdrada  
 Na każdym kroku — ręka gąszcz odpiera,  
 Chociaż się krwawi; noga grzęźnie w błocie,  
 A nie jest pewna, czy nie czyha żmija;  
 Jakieś się zielsko wokół stóp owija,  
 Grzbiet jakiś konar zwiera,  
 A z pod spróchniałych, zgniłych pni, paprocie  
 Strzelając bujnemi pęki,  
 Zdają się szydzić z tej męki...  
 Już... już... przezroczy  
 Zabłysnął nad nami szmat;  
 Już... już... przed nami wierch fioletowy  
 Olbrzymi, skalny wał —  
 Potok światłości go zlał, —  
 A na nim, nakształt brunatnych plam,  
 Mknie kozic kilka stad,

Niby różaniec się snuje...  
 Ciszę przerywa świst:  
 Zaklęty w skalne parowy,  
 W szarawych gładów mur,  
 Siwarnik poświstuje.  
 Słychać kozicy gwizd  
 I jakby łomot orlich piór  
 Spływa z pod śnieżnych bram,  
 Z ponad wydętych gór...  
 Już poza nami las  
 Zmalał i jakby zbladł,  
 A tam! a tam!  
 Poprzez rozdarte kolosy  
 Śnać lecą ku nam niebiosy —  
 Tam, pełen kras,  
 Już wita nas  
 Aksamitnemi wrzosa  
 Wielki, słoneczny,  
 Rozzieleniał, wieczny  
 Wspaniałych cudów świat.



## 4.

Graj, moja duszo, graj!  
 Płomienne dźwięki lej,  
 Aż popękają twe struny!  
 Z głębiny swej  
 Ostatni wyrwawszy ton,  
 Poszarp tę szorstką ciała tkań,  
 Co cię przygniata ciężarem!  
 Na poniszczenie ją daj,  
 Rzuć ją w bezdenną chłań,  
 Na skon!  
 O nie! o nie! o nie!  
 Jakiejś rozkoszy zwiastuny  
 W tej przędzy drżą,  
 Przechuty raj  
 Swym czarem  
 Upajającym technie!  
 Łuny  
 Aż ponad szczyty się pną:

Zapada słońce już.  
 Poprzez szczeliny skał,  
 Rozdartych ręką burz  
 Za niepamiętnych dni.  
 Gdy wśród porodu mąk  
 Jęczał ten świat,  
 Przez fioletoń mglisty wał  
 Płonie czerwony krag,  
 Jak bryła krwi...

Popod krzesanic spad,  
 Pod ściany stoków,  
 Poprzerzynanych smugami  
 Zarzających się płam  
 I nieprzebytych mroków —  
 Popod urwiska,  
 Zwisłe nad nami  
 Naksztalt rozwartych bram  
 Zamczyska,  
 Który w przystępie szalonej dumy,  
 Na przekór Bogu,  
 Wzniosły szatanów zbuntowanych tłumy  
 Jednym jedynym tchem —  
 U progu śmierci, patrzącej k'nam  
 Wyżartem okiem swem —,  
 Śród rumowiska  
 Oślizłych głązów białych,  
 Kroczyliśmy cicho, jak duchy.  
 Życia tu zginął ślad:  
 Śród wieczystego snu  
 Mchów nawet miękkie, aksamitne puchy,  
 Te podścieliska



Orłów i kozic, nie lśnią się tu,  
 A tylko w kosmykach małych  
 Zwieszają się gdzie niedzgie ze złomów szerniałych.

O patrz! o patrz! śród szpar,  
 Pomędzy głązy martwymi,  
 Pośród granitów zwietrzałych,  
 Łzy niebieskiemi  
 Snać rosa lśni,  
 Czy też turkusów ziarna  
 Na słodki czar rozsiane!  
 To niezabudki krzew  
 Rzuca swe gwiazdki na ścianę,  
 Na której czarna  
 Zwiesiła rozpacz swą plachtę ponurą...  
 Tu, gdzie od pierwszych dni,  
 Odzianych tajemnic chmurą,  
 Gdy przebrzmiał boży zew,  
 Tworzący światy,  
 Snać zamieszkały nieme smutki  
 I nieme jęki  
 I nieme zapomnienie —  
 Tutaj roztacza swe wdzięki  
 Krzew niezabudki!  
 To pył z niebiańskiej swej szaty,  
 W barwy bogatej,  
 Między te cienie,  
 Gdzie śmierć po głązach płąsa,  
 Sam Stwórca strząsa,  
 Aby pokazać, że w swej dziedzinie,  
 Jasnej, słonecznej,  
 Pomni o tej krainie

Wiecznej,  
 Lodowatej  
 Grozy.

O weź te kwiaty  
 I nie zapomnij mnie!  
 Przytul do piersi je białej,  
 Do ust przyciśnij je  
 I nie zapomnij mnie!  
 Choćby na całej  
 Drodze żywota  
 Śniegi i mrozy,  
 Przepaście i złomy  
 I bezsłoneczne dni  
 Mrących wędrowców witały,  
 O ma jedyna, o złota,  
 Ty nie zapomnij mnie!  
 Choćbym, bezdomny,  
 Z odkrytą głową,  
 Z obnażonemi ramiony,  
 Jak pień, zwałony  
 Burzą gromową,  
 Na wichrach stał;  
 Chociażby ze mnie  
 Szydliły ciemnie;  
 Chociażbym miał  
 U hańby stóp  
 W wzgardzony upaść grób,  
 Ty nie zapomnij mnie!...  
 O nie! o nie!  
 Nie chcę, by żywot twój  
 Był jako ciągły bój,



W którym zwycięstwo swej pieśni nie śpiewa!  
 Nie chcę, by znój  
 Z lic ci tę świeżość starł,  
 By blask twych oczu zmarł,  
 Byś padła nakształt drzewa,  
 Które przedwcześnie schnie!  
 Zapomnij mnie,  
 A tylko jedną chwilę  
 Daj użyć wielkiej rozkoszy!  
 Widzisz, zapadła noc!  
 Cicho, jak w wielkiej mogile!  
 Świat nam spoczynku nie spłoszy —  
 Cóż nas obchodzi świat,  
 I jego wszystka moc  
 Cóż nas obchodzić może?  
 Tu, gdzie tych głazów spad,  
 Miękkie zgotuję ci łoże  
 I od mroźnego tchu  
 Ciałem cię własnem zakryję!  
 Do snu  
 Tulić cię będą gorące  
 Całunki me!  
 Wypiję  
 Krew z twoich żył  
 I swe oddechy wrzące  
 W twe żyły tchnę,  
 A świat roztrącę  
 W pył!...

Nad nami,  
 Na czarnem firmamencie tle,  
 Gwiazd niezliczone tysiące  
 Świeciły  
 Roziskrzonymi i pełnymi oczu.  
 Turnie, szczytami  
 Nieb sięgające,  
 Jak straszliwe siły,  
 Zwarte w szeregu  
 Na świata straży,  
 Tonęły w mroczu...  
 Białego śniegu  
 Tu owdzie skrajane pasmami,  
 Które się w gwiazdach tajemniczo lśniły,  
 Turnie te były  
 Jak hufce sennych olbrzymów, resztkami  
 Zdartych sztandarów swych potrzęsające  
 Ponad łąkami  
 Czy pobożowisk, czy wielkich cmentarzy...  
 W pobliżu watra się pali —  
 Cicho się jarzy  
 I rzuca na głązy drzemiące  
 Dym i czerwone płomienie.  
 Wskroś przejmujące  
 Wokół milczenie:  
 Słyszać w kosówce uspionych górali  
 Tchnienie.  
 A tylko w dali  
 Jak gdyby stada dzwoniące  
 Na hali...



A tam! na strasznych pomroków fali  
 Jakiś szept cichy ku nam się podawa,  
 Jak głaz się czołga zwolna w naszą stronę:  
 To jakieś echa mruczą przytłumione,  
 Że świata depcemy prawa...

5.

Na szczyt! na szczyt! na szczyt!  
 Nad tych złotawych obłoków brzeg,  
 W żywy, słoneczny żar!  
 Tam się o chmury wsparł  
 Godny miłości tron!  
 U jego stopni tam legł  
 Cały, bezmierny świat!  
 Tam nie dosięgnie zgrzyt,  
 Zrodzon wśród marnych łon  
 Płazów, toczących po ziemi  
 Swoje oślizłe kręgi!  
 Tam zginął wzgląd i wstyd —  
 Obludne ludzkie prawidła,  
 Pomiędzy ściany wąskimi  
 Nakreślające ślad,  
 Którym ma kroczyć człek,  
 Oplątan w sidła,  
 Tam swój znalazły skon!  
 Tam, gdzie tych głazów stek  
 W fioletowy gród



Tajemne siły  
 Ongi społy,  
 Swoboda swoje ma łęgi;  
 Tam niema rdzawych krat,  
 Poza którymi duch,  
 Niby zamknięty ptak,  
 Trzepoce skrzydły ściętymi.  
 Tam on w ekstazy szlak,  
 Zapatrzon w jeden znak,  
 W błękitu promienne potęgi,  
 W morze szafirów, w złota rzeki,  
 Popłynie, jak srebrny puch,  
 Powiewny, lekki,  
 Wyrwan z Wieczności skrzydła,  
 Puszczony w twórczy ruch  
 Wiewem bożego tchnienia.

Pomnisz te wrzące skry,  
 Jakby przedwieczna dłoń  
 Korcami siała rubiny  
 Na mchem porosłe głazy?  
 Lazurów jasna toń  
 Śród falistego drżenia  
 Światłością mży:  
 Kąpią się w niej upłazy  
 I grzbiet przełęczą siny,  
 Za granią kąpie się grań...  
 Te aksamitne odzienia,  
 W które krzesanic stoki  
 Okryła ciemna tkan  
 Kosodrzewiny,  
 Na niej szmaragdów lży

Pamiętasz ty?  
 Te wirchu bladą skroń,  
 Te nagie, zimne jej boki,  
 Siwizny okryte pukłami —  
 Śniegiem, co przyległ doń,  
 Do tego głazów olbrzyma,  
 Gdzieś przed wiekami,  
 I dotąd w uściskach go trzyma?  
 Jak gdyby tutaj miała swe dziedziny  
 Skryta gdzieś na dnie bezdennej kotliny  
 Wieczysta zima!  
 A przecież kwietna bloń  
 O kilkanaście staj  
 Kolorów snuje raj,  
 Zapachów leje czar.  
 Snać stamtąd płynie ta woń  
 Aż dotąd w głąb tego cienia,  
 W turni spadziste załomy  
 W one kominy,  
 Wiodące w piekiel kuźnice,  
 W głębiny,  
 Których żrenice  
 Nieprzetną swemi pociski...

Ten stromy,  
 Ten śliski  
 Pamiętasz żleb?  
 Boże nas chroń!  
 Jeden fałszywy krok,  
 A wszystkie nasze pragnienia,  
 Wszystkie tęsknoty,  
 Wszystkie zachwyty



I upojenia  
 I loty  
 Do słońc, do nieb —  
 Wszystką tę miłość, wyższą nad te szczyty,  
 Głębszą nad onej przepaści stok,  
 Jaśniejszą ponad błękity,  
 Nad ogień słońca gorętszą,  
 Pokryje wieczny, lodowaty mrok,  
 Marnych kamyków zapomniany grób...

Tam, gdzie te ściany się piętrzą  
 Naksztalt straszego potwora,  
 U naszych stóp,  
 Z pod granitowych zboczy  
 Szklanemi oczy  
 Z szzerwienionemi obwódki,  
 Jak gdyby lzy je paliły i smutki,  
 Patrzyły na nas jeziora,  
 Głucho i nieme, martwe z osłupienia,  
 Że nikle dwa ludzkie atomy,  
 A tylko wielkie miłością,  
 Idą pomiędzy ogromy  
 Stworzenia.  
 Czy pomnisz granat tych gładkich przezroczy?  
 Tafle, ponurą wabiące jasnością?  
 Nic ich nie zmarszczy, chyba wichur halny  
 W czarnych kryształów słupy je przemienia,  
 O trzon rozbija skalny  
 I znów je skupia i skręca i tłoczy  
 Między rozwarte szczeliny  
 Zimnej powieki kamiennej.  
 Owej godziny

Nie senny,  
 Lecz trupi spokój wyzierał z głębin.  
 Patrząc w tę szklaną, nieruchomą krucz,  
 W te nieprześnione śnicia,  
 Człękby na wieki mógł usnąć.  
 Ptak jakiś biały, zatoczywszy kołem  
 Lot swój nad głębią, chciał ją skrzydłem musnąć,  
 Ale, przerażon, uleciał w krainy  
 Światła i życia.  
 A — pomnisz — jedno z tych ócz,  
 Za dawnych, widać, dni  
 Straciwszy żreniczny kir,  
 Patrzyło  
 Z popod kosówek brwi  
 Pustym, jak ślepiec, oczodołem.  
 Do wtóru wichru halnego, co w mir  
 Tej puszczy wpada z huczącemi tchy,  
 Do wtóru słońca rozdźwięczonych lir,  
 Co wciąż tu rzuca swojej pieśni skry,  
 Snać się to oko z dziwu wyplakało  
 Nad tą straszliwą, a wspaniałą  
 Pustynią całą,  
 Snać, że spłynęło razem z swemi lzy,  
 A te zmieniły się w żwir...  
 Na szczyt! na szczyt! na szczyt,  
 Podparty niebios powała,  
 Granatu falą zlan,  
 Poblaskujący wrzącym miljonem  
 Czerwonych skier!  
 Jak gdyby na nim kwitł  
 Mikroskopowych  
 Kąkolów lan,



Jakby kobierzec miał,  
 Subtelnie tkan  
 Z pereł różowych,  
 Z miłości naszej korali!  
 O lazurowych sfer  
 Błękitny wał,  
 Rozciągający się w dali,  
 Oparł się lonem,  
 A lśniąca skroń  
 Utopił w płynie słońca.  
 Wyciągnij dłoń —  
 Snać go dosięgniesz palcami!  
 Gdzież on? Przed nami  
 Znikł, jak to widmo, co mamy  
 Promieni grą!  
 Śniegu olbrzymi płat,  
 Między dwie ściany skał  
 Zawieszon, błyszczący bez końca  
 Białością swą,  
 Jak płótna wielki, szeroki szmat,  
 Rękami Stwórcy rozpięty  
 Nad przepaściami...  
 Mroźny podmuchnął wiew,  
 Z nim jakiś motyl spadł  
 Zziębnięty,  
 Nawpół umarły, z skrzydły stulonemi,  
 Do naszych nóg.  
 Dziwne zjawisko wśród tych śnieżnych stref,  
 Między śnieżnemi ławy,  
 Śród tej bezmiernej głuszy,  
 Pośród lodowych dróg,  
 Ten lotny owad złotawy!

Tyś go podniosła i oddechy swemi,  
 Ciepłem swej duszy  
 Na nowo wlałaś weń życie!  
 Błogosławiona ta chwila,  
 Kiedy w mrącego motyla,  
 Nim wicher do cna skrzydła mu ściał,  
 Siłę twój oddech technął,  
 Że oto, znowu żyw,  
 Pośród rozkwitłych niw  
 Słodczye będzie pił  
 I lot swój topił w błękicie!  
 Błogosławiona tych ożywczych sił  
 Ciepła krynica wśród twójgo łona —  
 Błogosławiona!...

Aaa!  
 Korona,  
 Rękami stwórcy spojona  
 Z potężnych gran,  
 Koronująca jego myśl przedwieczną!  
 A my śmiertelni na niej...  
 O, droga ma,  
 Chodź! chodź! Swe oczy,  
 Do tej niebieskiej podobne przezroczy,  
 Odbijające cały świat błękitów,  
 Łunę słoneczną  
 I tę dał bezmierną  
 Fioletowej otchłani,  
 Z której duch wielki do niebieskich szczytów,  
 Tych niezmiernych  
 I niezgłębionych,  
 Zda się ulatać na skrzydłach srebrzonych,



Złącz z mą żrenicą wierną!  
 Serca twojego rozegrane tętna  
 Niechaj się żdźwieczą z mojem!  
 Bo tylko w jedną istotę zlan,  
 Bez piętna  
 Dwóch obok siebie kroczących atomów  
 Po biednej ziemi,  
 Lecz przemienieni  
 Drzemiącą wokoł niezbadaną mocą  
 W jeden nieziemski byt —  
 Ogarniem czar tych ogromów  
 I przenikniemy ich treść.  
 W tej bezgranicznej przestrzeni  
 To nie przy szczycie szczyt,  
 To nie ramiona złomów  
 Białe migocą —  
 To jakieś wielkie morze się bałwani!  
 O! tam się duchem nieść!...  
 Patrz! jak się pieni,  
 Jak mgłą do góry się miecie!  
 Jak jego fale się złocą  
 Od tych promieni,  
 Co się ślizgają po tych wałów grzbieciel...  
 Z tej falującej otchłani,  
 Co się w tysiączne barwy rozpieniła,  
 Jakaś tajemna przyzywa nas siła:  
 W jednego ducha zlan,  
 Płyńmy już, płyńmy falami!  
 Ale nie sami! nie sami!  
 Niech świat popłynie z nami  
 Z wszystkim, co żyje, związani,  
 Zbraćani,

Popłyńmy, popłyńmy ninie  
 Po tej rozkoszy głębinie,  
 Po fioletów przestrzeni,  
 Co skrami złota się mieni.  
 Potem, raz jeszcze wpatrzeni  
 W ten żywy smaragd na fali,  
 Który tam w słońcu się pali,  
 W kryształ podziwu skropleni,  
 Rozpłyńmy się, na krople, w tej płynącej dali.



IV  
SAWITRI



Król Madras, Aśwapati,  
nie miał ci synów, ni córek,  
więc co poranku klękał przed Sawitri,  
w południe także i wieczór,  
i błagał wszechmożne bóstwo,  
iżby nie dało mu skonać  
bezdziennie.

Długi tak klękał czas.

Lecz pewnej chwili wiosennej  
pani z oczami głębin,  
w których goreje niezglębiona łaska  
wieczności,  
w ogniach stanęła ofiarnych  
siwego starca  
i, rękę na siwą położywszy skroń,  
rzekła mu: „Idź!  
Spełniona będzie twa prośba“.

I Aśwapati, król bajecznej ziemi,  
(o której ponoć nie słyszała żadna



z czcigodnych naszych białogłów),  
poszedł po czarę złocistą,  
słodkiej się napił somy  
i, uradowan świętem zwiastowaniem,  
jął śpiewać sloki dziękczynne,  
w cześć życiotwórczej mocy,  
która wraz z życiem przynosi nam szczęście —  
w cześć niebolicej Sawitri...

Tak mówi dawna legenda,  
na zeschęj korze asoki  
spisana ongi przez mędrca,  
co, pragnąc duszę swą wydoskonalić,  
iżby w ofiarny zmieniła się ogień,  
grzeszny, śmiertelny swój zewłok  
grzebie co kilka miesięcy  
w grób.  
Dzisiaj wam, łowcy mgieł,  
powtarza ją wasz druh,  
który z burzliwych odmętów mórz,  
jedną ocalił chęć:  
by na samotnej przyzbie swojej cichej  
chaty rybackiej  
mógł — tak, jak dzisiaj — wsłuchiwać się w szelest  
zwarzonych, szerniałych liści  
dzikiego chmielu.

Lepki,  
miodem zaprawny,  
barwą bursztynu lśniący kłam  
nie mieszka na uściach bóstw.

W błękitno-purpurowym kielichu lotosu,  
w łodzi,  
w której sam Stwórca ziemi i bezkresnych  
tęsknot podniebnych  
przeniósł swój byt ziarnosypny  
ponad przepaścią śmierci,  
płynęła po falach mórz  
zadowolona Sawitri.  
Złoty boskiego kwiecica pył  
po złotej rozsiewał się toni.  
W lasach nadbrzeżnych drzał liść vanaśpati,  
z której, w godzinach radości,  
nabrzmiałej żądzą upojenia ludzi  
szczęściem zamknięcia oczu  
przed otchłaniami,  
warzą bogowie nieśmiertelną somę.  
Z odległych pustyń dolatywał ryk  
panter i lwów,  
w skłonu przejrzystą przedzę  
kryło się śnieżne widmo Himawanu,  
a w Madras, w bajecznym mieście,  
spełniał się cud:  
W rajskim ogrodzie króla  
rodził się kwiat lotosu,  
na który z wiarą mew,  
krążących nad oceanem,  
i z utęsknieniem przepiórek,  
gdy się zrywają do cieplic,  
czekali siwego władcy  
poddani  
dziewięć tysięcy lat.



Takie jest słowo tej dawnej legendy,  
 Którą na białym złomie alabastru  
 Z murów świątyni, zburzonej  
 przez złe, zawistne duchy,  
 wyrył był rylcem brązowym  
 riszi — pustelnik, mówiący:  
 „Za chwilę zagaśnie dzień!..“  
 A ja, co chodzę o zmierzchu  
 po martwym, wyschniętem polu  
 i, snując tę dziwną dumę o Sawitri,  
 patrzę, jak giną w mgłach  
 widne niedawno szczyty,  
 myślę, iż zapomnienie  
 to Orjonu błysk,  
 który rozświetlił nam drogę  
 nocy wczorajszej  
 i który pozwoli nam przejść  
 przez mroczne, ślepe, niewiadome gęstwie  
 nocy, leżącej przed nami.

Tak było:

Król Aśwapati, wdzięczny, iż przez serce  
 przeszły mu radła, kierowane ręką  
 świętej Dobroci,  
 że w miejscu perzów i ostów i wszelkich  
 chwastów żaloby i chyłkiem, nieśmiało  
 walczącej z sobą niechęci ku losom,  
 wyrosły nagle bujne, ciężkie zboża —  
 że niezliczone korce ziarn rozkaże  
 mleć po swych młynach na chleb dla człowieka  
 i że mu starczy bogatego ziarna,

aby garściami sypać je gołębiom  
 i w żłoby koni —  
 że jego własna dobroć, urodzona  
 z niespodziewanej uciechy,  
 jeńce z więziennych wypuściwszy lochów  
 i barwne flagi zatknawszy na statkach,  
 przestała kary znać, natomiast wszędzie  
 poczęła głosić potrzebę nagrody —  
 że ku dalekim, krągłym nieboskłonom,  
 otulającym ziemię, wyciągnawszy  
 szczodre ramiona, wiedziała o każdym  
 gnieździe, uwitem w niedostępnych gąszczach,  
 na drzew wierzchołkach i w jamach torfowisk,  
 o każdym zwierzu w cichem legowisku,  
 o każdym płaczu w kolebce,  
 o każdym śmierci ostatnim westchnieniu —  
 i że przez bezmiar swój i przez swą bezdeń  
 będzie przykładem dla przyszłych pokoleń —  
 król Aśwapati nazwał córkę swą,  
 przy dźwięku skrzypiec i fletni i surm,  
 mianem bogini Sawitri.

W lotosie,

w kwiecie, co w wnętrza swojego purpurze  
 zamyka wonną tajemnicę blasku  
 niewinnych oczu dziecięcych  
 i zwolna, nieznacznie,  
 od gajów i ogrodów,  
 od gladjoli i brzozy i wiśni,  
 zalatujących uświadomień wzrostu  
 sennych, dziewiczych dojrzewañ,



płynęła po głębiach fal  
 Sawitri.  
 W rośne, jutrzniane poranki,  
 kiedy ostatni, ledwie dosłyszalny,  
 świtowy podmuch nocy  
 z złotopromienną przemagał się ciszą,  
 stawała w środku przejrzystej,  
 złotawej powierzchni wód  
 i, chwając się rytmicznie nad zwierciadłem stropu,  
 nie mogła stłumić szeptliwego: A!  
 Jej usta, zróżwione wilgotnym oddechem  
 twórczej zadumy nad źródłem błękitów  
 i nad ich ujściem,  
 rozwierał podziw dla cudu,  
 którego sama była najwspanialszą,  
 najcudowniejszą inkarnacją.  
 Sawitri, głębia i przejrzystość wód  
 i pochylone nad niemi gałęzie  
 świętego drzewa wilwy  
 i szmaragdowo-złote oka  
 niebieskopiersnych paw, i  
 płynęła w łodzi lotosu  
 w żarne, słoneczne pragnienia.  
 W tym dziwnym płynęła kwiecie,  
 który w południe  
 zwija swój liść purpurowy,  
 albowiem wstydzi się powierzyć niebu  
 swych ogni wewnętrznych,  
 otulających dar nieba,  
 świętą i wielką tajnię  
 płodności...

Pani żywota,  
 w ofiarnym żądzy mieszkająca ogniu,  
 kieruje łódź swą ku brzegom  
 i na spalony zestąpiwszy ład,  
 wzywa, by zjawił się ten,  
 któryby lica jej białość  
 skrasiał czerwienią swych tchów.  
 Przyzywa głosem milczącym, zamkniętym  
 w znieruchomionym ócz lazurze,  
 a tak donośnym,  
 że wnika w ostępy puszczy.  
 I wówczas dzikie zrywają się słonie  
 i pędzą drogą walących się kłód,  
 strzaskanych dębów i jodeł,  
 głazów, roztartych na piarg,  
 i w dźdze przesianych potoków,  
 które przed chwilą, nim z brzegów spadzistych  
 runął w ich wiry rozszalały huf,  
 były jak złoto, lazur i seledyn.  
 A kiedy poszedł głos ten na doliny,  
 falami kładło się po krańcach ziemi  
 wrzące powietrze, rozplonęły zboża,  
 kreć wypełzywał z swoich komnat ciemnych —  
 w osłepłych oczach  
 tęsknotę uczuł do słońca.  
 Dziewanna, jaskier i rozchodnik  
 do miedz przyłgnęły, trawiąc się w płomiennym  
 własnego wnętrza poszepcie.  
 A rozigrane źrenice pastuszków  
 ścięły się nagle w nieruchome szkliwo  
 nieznanych dotąd zadziwień



i głos, milczący a donośny,  
 słały ku strzechom, gdzie okna i drzwi  
 mały młode dziewczęta  
 na przyjście oblubieńca,  
 którego Agni <sup>1)</sup> prowadził i Manmat <sup>2)</sup>.

Ale do zamku króla Aśwapati  
 Nikt nie przychodził w dziewosłęby.  
 Wyhodowana ponad brzegiem wód,  
 po których kwiecie lotosu  
 płynęła święta Sawitri  
 w żarne południe pragnień,  
 jedyna córka władcy Madras,  
 nosząca miano bogini —  
 Sawitri —  
 niebiańskiej była urody.  
 Kiedy w jutrznianej kąpać się głębinie,  
 stanęła chwilę drobnymi stopami  
 na złotym piasku dna  
 i, przeczekawszy, aż się uspokoją  
 pierścienie i kręgi —  
 ruch fal, wywołan dotknięciem jej ramion,  
 spojrziała w gładkie, błękitne zwierciadło,  
 nie mogła stłumić okrzyku  
 z podziwu dla własnych ocz.  
 W noce miesięczne,  
 wyszedłszy z lutnią w rękę  
 na okraj niesklóconej poszumami ciszy

<sup>1)</sup> Bóg ognia.

<sup>2)</sup> Indyjski Eros.

rozkosznych ogrodów Indry <sup>1)</sup>,  
 patrzy, jak lotos  
 rozchyła swój kwiat purpurowy  
 z taką potęgą,  
 o jakiej nie lśniły poranki  
 ani południa,  
 chociaż ich omże słoneczne  
 pijane są tęsknotą...  
 Zrenicą,  
 nie daną innym ludziom  
 w bajecznej ziemi Madras,  
 w krainie somy,  
 widziała wówczas ze drzeniem,  
 jak jej patronka,  
 wsiadłszy w błękitno-purpurową łódź  
 rozwiniętego lotosu,  
 płynęła tonią ściemniałą  
 w bezkreśny, zdało się, mrok.  
 I wtedy  
 do uszu córki króla Aśwapati  
 palcem pukało liljowym  
 powiewoskrzydłne echo  
 śpiewu bogini:  
 „Płynę w pałace Śmierci,  
 na bezgranicznem zbudowane morzu,  
 lecz przejdę bezkarnie pod sklepieniem  
 malachitowych mauzoleów,  
 ominę luki jej kaplic,  
 wsparte na słupach z labradoru,

<sup>1)</sup> Najwyższy Bóg u Indów.



i znów w bezmiernej przegładnę się fali,  
albowiem jestem Sawitri,  
albowiem jestem Miłość..."

Wracała w dom swój zadumana  
jedyna córka króla Aśwapati...  
Zaszli jej drogę młodzieńcy,  
którzy, zwabieni jej urokiem,  
ciche, miesięczne czaili się noce  
pod Indry rozkoszne ogrody,  
i tak jej rzekli: „Sawitri!  
Niemaj większego szczęścia,  
jak posiąść ciebie na życie...  
Ale w twych oczach, będących  
oczami nie z tego świata,  
zabójczy pali się ogień —  
my w duszy mamy lęk Śmierci...“  
I na to, przy nieśmiałym,  
a przenikliwym dźwięku strun,  
odpowie synom ksiąząt i radzów,  
słyszająca przyływ i odpływ wieczności,  
rozmilowana w lotosie  
Sawitri:  
„Nie śmierć ja gotuję,  
lecz wyzwolenie od śmierci, gdyż kresem  
wszystkich walk naszych i tęsknot i żądź  
jest nieznająca kresu nieśmiertelność...“

Ta-ci prastara jest pieśń  
O liściach dzikiego chmielu,  
oplatających przyzbę mojej chaty;

o żółkłem dzisiaj, w tę porę jesienną,  
ustronnem gronie modrzewiów;  
o piasku, co się unosi z pod kół  
ciężkiego wozu;  
o zgasłych płomieniach gwiazd;  
o głuchem echu siekiery,  
twarde rąbiącej pnie;  
o tych wesołych dziewczętach,  
czerpiących wodę ze źródła...  
Na zblakłych, jedwabnych strzępach  
ofiarniczego ornatu,  
wyjętych z grobu prawodawcy Manu<sup>1)</sup>,  
spisał ją przed wiekami  
Punyasloka,  
mędrzec-królewicz,  
który w odludnej pustyni  
patrzył na wschody zórz.  
A ja, com słaby jest cień  
wielkiego Cienia —  
cień,  
którego nawet zachód przedłużyć nie zdołał — —  
Tak, ja, com dziś o zmierzchu,  
przypominając wam  
tę dziwną dumę o Sawitri,  
widział na zeszlých, przyleśnych murawach  
ogień pastuszków  
i kilka przy polnej drodze  
z gruba ciosanych brył granitu,  
z których ma powstać krzyż,

<sup>1)</sup> Adam indyjski, a pozatem prawodawca.



pragnę jedynie tego,  
 iżby me stopy śmiertelne  
 nie zostawiły śladu  
 na tych samotnych ścieżkach —,  
 iżby mój wieczór był, jak potok górski,  
 kamienie walący w przepaść...  
 Niechaj je wali z hukiem,  
 gdyż jestem duch, który cierpiał,  
 albo niech raczej, łaniać swoje prawa,  
 każe im zsunąć się w ciszy...

A może jestem obłąkany!?

Król Aśwapati, pan gasnących światów,  
 które mu zwolna zamierały w duszy,  
 pozostawiając żuźle dawnych uciech,  
 wielce był zmartwion, że córka  
 nie ma na czyje ramiona  
 ślubnego zawiesić wieńca...  
 „Najlepsze konie“ — mówił — „każę wybrać  
 z wszystkich mych stajen  
 i bogom setne spalę aśwamedy,  
 jeżeli ujrzę obok twego boku  
 rycerza,  
 któryby światłem swych cnót  
 dorównał bogom jutrznianym, Aswinom.  
 Sawitri, córko moja“ —  
 tak gędził do niej starzec siwowłosy,  
 „przy tobie zorza blednie,  
 tracą swój żar niebiosy!  
 Bogini, patronka twa,

w wieczne płynąca dale,  
 swą kwietną łódź wstrzymuje,  
 cisza oprzędza fale  
 z podziwu.  
 Oczy śmiertelnych ślepna,  
 czar twój odstrasza ludzi —  
 Sawitri, córko moja,  
 me serce w łzach się trudzi  
 nieopisanych.  
 Złocisty wóz gotowy,  
 złocista jest uprzęża:  
 siądź, przejedź kraj mój cały,  
 godnego wybierz męża,  
 coby na barki swe wziął troskę  
 o szczęście wyznawców Bramy.  
 Niechaj mych pleców starych  
 nie gniecie wstydu brzemień,  
 że zginąć ma bezpotomnie  
 królewskie moje plemię,  
 na którym niema skaz...“  
 Sawitry jasnocoła  
 ojcu do kolan pada:  
 „Nie chcę, by dusza twoja  
 była ze smutku blada“ —  
 te powiedziała mu słowa.  
 „We wóz złocisty siędę,  
 przejadę kraj twój cały,  
 pożądam wybrać męża,  
 pełnego cnót i chwały,  
 iżby ją głosił ghandarwa,  
 wybrany śpiewak bóstw,



i wszelki inny, choć najlichszy człek,  
w mgławce, jesienne wieczory  
po ścieżkach błądzący samotnych,  
nasłuchujący, czy z walk,  
które się toczą gdzieś  
za granicami jego myśli chorej,  
nie zmartwychwstanie radośniejszy wiek...“

Jedzie królewski rydwan  
przez góry i doliny,  
to w słońcu promienieje,  
to w mgle się chowa sinej —  
toczy się tak stulecia.  
Przed każdym zamkiem staje,  
w puszczy przed każdą celą,  
ludzie się nim radują,  
kwiaty się nim wesela,  
a na bezmiernych głębiach świętej rzeki,  
w kwiecie lotosu  
płynie bogini Sawitri.  
Poprzez pałace Śmierci,  
pod sklepiskami  
malachitowych mauzoleów,  
mijając słupy z labradoru,  
w wieczności płynie dal...  
Zaś córka króla Madras,  
z dalekiej wróciwszy podróży,  
skłoni się przed rodzicem  
i powie:  
„Wybrałam męża...  
Będzie nim Satyawan,

syn króla Dyumatsena,  
który, ośleplszy, przez zdradzieckich wrogów  
utracił schedę swą  
i odtąd w puszczy żyje korzonkami,  
a w mego oblubieńca  
wpaja z czułością pelikana  
umiłowanie prawdy.  
Niezlomna jest ma wola,  
chociaż swe barki  
walką odziewa pustelną,  
choć bosa nogi rani o kamienie  
i łatwo żmija ukąsić go może —  
choć jest poświęcon Śmierci:  
umrze, nim przejdzie rok...“

Posmutniał wielce starzec siwowłosy —  
szerokopienny dąb  
nad leśną zadumał się płonką,  
zaplakał i rzekł:  
„Ha!... błogosławię twe losy!  
Idź, wierną mu bądź małżonką“.

Pielgrzymie,  
co, oderwawszy się od tłumu wiernych,  
na oślep mrocznym przebijasz się lasem  
ku świętym, podziemnym przybytkom w Ellorze  
— głuche cię o nich doszły wieści —  
i nie wiesz, jak i kiedy dotrzesz do granicy  
obłądnych kroków swych:  
Oby twym drogom błogosławił



ktoś, kto cię kochał kiedykolwiek,  
a dziś pochowan jest w grobie.

Sawitri poszła w pustynię  
do męża Satyawana.

Czarne jagody,  
bierane w cieniu osiwiąłych świerków,  
na gęstych, granitem podścielonych kępach,  
oblegających marzenne jeziora,  
były jej karmą biesiadną.  
Lecz przyszła chwila,  
że i ten skromy owoc leśny  
wydał się wargom jej  
nazbyt zuchwałem przekroczeniem postu.  
Wszelkie najsroższe wypełnia pokuty,  
ażeby dla skazańca  
wyżebrać odwłokę skonu...  
Ciało biczuje prętami  
wilgotnych łozin;  
wychudłym palcem rozwiera powieki  
i z kątów ich wygania leniwy, natrętny,  
a dobroczynny zapach snu...  
Gdy gardło wyszło z pragnienia,  
tak, że się krok jej chwał za każdym  
choćby najmniejszym kamyczkiem,  
pod każdą zwiędłą łodygą  
goryczkowego ziela,  
czy złotogłowiu,  
nad zdrojów kryniczną stawała orzeźwą.  
I osłabioną nie mogąc już wola

zapobiec zwycięstwu  
pożądliwości,  
dłoń zanurzywszy w wodzie,  
kilku kroplami  
wyswabadzała uwięziony język,  
iżby choć szeptem zawołał: „Bogowie,  
okażcie litość nad Satyawanem!“  
Lubiła ongi chodzić na przełęcze  
murawą pokrytych gór  
i granatowe pieścić gencjany,  
a teraz, patrząc, jak, nieświadom końca,  
zbliża się k'niemu syn ślepeca,  
wzrok swój od cudnych odwraca już kwiatów.  
Nie chce obudzać podejrzenia w duszach  
żywotowładnych bóstw,  
iż w trosce swej  
szuka pociechy w odbiciu bajecznych,  
poszukiwaczom rajskich fatamorgan  
rzadko widzialnych nieb...  
Nieraz, siadując o zmierzchu  
pod konarami drzew,  
zlewała całą swą istotę  
z ich szumem,  
czując w nim dawnych czasów przypomnienie,  
gdy sama była jednym z nieuchwytnych,  
nieodgadnionych współdzwięków Prabytu.  
Teraz, gdy oddech zachodniego morza  
począł poruszać liściwiem,  
uszy drżącemi zatykała dłońmi,  
mówiąc: „nie wolno pograżać mi serca  
w tej najwybrańszej rozkoszy,  
albowiem celem mych dzisiejszych dni



jest umartwienie, by życiem  
mógł się zbawiony rozkoszować mąż...“

Ale inaczej było napisano  
w wyroczniach:

Wziął Satyawana siekiere  
i szedł w głębinę puszczy  
ciąć drzewo.

Za nim Sawitri z smutnemi oczyma. —  
Ledwie ukroczyć wydała: przeczucie  
w ciężkie łańcuchy zakłuło jej nogi.

Wlokła się za nim, serce niosąc krwawe  
w zmęczonych dłoniach, jak urnę,  
pełną objaty Śmierci — — —

Stary, pochyły rachmistrz  
otworzył cicho drzwi mej izby,  
wśliznął się do niej, jak wąż,  
i, za mojami stanawszy plecami,  
szepce mi w uszy: „chcesz wiedzieć,  
na ile godzin i minut i sekund  
liczą się jeszcze twe dni?“

Wyciągnął czarną tablicę  
i kredy kawałkiem  
począł straszliwe kreślić runy.  
„Niel!“ wykrzyknąłem. „Niel!“

Liście dzikiego chmielu  
szeleszczą w progu na prętach sosnowych,  
po szybach szmer się zsuwa tajemniczy,  
szary, ogromny pajak  
na lśnistej spuszcza się przędzy  
i kroczy wielkimi krokami  
po świstkach żółtkłego papieru.

A tam! z tej mgławej, w pochmurnym księżycu  
tonącej dali,  
pełnie Sawitri śpiew:

„Płynę w pałace Śmierci —  
w malachitowe mauzolea,  
ku słupom kaplic z labradoru,  
ku kopcom zbawców i męczenników,  
ku cmentarzyskom, po których  
zostały ścieżki dla mrówek“ — —

Korę asoki, beztroskiego drzewa,  
jął Satyawana rąbać i tej chwili  
upadł na łono stroskanej, szepczący:  
„Wzrok mi się zamglił, osłabłem“.

I wraz przed córką króla Aśwapati  
stał młodzienc w piaszczu purpurowym  
i szzerwieniałą zatopił źrenicę  
w jej przerażeniu.

„Kto ty?“ — jęknęła — „i poco w twych ręk  
ten powrót?“

„Imacz-ci jestem dusz“ odrzeczc, —  
„Yama, bóg śmierci: przychodzę  
zabrać ci miłość, a zostawić żal“.

Poczęła błagać, lecz nieublagany  
wydobył duszę z ciała jej małżonka  
i, skrępowawszy powrozem,  
wiódł ją ze sobą w swą włość.  
Za nim Sawitri w łzach:  
„Zgasł-ci mój żywot“ — płacze — „zgasł!



Skończyło się moje szczęście!  
 O Yamo! Yamo!  
 Czerwonooki panie śmierci,  
 wróć-że mi skarb mój, wróć!"  
 Szła tak tysiące mil,  
 aże młodzieniec w płaszczu purpurowym,  
 ulitowawszy się jej trudu,  
 zawoła: „Sawitri!  
 Spal krwawe serce, które niesiesz w dłoni,  
 ofiarę uczyni bogom  
 i żądaj łaski ode mnie:  
 Przez twoją wierność wszystko ci wypełnię,  
 nie oddam tylko duszy Satyawana".  
 Tak ona powie: „Ojciec jego ślepy;  
 któż go prowadzić będzie, gdyś mu zabrał  
 syna, podporę jego lat?  
 Spraw, iżby przejrzał  
 i zasiadł znowu, wygnaniec,  
 na swym królewskim tronie w Salwie".  
 „Stań się, jak rzekłaś" — odpowiedział Yama  
 i uszedł tysiące mil.

Za nim Sawitri w Izach:  
 „Nie strudzą się kroki me,  
 pójdę za mężem w twój ślad;  
 szlachetny był i dobry,  
 kres mój u jego kresu..."  
 „Wróć się, Sawitri" — rzekł Yama;  
 „twój kres daleki-ć jest; nim dojdiesz  
 do brzegu mych Oceanów,  
 sto gwiazd się spali w swych ogniach —  
 Jak zwiędły oset lub pomięty

stopami szarugi zimokwit,  
 schnie twoje ciało od nadmiernych pokut.  
 Ale mnie zmaga twa wierność  
 i twoja dobroć: Mówże, czego pragniesz;  
 że środka ziemi skarby ci wykopię  
 i dam, dam wszystko, prócz życia  
 Satyawana".  
 „Stracona jestem dla rodzica" —  
 powie Sawitri — „niechże-ć ojcu memu,  
 królowi ziemi, stu wyrosnie synów,  
 aby nie zginął ród".  
 „Nie może zginąć plemię" — odrzekł Yama,  
 „jeśli z pnia jego wyrosła latorośl,  
 tak umiejąca cierpieć.  
 Król Aśwapati  
 stu synów będzie miał".  
 I silniej jeszcze skrępował powrozem  
 duszę zmarłego  
 i biegł tysiące mil.

Za nim Sawitri w Izach.

Szli traktem wielkich kopców,  
 sypanych ręką wdzięczności  
 dla zbawców i męczenników.  
 Połami bitew szli, gdzie ongi  
 inkrustowane złotem zbroje  
 zdzierała chciwość z poległych.  
 Cmentarzyskami szli, po których  
 zostały ścieżki dla mrówek.  
 W łupinie orzechu  
 płynęli morzem, co tysiąc



śmiałyż pożarło żeglarzy,  
 poszukiwaczy nowych łądów  
 i przewoźników kosztownych kamieni.  
 Wreszcie dotarli do bram  
 snać nieprzebytej puszczy.  
 „Wróć się, Sawitri“, tak ją błagał bóg,  
 co, za pogrzebnym idąc wozem,  
 bierze pod rękę towarzyszkę, Żalność.  
 „Wróć się, nie przejdzie tą gęstwina  
 śmiertelna stopa twa“.  
 „Przeto pozostaw tu me ciało“ — powie —,  
 „a duszę na arkan swój weź  
 i powiedź razem z duszą Satyawana,  
 albo mi oddaj żywe jego serce!“  
 „Niewiasto dobra i szlachetna,  
 kwitnąca kwiatem poświęcenia!  
 Nie mogę-ć tego uczynić,  
 lecz żądaj inne nagrody,  
 a usta ku tobie nachylę  
 i szepnę ci: masz ją!“  
 Tak rzecze ten dziwny młodzieniec,  
 okrajem jesiennych rozlogów  
 chodzący o zachodzie  
 w swym purpurowym płaszczu...

A ona: „Ostatnia ma prośba:  
 Jeślim jest dobra i szlachetna,  
 kwitnąca kwiatem poświęcenia,  
 dlaczego zginąć ma we mnie  
 to, co wyzwoli świat?  
 Spraw, iżbym miała stu synów,  
 ojców pokoleń stu,

które rozrosną się w ogród  
 cnót...“  
 „Stu synów będziesz mieć; wyruszą w bój  
 przeciwko Writrze, wrogowi  
 świętego pana stu ofiar,  
 Indry, co wrogiem  
 występku jest i grzechu...  
 Chciwość, władczyni pobojowisk,  
 nie zedrze z poległych  
 — albowiem żyć będą wiecznie —  
 inkrustowanych złotem zbroić“.  
 Tak-ci jej szumi Yama  
 szumem, płynącym od puszczy.  
 Wraz ona mu zawtórzy:  
 „Jakżeż ja mogę mieć stu synów,  
 nie popełniwszy występku i grzechu?  
 Uwolnij duszę Satyawana,  
 bo on-ci jedyny  
 posiada prawo być ojcem rycerzy...“  
 Zawstydział się Yama,  
 ale i rozradował,  
 iż go zmogła niewiasta.  
 Uwolnił duszę Satyawana  
 i wiódł ich gęstwiną,  
 która za każdym ich krokiem  
 w rozkoszny zmieniała się Raj...  
 W tym samym czasie  
 patronka tej, co zmartwychwstanie  
 dała synowi Dyumatseny,  
 panującego w żywookiej chwale  
 na tronie Salwy —  
 Pani, w ofiarnych mieszkająca ogniach,



którą czcil król Aśwapati,  
 ojciec stu mężnych synów, —  
 Sawitri —  
 płynęła w kwiecie lotosu  
 po niezmiierzonych głębinach.  
 Wokrag rozlegał się jej śpiew:  
 „Płynę w pałace Śmierci,  
 na bezgranicznem zbudowane morzu,  
 lecz przejdę bezkarnie pod sklepiskiem  
 malachitowych mauzoleów,  
 ominę luki jej kaplic,  
 wsparte na słupach z labradoru,  
 i znów w błękitnej przegładnę się fali,  
 albowiem jestem Sawitri,  
 albowiem jestem Miłość...”

Ta-ci odwieczna jest pieśń  
 o poczerniałych,  
 przedwczesnym zwarzonych mrozem  
 liściach dzikiego chmielu,  
 oplatających mą przyzbę.  
 Czcigodny dwidźah, Arja,  
 samotny, siwy odwiecznych ogrodów stróż  
 (rośnie w nich święta vanaśpati,  
 z której bogowie warzą napój somy  
 i w wielkich chwilach radości  
 dają go ludziom, ażeby zaznali  
 rozkoszy zamknięcia ócz  
 przed otchłaniami),  
 ufnym ją śpiewał głosem,  
 gdy ciężką, żelazną motyką  
 jął okopywać korzenie

drżącej od zimna rośliny...  
 A ja, któremu się zdawało  
 (za dawnych, dawnych lat),  
 że zawrę w hymnie swym tęsknotę dusz,  
 jedną mam tylko żądzę:  
 ażeby w drodze  
 do świętych przybytków w Ellorze  
 mniej było łez i krwi...



V

O ZMIERZCHU  
WIECZORNYM



I.

Wczoraj, o zmierzchu, czekając na cienie  
Nocy, by nurt ich pochłonał głęboki  
Treść moich godzin samotnych, wspomnienie,  
Chciałem ci taki wysłać list: „Swe kroki

Do mego domu skieruj, wędrownico  
Po ugorzyskach miłości! Prawdziwie,  
Na niczem zbywać ci nie będzie. Lico  
Obetręć z znoju, aby w ócz twych szkliwie

Znój jeszcze większy załśnił. Proch z twej pięty,  
Do której błoto lepiły podróże  
Za grozą szczęścia, zwieje ci poczęty  
Z ognia mój oddech, by je nowe kurze

Okryły smutną szarością żywota!  
O, jakim cudem błękitnego morza  
Blyszczą się twoje źrenice! O złota  
Potęga łona, którą jasność boża

Księga miłości.



Stworzyła w chwili upojnej uciechy  
 Nad swem tworzeniem, jakiejż ty mnie kary  
 Wabisz ponętą! Za jakie mnie grzechy  
 Strącasz do piekiel, tak żądnych ofiary

Zbudzonej duszy?... Słońce nam zagrało!  
 Naścież rozwarłe światłości wrzuciadze;  
 Spocznij tu przy mnie! Pali mnie twe ciało!  
 Ognia twojego serca ja nie sądzę,

Bo ludziom głodnym pytać nie wypada  
 Czy też w jałmużnie, danej im pod ścianą  
 Weselnej chaty, nie kryje się zdrada  
 Pleśni. O dziwna igraszko! Wezbraną

Fal biczących się wzajem Gehenną  
 Wre w mojem sercu chmurny ogrom toni,  
 Którą widziało pogodną i senną  
 - Tam, na słonecznym Południu. Niech goni

Burza za burzą — naośle! Żeglarze,  
 Pchani przez Dolę ku bezbrzeżom świata,  
 Wichrów uleknąć się nie mogą. W parze  
 Z przyjaźną śmiercią, na druha i brata

Nie zważający, rzucają ogrody  
 Pomarańczowe, gdzie dzieci i żony,  
 Druhy i bracia, plon gromadząc młody,  
 Niezdolni spojrzeć na owoc, spłoniony

W całunkach słońca, iżby nie myśleli  
 Z trwożą o tamtych... O pomówmy z sobą!  
 Wierzaj, daleko będzie nam weselej,  
 Gdy pogwarzymy o — Śmierci: Żalobą

Zyjemy wszyscy, niekiedy i skruczą,  
 Jeśliśmy dotąd — możeż być inaczej? —  
 Sakw nie zrzucili, które nam, pastuchom  
 Swych własnych lęków i cudzych, prostaczy

Zapycha moral głazami i kładzie  
 Na nasze barki... Głupi świat i głupie  
 Są jego prawa. Czy nie tak? Na zdradzie  
 Cóż nam dziś stoi? Ja i ty! Okupię

Wszystką łzę twoją, jeślić pod powieką  
 Nie zdola jeszcze wyschnąć do tej pory,  
 Kiedy się w pustkę mroczną i daleką  
 Zgubi ta światła drobina, dla chorej

Duszy stworzona przez miłość... Do czarta!  
 Czem ją okupię? Mów ty, zarzewiem  
 Złudy się dręczysz, żeś więcej jest warta,  
 Niżeli skrucza... Mów ty, ja dziś nie wiem."

Taki ci chciałem wysłać list w godzinie  
 Zmierzchu wczorajszej, kiedy wspomnień nawał  
 Począł swój taniec w jej próżni... Niech ginie,  
 Albowiem w mgłach jej przed duszą mi stawał



Wróg, co nam głązy nakłada. I słowa,  
 Których dźwięk każdy we krwi mojej broczy,  
 Zawarłem w księdze tajemnej: Niech chowa  
 To, co me tylko rozumieją oczy.

## II.

Śmieszni jesteśmy wszyscy: kpiarz wesoly  
 I smutny mędrzec; ci, co z białym strachem  
 O łaskę życia żebrzą i ci z czoly  
 Podniesionemi, gardzący tym łachem,

Co się na plecach Bytu zwie purpura  
 I gronostajem — my wszyscy, o wierzaj,  
 Jesteśmy śmieszni do zbytku. Ponurą  
 Komnatę swoją otwiera naścieżaj

Śmierć dla radości, zanim jeszcze radość  
 Stała się pełnią kształtów, które przeczą  
 Chorobliwemu wędnięciu i zadość  
 Czynią pragnieniom, zbudzonym pod pieczę

Twórczego świtu! A ból? Krotochwilę  
 Miałem niedawno ucieszna, gdy na nic  
 Rozpadł się jego kościół, w takiej sile  
 I aż do takich wyniesiony granic!!



Złym budowniczym jest miłość! Wiadomy  
 Stał mi się przykład, iż wtedy najwcześniej  
 Choćby największe maleją ogromy,  
 Gdy nam się zdaje, że się już nie prześni

Nigdy a nigdy ten Raj — dziś stracony, —  
 Z serc lekkomyślnej urodzon przysięgi...  
 Jak całowało słońce nieboskłony,  
 Jak rumieniły się te leśne łęgi,

Jak się błękitnił ten omam jeziora,  
 Kiedy, patrzący w błękit twoich oczu,  
 W warg tych rumieniec, rzekłem-ć, że jest chora  
 Wszystka ma dusza, jak ten świerk na zboczu,

Pasorzytami jedzony... Pamiętasz?  
 Drzew, najemniczą zrąbanych siekiera,  
 Leżał przed nami wielki, żółty cmentarz;  
 Głaz się z loskotem toczył i na szczerą

Miazgę rozbijał bratnich głazów zwały;  
 Potok się pienił, wrywając kepy  
 Młodych sadzonek, mchów i zielsk, wspaniały  
 W swem niszczytelstwie, słuch mający tępy

Na jęki brzegów, co się darmo bronią  
 Jegó szaleństwu. Mówilem ci wtedy,  
 Iż jakiś upiór grozi mi swą dłońią,  
 Wrogą mym oczom; iż wśród trosk czeredy,

Która wybrańcom swoim wzrok przyćmiła,  
 Ze już nie widzę wcale, gdzie jest szczęście,  
 A gdzie nieszczęście, nowa idzie siła,  
 Co, czarne z głodu wyciągnąwszy pięście,

Niemilosierny kłam zadaje woli,  
 Pragnącej stałą miecza i pawęży  
 Zagrozić przystęp złudzie, która boli  
 Więcej, niż kłamu rzeczywistość... Ciężej

Snać mi nie było nigdy, niż w godzinie  
 Owej spowiedzi. Tak podeptać wiarę  
 W moc swego zdrowia! Dać się uwieść linie,  
 Którą powiedle ręce Boga, stare,

Niepewne ręce rozciągnęły zradnie  
 Między dwa słupy spróchniałe, pomiędzy  
 Celów sprzecznością! Zapomnieć, że padnie  
 Z tej słabej, chytrze uplecionej przędzy

I najrzęczniejszy skoczek! Tak się oku  
 Pozwolić iskrą oslepić, co, jeśli  
 Mogłaby kiedy wszezać ogień w tym mroku,  
 W który szatani ducha nam ponieśli,

Stosby wzniecila ofiarny!... O, widzę,  
 Jak się już nad nim przechylasz radośnie,  
 Jak, w potajemnej ze zniszczeniem lidze,  
 Z drżączką uśmiechów, z których piekło rośnie,



Słedzisz, czy z godną swojej żertwy mocą  
Stos ten pożera tę niepewność rana  
I ten niepokój snów, wydartych nocom,  
I tę świadomość moją, że pijana

Dusza twym trunkiem bezwładnie się błąka  
Pomiędzy wolą a niewolą, słońca  
Chciwa a nocy pragnąca, w pająku  
Podwieczornego włóknach, co bez końca

Z trudem dzień cały naganiał do siatki  
Zdobycz i wziął ją o zmierzchu?... O, patrzę,  
Jak twej żelaznej skroni puklerz gładki  
Rysują lęki, czy złowrózbniej wiatrce

Dość żywicznegom dostarczył paliwa?  
Gdy żar przygasa, jak trwoga się wznawia,  
Czy twój skazaniec wie już, że godziwa  
Rzecz to na ścieżce prawa i bezprawia

Przystanąć w miejscu, które milknąć każe  
Krzykom sumienia!? Czy schwycił już kielnie,  
Murarz bezwzględny, który w ludzkie twarze  
Rzucił szyderstwa krwawą garść i czelnie

Począł murować grób, by w jego ciemni  
Pogrześć to z pośród serc wyrwane serce?  
Czy jest już gotów, jak owi najemni,  
A niespłaceni knechci, w poniewierce

Zostawić żądę niestrudzonej wojny?  
Zedrzeć z swej piersi ryngraf i po świecie  
Wielbić tchórzostwo ciurów? Czy spokojnej  
O swe zwycięstwo uległ już kobiecie?...

Bo ten od wieków bój — nierozstrzygnięty —  
Pomiędzy nami toczy się a wami.  
Kogo śmiertelne pochłona odmetry,  
Zwycięzonego kto się krwią poplami,

Nie wiem, wiedzący, że nikt mi nie powie,  
By nie był śmieszny człek, co lekceważył  
Tę dobroczynną ufność w swoje zdrowie...  
Było to wówczas — pomnisz? — gdy się żarzył

Łuną czerwoną zradny wąż przełęczy,  
Wiążącej strome zła i dobra szczyty  
W nierozzerwalny ogrom. Kiedy z tęczy  
Głębi jeziornej, jeszcze nie zakrytej,

Jał się powoli wynurzać olbrzymi,  
Potworny obłok mgieł i wód powierzchni  
Zasepiać cieniem Zachodu... Jak dymi  
I las i łąka i fala! Jak mierzchnie

Ziemia i niebo i dusza!... Pamiętasz?  
Było to wówczas, gdy ostatnie dreszcze  
Blasków słonecznych gasły, a nad cmentarz  
Drzew powalonych nie podniósł się jeszcze



Księżyc kojący. Gdy z ziół aromatem,  
 Tchu wieczornego jasną zlanym rosą,  
 Zlewał się zapach przez Stwórcę, w bogatym  
 Trwonieniu łaski, dan twym bujnym włosom

I twemu łonu... Wówczas, gdy twe oko  
 Wdał się rozwarło, rzekłem ci, iż pusta  
 Głęb to, a na to ty: „Jak w niej głęboko  
 Utopisz serce!...” Jam wierzył... Gdy usta

Drżały, by kielich rozchylony, boży,  
 Pierwszego kwiatu, rzekłem ci: „Na wieki  
 Czar ich obliczon...” „Serce ci się strwoży  
 Na śmierć”, szepnęłaś z uśmiechem. „W daleki

Gdy go poniosę świat, ten czar...” „Tak wierzę” —  
 Oto, com sobie milczkiem odpowiedział,  
 Nie chcąc, by słowa były ni to dźwierze,  
 Na żal otwarte! Czulem, iż ten przedział

Między wymownym, choć tajnym szelcstem  
 Jodeł, a ludzkiej niedołęstwem mowy  
 Nazbyt mnie ranił... Lecz dziś zdrów już jestem,  
 Choć byłem śmieszny, zaufać gotowy

Twemu proroctwu... Śmieszni my oboje,  
 Albowiem przyznać nie chcesz dziś, że radość  
 Wyschnie i skona, jak te piasku zdroje,  
 Zanim uczyni pełnią kształtów zadość

Naszym pragnieniom; że właśnie w tej chwili  
 Pagoda bólu rozpada się na nic,  
 Kiedy się miłość, lichy mistrz, wysili,  
 By ją wywyższyć do ostatnich granic.



## III.

Złocistem winem czarę napelnioną  
Do ust podnoszę, by ją wypić do dna  
Na twoje zdrowie! Gdzieś daleką stroną  
Chodzą twe stopy, przecież wiem, żeś godna

I trunku tego i tej kryształowej,  
Drogiej szklenicy, którą oto tłukę  
Na tysiąc skrawych kawalków! Rozmowy  
Chciałbym dziś z tobą, choć życie naukę

Daje nam gorzką, że człowiek, w nadzieję  
Zamykający swą duszę, zostanie  
Wybrańcem trwogi. Lecz któż się nie śmieje  
Z lęku, jeżeli sute żniwobranie

Przyobiecuje nam dłoni uściskiem  
Los, który w naszym zjawił się ogrodzie  
Nieoczekiwan; Obyć było bliskiem  
Spełnienie jego przyrzeczeń!... Na wodzie

Piszę te słowa na mojego wnętrza  
Fali przezróżce, w której się zanurza  
Słoneczny zachód i gaśnie: Nie spiętrza  
Cichego lustra żadna wrząca burza,

Jakkolwiek czuję, że ludzie cnotliwi  
— A u cnotliwych ludzi jestem w gości —  
Drwić będą ze mnie, lub że ich zadziwi  
Moja odwaga... Pokaż im, że prościej

Nikt nie wymierzył drogi dla pogardy  
Owego przyczyn i skutków łańcucha,  
Który nas skuwa, jak więźniów, niż hardy  
Napór twej woli... Juścić nie posłucha

Twoja tęsknota, zagrzebana w ciszę,  
Mej wiernej rady — jeśli coś z tęsknoty  
Żyje ci w sercu —; juścić wiem, że piszę  
Dzisiaj te słowa na wodzie, że „złoty

Promień nadziei“ uprzedły trzy siostry,  
Coby twym własnym zaprzeczyły losom  
I doli świata, gdyby nóż ich ostry  
Stępiał na chwilę... Urągać niebiosom

Nacóż się przyda? Urągajmy raczej  
Cnotliwym ludziom... Przyjdź jutro... Zaproszę  
Tłum ich na wieczór, niechaj tłum zobaczy,  
Jakie w tej zbrodni naszej są rozkosze,



Jak wyrzekamy wszelkiej się pokuty,  
Wolni od strachu gwałcicielu sumień,  
Z jaką czelnością duch nasz, z pęt wyzuty,  
Sypie zwycięski wał nieporozumień

Pomiędzy nimi a nami... Mam w domu  
Wino; jest dobre: Jeszczem nie kosztował,  
Bo pić nie lubię sam i pokryjomu,  
Chociażby sięgał żal mój aż do pował

Niebios, lub rył się aż do bezdna piekła!  
Lecz pan radości, co mi w swej dobroci  
Przysłał ten trunek, rzekł mi, że jest wciekła  
Moc w każdej kropli, że każda się złoci

Ogniem, jakiego będziemy świadkami  
Chyba w dzień Sądu. „Mam dowód“, powiada:  
„Jednemu z bliskich — wszelki człek się mami,  
Że ma swych bliskich — sprawilem nielada

Uczę: Był u mnie, wypił puhar wina  
Z mojej piwnicy i krzyczał: „Szatani  
Szczep ten zrodzili, gdy przyszła godzina  
Buntu, a tyś go wyhodował dla niej

I dla mnie!“ Prawda. Jakby bowiem zmysły  
Stracił z miłości, pobiegł ten szalenciec  
W dom swoich krewnych. Gwiazdy się rozprysły  
Po łanach stropu, stargany ich wieniec

Ćmił jego oczy, gdy tak szedł uwodzić  
Żonę czy córkę przyjaciela. Potem  
Chcąc żądzą buntu swej duszy dogodzić,  
W łeb sobie palnął...“ Takim, widzisz, młotem

Jest owy napój. Ale tylko słabi  
Giną samo chcąc; przecież my oboje  
Jesteśmy silni. Niech cię więc przywabi  
Traf, co letejskie przygotował zdroje

Nawet dla sumień najsilniejszych. Zali  
Myślisz, że nie wiem dzisiaj, iż te słowa  
Piszę na wodzie, na spokojnej fali  
Mojego wnętrza, co ściąć się gotowa

W ziemniejsze jeszcze i szklistsze zwierciadło,  
Ażeby odbić w swej tafli przezroczej  
Ten chłodny grymas widma, które siadło  
Tuż u jej brzegu i, wlepiwszy oczy

W ludzkiego bytu głębie, czy mieliznę,  
Swoją żółtą, sypki przesypuje piasek?  
W cokolwiek zechcą, niechaj będą żyzne  
Chytre twe myśli, tylko przyjdź! Niesnasek

Gminnych, wynikłych z niepewności źródła,  
Czy mam przed sobą cześć czy wstyd, nie zrodzą  
Zadne poszepty gwiazd ni ta wychudła  
Potworność nocy niesytej... Pod wodzą



Lekceważenia — które niechaj mściwa  
Sfora Erynyj ściga, jeśli pragnie:  
Cóż nam do tego, że gorzkie są żniwa,  
Z gorzkich posiewów bożych na tem bagnie

Życia wyrosłych? — Siądziemy przy stole  
Śród grona ludzi cnotliwych. Zaiste!  
Z cichych, podstępnych względów się wyzwolę  
I, pochwyciwszy to wino złociste,

Które mi przysłał możny pan radości,  
Iżbym oszalał, przepijany mocą  
Tych wrzących kropel, rzeknę do mych gości:  
„Wierście mi, siostry i bracia! Sieroca

Jest nasza dusza i ślepa, omackiem  
Poszukającą Boga w głuchej mroczni,  
Jeśli jej w słowie przeczeń świętokradzkim,  
Jeśli jej w czynie — niech się unaoczni

W deptaniu cnoty czynu jej odwaga! —  
Nie towarzyszy grzech!... Dziś ja i ona,  
Ta co tu siadła w swym bezwstydzie naga,  
Przy tej biesiedzie grzechem rozploniona,

Targamy więzy waszych praw!... Co chcecie,  
Mówcie. Ja kielich wznoszę ten i do dna  
Chylę jej zdrowie, sam jeden na świecie,  
Co się nie pyta: „godna czy niegodna?”

Tak-ci im rzeknę... Lecz ja wiem, że piszę  
Dzisiaj te słowa na wodzie... W samotnię  
Zdrój to zamknięty, na złowrogą ciszę  
Skazan, niestety! niestety! stokrotnie

Sroższą od burzy... Ja wiem, że daleką  
Stapasz gdzieś stroną, że serce ci straszy  
Majak Ostatniej Wieczery, gdzie rzeką  
Grzech się przelewa w kryształowej czaszy...



## IV.

Oto wieczorny zmierzch, co plachty sine  
 Kładzie na pola... Jeszczem nie zapalił  
 Światła w pokoju, albowiem w godzinę,  
 W której się nocny mrok nie rozzuchwalił

I ócz ślepotą nie pokarał świata,  
 Rad jestem patrzeć i słuchać, jak ze mnie  
 Coś się odrywa i milczkiem ulata  
 W te przedalekie półblaski, półciemnie.

Nie wiem, gdzie spocznie ta cząstka płomienia,  
 Z której nam ręce ulepiły boże  
 Gasnącą duszę... Krąg się rozprzestrzenia  
 Poza kres wzroku i słuchu. W przestworze,

Nieogarniętym snać i łukiem ramion  
 Samego Stwórcy, szaleją radośnie  
 Tumany śniegu. Horyzont nie splamion  
 Ułudną zorzą, czeka w mgłach, aż pośnie

Wszelki nurt morza, widzialny jedynie  
 Mojemu wnętrzu. Zapewne w tej chwili  
 Chłonie on słońce niewidne: Nie spłynie  
 Żar jego na mnie, tęczą nie umili

Onych wybrzeży, szumiących daleko  
 Poza tą pustką mej izby... Gdzie jestem?  
 O ty kłamliwa zapomnienia rzeko,  
 Co ponoć chłodnym ogarniasz szelestem

Świadomość szczęścia i rozkoszne ciepło  
 Minionych godzin wiosennych na zawsze  
 Topisz w swej głębi, ażeby zakrzepło  
 W martwość fal twych przycichłych!... Łaskawsze

Chyba masz koła dla tych, co, pobledli  
 W walce z pokusą wyrzeczeń, niechętni  
 Ciągłym zmaganiom, z zamkniętem usiedli  
 Okiem nad życia przepaścią, gdzie tętni

Gorzki twój rozlew, i sercu wydarty  
 Głaz swego bólu rzucają omackiem  
 W lej twoich wirów... Lecz kto z czujnej warty  
 Schodzić nie myśli w nędznem, świętokradzkim

Przeczeniu bytu, co nie pierwej spocznie  
 Nad ową cichą, tajemniczą miedzą,  
 Przy której blade, niepewne wyrocnie  
 Ze swemi wróżby niepewnemi siedzą,



Póki go słońca wielkie, twórcze ognie  
 Nie usynowią — na ziemi, dopóki  
 Nie będzie władcą mroków i nie pognie  
 O swe kolana, nie strzaska na sztuki

I precz nie rzuci żelaznego kija  
 Tych swoich ślepych przewodników, losów;  
 Kto mimo klęski z żądzą się nie mija,  
 Aby raz jeszcze z pogardą dla ciosów

Zapamiętałej, nieustannej burzy,  
 Zmóc się z swą własną duszą, tak zdradliwie  
 Zawijającą do portu wśród wzgórzy,  
 Odzianych w kwiaty i świeże liściwie

Drzew cytrynowych; kto ciężar swych powiek,  
 Snem ujarzmionych, pragnie wznieść nad wielką,  
 Mgławą bezkresną doliną, gdzie człowiek,  
 W oszołomieniu tęsknicy, kropelką

Asfodelowej upaja się woni  
 I już bez zmysłów, zwierz ubity, leży;  
 Kto sił ostatniem wytężeniem broni  
 Szezelnie zawartych swego domu dźwierzy,

By nie wtargnęła w nie ta zła, nieznana,  
 W bezmyślnej trwodze przeczuta potęga,  
 Nieprzyjaciółka dziecięcego rana,  
 Męskich południ wróg, co chciwie sięga

Ku zastawionym stołom, ku biesiedzie  
 Wzroku i słuchu, pożera ich strawę  
 I, na zabójczych swoich hułców przedzie  
 Mająca Boga, czyni sobie krwawę

Igrzysko z wzroku i słuchu i potem  
 Nagle je gasi; kto przy strasznej drodze,  
 Gdzie bitne wojska kładły się pokotem,  
 Ma wolę siadać z uśmiechem, że wodze

I zaciężnicy spełnili ofiarę  
 Wielkiego życia; temu fał twych plony  
 By szkło, bezbarwne, obojętne, szare,  
 Druhy nadziei, w beczynie zrodzonej,

Nie będą gościem, którego witamy  
 Jak przyjaciel! Ty z odległych stolic,  
 Z krajów, bogatych w rozkoszne omamy,  
 Z ziem niezbadanych, z marzennych okolic

Dziwnych nam wieści nie niesiesz o cudach,  
 Przezeń odkrytych!... O rzeko kłamliwa,  
 Wspomnienie słońca gasisz w wielkoludach,  
 A duchy wąfle, zasnutę w przedziwa

Nocy miesięcznych, wiedziesz na pustkowie,  
 Po których śmierć się wałęsa... Nikt nie wie,  
 Kim jest, olbrzymem, czy karlem, lecz zdrowia  
 Niech każdy pragnie, ażeby żarzewie



Siły rozdmuchać, drzemiące — bez wiedzy —  
W duszy najsłabszych... O rzeko ty smutna!  
Ciężkim się toczysz rozplywem ku miedzy  
Tych łąk rozległych, gdzie całunne płótna

Białą się w słońcu nieznanem! Okręty  
Zabierasz dumne ze sobą i łodzie,  
Marne lupiny orzechu, prześwięty  
Szał i tę lichą złość, co ma na spodzie

Żal zawiedzionych nadziei!... Lekarze  
Ludzkiego serca mówią, żeś jedynem,  
Żeś jest najszczerszem ukojeniem. W parze  
Z twą zbawczą mocą, która jest beczynem,

Nic tu nie chodzi, chyba śmierć... Odpowiedz,  
Czemu w tej chwili półświatła, półmroku  
Tak mnie omijasz? I owszem. Wędrowiec,  
Który się wyrwał z pijanego tłoku

W karczmie przydrożnej i, sam wpółpijany —  
Nie chciał trzeźwością ranić towarzyszy, —  
Podąża chwiejnie śnieżystymi łąny  
Ku jakimś nowym roiskom, gdzie słyszy

Jakieś niezwykle hymny, gdzie dostrzega  
Żrenicą przeczuć jakieś światła nowe,  
Każdy napina nerw, aby u brzegu  
Przepastnych dolów, nim jeszcze połowe

Drogi swej przeszedł, nie stać się zdobyczą  
Zdradnej senności... A ty, zapomnienie,  
Zdradną li jesteś sennością! Niech krzyczą  
We mnie te wszystkie widma, które w cienie

Snać już odeszły — tak mi się zdawało  
Jeszcze przed chwilą —! Teraz, gdy, do szyby  
Skróń przycisnąwszy, patrzę na to ciało  
Potwornych zmierzchów, zakowane w dyby

Przepotwornego milczenia, niech we mnie  
Szaleje orgja obłąkanych domu:  
To com uczynił i to, co daremnie  
Pragnęło spełnień w godzinie rozgromu

Siły i woli, niech mi dziś wyrzutem  
Będzie lub łaską, niech krwawi czy koi —  
Świadectwem życia jest, w mgły nie zasnutem  
Przed okiem widza! A my wszak ostoi,

Która się zowie ślepotą i końcem,  
Nie chcemy jeszcze, ma duszo! My jeszcze  
Wszak mamy żądzę bytu, co się słońcem  
I dnia początkiem nazywa, co dreszcze

Budzi na głębiach mórz i tęczę złote  
Hojnie rozsiewa na szare, zmartwiałe  
Piaski wybrzeży...

Lubię swą tęsknotę,  
Serca naszego niezaprzeczną chwałę,



Uwalniać z więzów w tej zmierzchu godzinie,  
 Gdy jakiś ogrom nieznanego świata  
 Wstaje za pustką mojej izby, ninie  
 Tak pełnej gwaru... Lubie, gdy ulata,

Gdy się odrywa ode mnie to płomień,  
 Które przedwieczne stworzyło żarzewie — —  
 Lubie?... Doprawdy!... Nie! Na jakim złomie  
 Spocznie ta cząstka, ach! tego nikt nie wie...

## V.

Cicho za nami sunie cień żywota,  
 Stworzon przez słońca krąg, który już kona...  
 Patrzeć jak szczyty drżą w rozbłyskach złota,  
 Jak obrzeż lasu zasypia, ściemniona!

Wszakżeż to było gdzieś pod koniec września...  
 Przemykam oczy, aby tem wyraźniej  
 Ujrzeć tę chwilę, która się rozpieśnia  
 W hymny zachodnich zórz, gdy owi głaźni,

Martwi rycerze płoną ich ogniami  
 Na zimnych licach... Towarzyszu miły!  
 Tak! Szliśmy sami, a jednak nie sami,  
 Szliśmy bezsilni, jednak pełni siły —

Słabość na myśli mając, obaj przecie  
 Czuliśmy w duszy, że moc nam jest bliska:  
 W ślad nasz zdążyły w tym mierzchnącym świecie  
 Drogie imiona dwa, drogie nazwiska.



Skąd nam wyrosły, z nizin czy wierzchołów,  
Prawdą czy kłamstwem nazwie się ich trwanie,  
Po cóż nam w sercu ciężyc ma ten olów?  
Dwieśmy w południe zobaczyli łanie,

Pijące wodę z błękitów potoku,  
O takiej żarów głębi niemowlęcej  
W tem nieporadnem, a tak śmiałem oku,  
Że — do wieczora cóż nam trzeba więcej?

Stać w tem obliczu gór! Z zapartym w łonie,  
A tak swobody pragnącym oddechem  
Patrzeć bez żalu, jak na wieki tonie,  
Z lasów i źrójów nie złączona echem

Ta, niżli oddech, krótsza jedna, błoga  
Chwila pragnienia!... Stać na tej murawie,  
Którą przecina kamienista droga:  
W żywiołów dawnej, dziś umilkłej wrzawie

Zwał lodowcowy zaścielił to łoże —  
Stać tak i słuchać z rozwartą powieką,  
Jak te dwa kształty, nieskalane, boże,  
Słodko się pieszczą z tą odwieczną rzeką,

Odzwierciedleniem swych źrenic! O święta  
Chwilo rozkoszy, tajemniczych grodów  
Tajna mieszkanko! Serce niech pamięta,  
Że niezależna jesteś ni od wschodów,

Ani zachodów... Niezmarła tęsknota  
Wciąż cię zamyka w swe drżące ramiona!...  
Cicho za nami sunie cień żywota,  
Stworzon przez słońca krąg, który już kona.

Późno na polach tych górskich dojrzewa  
To liche zboże... Tam już zapomniano,  
Jak się od ziarna oddzieliła plewa  
Pod twardym cepem, a tu chłodne rano,

Kto wie, czy jeszcze tych owsów nie zwarzy,  
Zanim je skoszą... Ale na co, powiedz,  
Ma troska ludzka siadywać na straży  
Dnia jutrzejszego?... Taki jest manowiec

Kręty i ciemny u dalekich granic  
Tych myśli naszych, że lepiej, zaiste!  
Świadomość przyszłych dni mieć sobie za nic,  
A to radosne dzisiaj, to złociste

Zachodzącego słońca rozebrzmienie  
Łączyć w akordy, których niechaj słucha  
Twoje i moje serce, póki cienie  
Bezwzględna ręką nie przytłumią ducha

Jaśni rozbrzmiałej... Przytłumią? Nie! Oczy  
Mamy otwarte: Patrzymy, jak się palą  
Te płachty owsa! Jak z tej złotej zбочy  
Splywają kłosa, aby zlać się z falą



Tego potoku!... Nim nas droga znuży — — —  
 Prawda, czy może stępić nasze zmysły  
 Jakie znużenie w tej dziwnej podróży?...  
 Mój towarzyszu, kwiaty nam rozbłysły,

Dwa cudne krzewy krwawych róż wyrosły,  
 Przedwczesnym mrozom wydarte i śniegom —  
 Śpieszmy się, śpieszmy, nim je zerwą posły  
 Takich, jak nasze, żądz! Zazdrośnie strzeżę

Ich wiotkich koron przymilkłe wichury,  
 Na czas dogodny czyhające. Wcześniej  
 Pewnieć zaszumią złowróżbnymi pióry,  
 Niżli nadziei naszych sen się prześni.

Tak! Trzeba skrócić sobie drogę... Tędy!  
 Przejdźmy przez potok — brnij-że, brnij! — a potem  
 Zuchwałą stopą podepcemy grzędę  
 Ludzkich mozołów, nieopłatnych złotych.

W cudzy się ogród skradamy — cóż szkodzi,  
 Że w cudze zboże krok się nasz zagrzebie?  
 Któż tu właściciel zresztą, a kto złodziej?  
 Jest tylko człowiek, sam jest i dla siebie!

Nikogo, mówię-c nie słuchaj, jedynie  
 Własnego serca, jeśli serce swoje  
 Umiałeś życiem zamienić w świątynię,  
 W której się ciszą stają niepokoje

Życia. A wszakże nam, w tej głębi wnętrza,  
 Wielka tęsknica posiała już ziarna  
 Milczącej ciszy; przedsię ta jest świętsza  
 Od głośnych modłów; cna jest i ofiarna:

Oddaje duszę i ciało... Niech lisie  
 Kopią nam doły, groźne sypią szańce:  
 O prawach świata myśl, jak o przepisie,  
 Który łańcuchy stwarza i kagańce

Dla psów... Człowieka sieć ich nie omota,  
 Że jest człowiekiem, w tem jego obrona...  
 Cicho za nami sunie cień żywota,  
 Stworzon przez słońca krąg, który już kona.

Dokąd zdążamy, ach! dokąd zdążamy,  
 Dwaj wspólnym losem skuci przyjaciele?  
 Patrz! Na jaworach wieszają się plamy,  
 Jasne, ogromne: Śmierci to wesele

Tak się jaremi rozhułało blaski  
 Tam! na tym lesie, nad tą pół roztoczą?  
 Nikle dwa widma nieuchwytniej Łaski  
 Wioną przed nami, głucho, sennie kroczą,

W mgieł zróżowione tułą się opary,  
 Snać, że już ziemską opuszczają niwę...  
 A może, słyszysz? może jestem stary?  
 Raz wypowiedzieć trzeba to straszliwe



Słowo, choć takim napelnia mnie lękiem  
Przymus żegnania domu, tu gdzie człeczce  
Czuje się serce człeczem, nie rozdźwiękiem,  
Który się złudnie naszym śladem wlecze,

Aby zakłócać Rzeczywistość... Może  
Gaśnie już oko moje, może traci  
Władzę i w chwili dzisiejszej przestworze  
Już nie odróżnia widma od postaci,

Bryły marmuru od lotnego puchu,  
Tego, co zwiemy leniwym zastojem,  
Od pewnych siebie wzlotów, tak, od ruchu,  
Dowodu mocy!... Ale w wnętrzu twojem

Wszakże jest młodość! Wytęż wzrok! Do głębi  
Wniknij w dręczącej tej zagadki sedno:  
Pozór czy prawda?... Idźmy!... Nie wyiębi  
Ognia w mem sercu starem ani jedno

Prawo rozumu! Śpieszmy się! Do płota,  
Naszych ogrodów droga nie zamglona!...  
Cicho za nami sunie cień żywota,  
Stworzon przez słońca krag, który już kona...

## VI LISTY



I.

Ma przyjaciółko, pytasz się, co robię  
I czy mi życie upływa spokojnie?  
Owszem, po nikim nie chodzę w żalobie,  
Bo nikt mi z drogich nie zginął na wojnie,  
A gdyby zginął, mam wzdargę dla lezi!  
Zaś co do innych spraw, to powiem tobie:  
Że śmierć za nami włości się, jak pies.

Ale ty sama wiesz najlepiej o tem,  
Więc niepotrzebnie piszę ci te słowa.  
Jeno że liście martwem kapią złotem  
W parku, co w sobie tajemnicę chowa  
Wczorajszej wiosny... Czy ujrzę ją znów,  
Skoro w te okna zawita z powrotem?  
Noc mrokiem dyszy, a dzień mój bez tchów.

Pozatem, dawno zerwałem ze smutkiem  
I z oczu moich cały świat wyczyta,  
Żem gotów z chwili korzystać w tem krótkim,  
Chwilowem życiu; jest radość ukryta  
W zaułkach duszy i chce wyjść na jaw!  
Iżby nie była zrównana z podrzutkiem,  
Krzykiem nad krzyki dochodzi swych praw.



Więc się w błazeńskie uzbroiwszy żarty,  
 Śpieszy do ludzi ta radość wezbrana,  
 Pije ponadmiar, zagrywa się w karty,  
 Łokcie kobietom ścisną i kolana,  
 Sama ze siebie śmieje się do łez,  
 A tobie liczman posyła wytarty,  
 Że śmierć za nami włości się jak pies.

A może przecież jest prawdą ta świeża —  
 Dzisiejsza — liści czerwoność? A może  
 Prawdą nowina o skonie rycerza,  
 Którą czytałem dziś, w porannej porze,  
 W naszych dziennikach? Może prawdą — mów!  
 To, co mnie dzisiaj w twem piśmie uderza,  
 Że i dniu twemu wnet zabraknie tchów?

Głupstwo! Któż myśli o tem, co się stanie?  
 Jużci, że czasem pustka jest na świecie,  
 A kwas w glinianym osadza się dzbanie.  
 Dalej — po pierwsze i drugie i trzecie —  
 Słońce przygasa w szybach mrocznych chat,  
 Młodość ziarn szuka na wyschniętym łanie  
 A cień na duszę żralych mężów padł.

Niekiedy zda się mej dziwnej tęsknocie,  
 Żem już ze życiem stargał wszelkie węzły.  
 I to jest prawda... Tylko w jego błocie  
 Nazbyt głęboko me stopy ugrzęzły,  
 Bym świadomości jakiejś nie mógł mieć:  
 Wiem, co spoczynek po śmiesznej robocie,  
 Wiem, co żelazo i co żrąca śniedz.

I to — po czwarte i piąte i szóste,  
 Czy po ostatnie, któż rozstrzygać będzie?—:  
 Zona sąsiedzka uprawia rozpustę,  
 Ryś wybrał wilka na swojego sędzie  
 W sporze z myśliwym, jakiś nowy Bóg  
 Twarz sobie otarł w Weroniki chustę  
 I... po ostatnie — szkoda naszych dróg!...

Tak, widzisz, moja przyjaciółko miła,  
 Dni me uchodzą... Aha, jeszcze jedno:  
 Samotność, mówią, to nie jest mogiła,  
 Grzebiąca w sobie wielkie życia sedno  
 Ale świątynia, pełna lśniących bram,  
 Otwartych w przestwór... Słyszę, brzoza zgniła  
 W odludnej pustce i — człek skończył sam.

Śmiejmy się z tego!... A może wypada  
 Śmiać się i z tego, że gdy się na niebie  
 Ukaże miesiąc, jak teraz, gromada  
 Gwiazd, przedtem żywa, w srebrnych mżach się grzebie,  
 Że wicher się zerwał na niesyty łów  
 Liści jesiennych i że noc ta blada  
 Głosi i tobie ciężki dzień bez tchów?...

Wyznaj, że dzień ten już nadszedł... Lecz jeśli  
 Wyznać się lękasz, cóż to mnie obchodzi?  
 Ja wiem, że wióry padają z rąk cieśli,  
 Że na klejnoty chytry czyha złodziej,  
 Zaś co do innych spraw — któż zna ich kres  
 I któż ich wartość godziwie określi? —  
 To: śmierć za nami włości się jak pies.



## II.

List twój ostatni niemała mi radość  
 Zgotował wzmianką, że twe życie młode  
 Znalazło żywioł, który czyni zadość  
 Twoim tęsknotom: Oceanu wodę  
 Rozbłękitnioną, chłonącą bez końca  
 Ulewę blasków... Znaczy, żeś jest słońca  
 Oblubienicą i onych bezmiarów,  
 Których nie zamknąć w śmieszny, ludzki parów.

Ale, niebawem, kilka wierszy dalej,  
 W liście, mającym zastąpić gołębia  
 Z dobrą nowiną od przejrzystej fali,  
 Jest coś, co raczej — rzekłbym — mnie przygnębia,  
 Coś, co wyrzuty sumienia mi budzi,  
 Czy też przypadkiem me słowo do ludzi,  
 Moje i tobie zbyt znane oredzie,  
 Nie spoczywało na złowróbnym błędzie?

Piszesz znakami, jakby z ręki dziecka  
 Pochodzącemi, że pięknej terasie,  
 Ujętej rzędem marmurowych, z grecka  
 Ciosanych kolumn, powierzasz w tym czasie

Swoje marzenia, że, o ażurową,  
 Oparta poręcz, lubisz, gdy z twą głową  
 Ciemnozłocistą igra ciepła, boża  
 Smuga powiewów, płynąca od morza.

A już szczególną dla ciebie rozkoszą  
 Patrzeć, w zbieżne od zarów południe,  
 Jak z skal nadbrzeżnych stada mew się ploszą  
 I w ślad okrętu ulatują cudnie  
 W przestrzeń daleką, jak, coraz to bledsze,  
 Rychło się w blade zmieniają powietrze  
 I całkowicie z przed oczu ci giną,  
 Rozszerzających krąg swój nad głębiną.

Wówczas — powiadasz — tak ci się wydaje,  
 Jakby twa postać powoli martwiała,  
 Albowiem dusza wydziera się w kraje,  
 Gdzie niema miejsca dla ziemskiego ciała,  
 Ze w takiej chwili już nie rozkosz sama  
 Zmysły ci mąci, lecz, jakoby plama  
 Na złotej tarczy słonecznej, odrazu  
 I ból z czyjegóż zjawia się rozkazu.

Tylko że ból to niezwykle: Jeżeli  
 Ktoś się zapyta, czy też nie on właśnie  
 Jest tą rozkoszą, jakiejż mu udzieli  
 Twa przyjaciółka odpowiedzi?! Jaśnie  
 Przynosi z sobą, choć oznacza ciemnię,  
 Krwi mi dodaje, choć krew pije ze mnie,  
 Ciężary kładzie na skrzydła, a przecie  
 W najszerszym wówczas szybujemy świetcie!!



Czujesz moc jego zwłaszcza o zachodzie,  
 Gdy z swej terasy ujrzysz, jak się nagle  
 Statki na wrzącej ukazują wodzie  
 I jak wraz nikną splomienione żagle,  
 Odbłyśki zorzy, która i twą duszę  
 W jakąś nieznaną uprowadza głuszę  
 Hen! za widnokrag: Krwawą skryta pianą  
 Straszna dla ciebie głąb ta, bo nieznana.

Lubisz ten obraz, widzę, i ja lubię —  
 Nieraz do niego-m wracał w ewangelji,  
 Którą ku twojej głosiłem zagubie,  
 Albowiem pani ma się nie weseli,  
 Lecz, wśród słonecznych wędrując rozdroży,  
 Raczej się lęka czegoś, czegoś trwoży,  
 Zamiast, z obliczem, ku fali zwróconem,  
 Ten czar jej rzeźwy pełnem wchłaniać lonem.

Ale ten przestрах, ten nasz lęk, ta trwoga,  
 Co nami w chwilach takich wzniesień miota,  
 Jest, tak dowodzisz, przyjaciółko droga,  
 Jedyną treścią ludzkiego żywota.  
 Rozszerzając ciasność jego granic  
 Ku onym złudom, których nie dasz za nic,  
 Ponieważ prawdą są, choć złud nazwiska  
 I twój rozsądek i mój w twarz im ciska.

Pojętą, widzę, miałem uczenie  
 I praca moja snąć była coś warta.  
 Jednak mi z żalu nie zbladłyby lice,  
 Gdyby ktoś zechciał, tak za kartą karta

Podrzec na strzępy tę księgę, do której  
 Przez całe-m życie wpisywał ponury  
 Przykaz, iż boleść to rozkosz jest złota,  
 Gdyż do wieczności otwiera nam wrota.

Już ja nie cofnę tej swojej nauki,  
 Bo siły brak mi przy ofiarnym stosie,  
 Który mi grozi, wołać w głos, dopóki  
 Prawdyby człowiek nie dostrzegł w tym głosie.  
 Ze najgodniejsza boleść i największa  
 Jeszcze nikomu czoła nie upiększa  
 Aureolami, tą pożyczką z nieba,  
 Której nie trzeba, choćby było trzeba!

Nie! Tak ja krzyżeć nie będę, o prawa  
 Gdy idzie moje, co pono już w grobie  
 Raczej je zamknąć! Lecz smętkiem napawa  
 Wnętrze się moje, gdy myślę o tobie:  
 Wolalbym dzisiaj, by twej żądzы łasej,  
 Śledzącej z białej, rozgrzanej terasy,  
 Jak się Ocean wszechmożny rozwełnia,  
 Słała swe szumy wielka życia pełnia.

Wolalbym dzisiaj, by przed duszą twoją,  
 Co do rozmiarów mistycznych wyrasta  
 W żarnych tęsknotach za wieczną ostoją,  
 Z fal czarodziejskie wystrzelały miasta,  
 Wonnych ogrodów szereg nieustanny,  
 Widne aleje, szemrzące fontanny,  
 Cysterny w białych marmurach wykute,  
 Bóstwa, wsłuchane w faunów słodką nutę.



Muzyka, śpiewy, rozhowory, tańce,  
 Oto czem winna żyć twa wyobraźnia!  
 Życie swą pomstę zsyła na zaprzańce  
 Życia! Na ucztę gdy się człowiek spaźnia,  
 Odchodzi głodny od biesiadnych stołów,  
 Przy których setkę poświęconych wołów  
 Spożyli inni, gdy, jak nakazano,  
 Nie omieszkali przyjść w weselne rano.

Ale niech będzie, jak chce! Czuję radość,  
 Że, w ogólności, twoje życie młode  
 Znalazło żywioł, który czyni zadość  
 Twoim tęsknotom: Oceanu wodę  
 Rozbłękitnioną, chłonącą bez końca  
 Ulewę blasków... Znaczy, że do słońca  
 I do bezmiarów kierujesz swe oczy,  
 Które gdzieś jeszcze ból jakowys mroczy.

## III.

Ani ty duszy swej nie rzucisz psom,  
 Ani ja blasków twoich nie zapomnę...  
 Chociażby jakieś nieszczęście ogromne  
 Wkroczyło z tobą w ten pusty mój dom,  
 Jąbym cię schwycił za te ręce obie  
 I miłościwie przygarnął ku sobie,  
 Szepnąwszy tylko: „nie pierwszy to grom!”

Nie mam zwyczaju obliczać się z tem,  
 Co świat nam powie, lub zarządzą nieba,  
 Przeto niczego lękać się nie trzeba,  
 Lecz, powtarzając, iż życie jest snem,  
 Czekać spokojnie, aż życie się prześni,  
 Bez względu na to, czy później czy wcześniej  
 I czy też dobrem będzie albo złem.

Jest za i przeciw — któżby wąpili? Któż?  
 Ani ja dzisiaj, ani ty, ni człowiek  
 Cudzy, któremu noc nie zwarła powiek  
 Na dnia różnicę... Przecież tylko tchórz  
 Rad jest te nędzne gwichty kłaść na szale,  
 Thumacząc sobie, że istnieją fale,  
 Tnące się wzajem na głębinach mórz.



Dławi cię krzyk ten — mówisz? Krzyk ten zdław  
 I krwi wezbranie w swej piersi zastanów!  
 Śpieszącej brzegiem rozpalonych lanów  
 Ku czystym wodom, niech ci powie staw,  
 Któremu burza lustra nie rozsadza,  
 Że przejdzie mimo nas złowroga władza,  
 Dzierżąca berło nienawistnych praw.

A gdyby chciała uragać i nam —  
 Czelną się zawsze panoszy i wszędzie —,  
 Jest czem opłacić przekupne jej sędzie:  
 I ty masz dosyć i ja dosyć mam  
 Dumy czy pychy — dwa równe walory  
 Jeżeli zdeptać trzeba nazbyt skory,  
 Mimo miedzianych stóp, zbyt skrętny kłam.

Podaj prawicę i wejdź ze mną w dom,  
 W którym się życie nie kryje w osłony  
 Tych albo tamtych względów. Niestrwożony  
 Pożarem dachu, gdyby go wszczął grom,  
 Ani ja swego nie ukorzę wnętrza,  
 Ani ty, ranna jutrzni przenajświętsza,  
 Swej jasnej duszy nie porzucisz psom.

Nie od dziś śmieję się — i ty się śmieję! —,  
 Słyszając, jak ludzie szlachetni i zdrowi  
 Lubią bliźniemu prawić człowiekowi,  
 Że się w tragiczny zagrzebuje lej,  
 Że, nie chcąc folgi dać przezornej radzie.  
 Sam się z oczami zamkniętymi kładzie  
 W statek bez steru, bez wiosel i rej.

Vogue la galère!... Lecz to nie jest ton  
 Pękniętej struny!... Nic topielców hasło,  
 Lekceważących słońce, gdy już zgasło  
 Ponad rafami! Nie rozpacz to lon,  
 Które wywróżyć miały wielkie szczęście,  
 A którym dzisiaj wygrażają pięście,  
 Gdyż z wieszczb ich wyrósł wprost przeciwny plon.

Vogue la galère!... Nie żaden to cud  
 Krzyczeń tak śmiało, gdy morze spokojne  
 Fal swych na straszna nie gotuje wojnę;  
 Gdy mewa, siadłszy na okrętu przód,  
 Ufnie spogląda w oblicze żeglarzy,  
 A reszta stada w błękitach się waży  
 Wspólną tworzących głębię z głębią wód.

Bo dziś precudny otacza mnie dzień,  
 Jak gdyby stworzon, ażeby na wieki  
 Przeczyła dusza bliskiej czy dalekiej  
 Groźbie pomroków. Zapatrzone węń,  
 Czuję, jak słodko wciska się do serca  
 I za i przeciw wszelakie uśmierca  
 Od łak płynący powiew wonnych tchnień.

Wszystko dziś wszystkim przebaczyłbym rad,  
 Jeśli cokolwiek przebaczać należy  
 Ludziom, co przecież są bez win. Na wieży,  
 Zda mi się, jestem strzelistej i świat  
 Płynnem się srebrem u stóp mych rozściela  
 W rozfalowaniu radosnem! Wesela  
 Obraz, jakiegom nie widział od lat.



I ty się raduj! Tobie ja ten złom  
 Greckiego słupa zawdzięczam, tę ciszę,  
 Co tutaj liśmi wierzbowemi pisze  
 Znaki zaledwie dosłyszalne, tchom  
 Podobne cichym twej słonecznej duszy,  
 Która niewczesny krzyk w sobie zagłuszy  
 I której rzucać nie godzi się psom!

Drzwi me otwarte, zamiecion mój próg.  
 Na stole złote czekają owoce,  
 W dzbanie z kryształu blask wina migoce  
 I precz odgania widma mrocznych trwóg:  
 Do wnętrza izby zagłada, ciekawy  
 Tej w moim domu niezwyklej zabawy,  
 Pan, na syryndze grywający bóg.

Pod białą ścianą rozpalil się ślaz,  
 Rozplomienily się piwonje duże,  
 Na bezkolczastych krzaczach rozblyśly róże:  
 Rąk nie skaleczysz, gdy się do tych kras  
 Zabierać zechcesz, zapachów spragniona,  
 W których się kąpie królewska korona  
 Życia, co umie tak nas witać, nas!

O świcie bliski rozegra się łan  
 Głosem przepiórek, lub w sąsiednim lesie  
 Wieści o zorzach wstających rozniesie  
 Rychła kukulka; a gdy zmiłknie Pan,  
 Lubiący słońce południa, mądrości  
 Święty ptak, sowa, wśród zmierzchów zagości,  
 Dreszcz tajemniczy śląc do naszych ścian.

Przeto się gotuj do drogi, a zważ,  
 Abyś przybyła w mój ogród, nim jeszcze  
 Listopadowe zaczną płakać deszcze,  
 Nim zima puści szron, swą przednią straż.  
 Zanim me grędy z purpury i złota  
 W szarość lodowa oblecze martwota,  
 Prześladowczyni ziół i wróg ten nasz.

A gdyby w drodze opadły cię znów  
 Głuche wąpienia, co ponoć się zrosły  
 Z wieczystem rdzeniem twej duszy wyniosłej,  
 Odpędź tę sforę, pamiętna mych słów,  
 Że ogień z wodą nie zawrze przymierza,  
 Lecz serce z sercem, gdy cios w nie uderza,  
 Odeprzeć zdola i tysiączny huf.

Że gdyby nawet wraz z tobą w mój dom  
 Jakieś nieszczęście wkroczyło ogromne,  
 Jeszcze ja blasków twoich nie zapomnę!  
 Nie! nie! Szepnąwszy: „nie pierwszy to grom!”  
 Jeszcze uchwycę cię za ręce obie  
 I miłościwie przygarne ku sobie  
 I ty swej duszy nie porzucisz psom!...



## IV.

Dawno mi żadnej nie przysłałaś wieści,  
 Jak ci się wiodło te długie tygodnie.  
 Nie poczytuję ci tego za zbrodnię,  
 Ujmy-ć to przecież nie czyni twej cześci.  
 Czekać też mógłbym, wierz mi, jeszcze dłużej,  
 Gdyby nie wicher, ten wróżbita burzy,  
 Co za oknami tak strasznie szeleści  
 I, przeciskając się w te ściany moje,  
 Jakoweś budzi strachy, jakieś niepokoje...

Prawdopodobnie — zdarzyć się to może  
 Chyba każdemu: nikt nie jest jedyny —  
 Najmniejszej nie mam do trwóg tych przyczyny  
 I ta szaruga, siekająca na dworze  
 Biczami deszczu obnażone drzewa,  
 Tak samo dzisiaj hymn złowieszczy śpiewa,  
 Jak kiedy indziej w tej zimowej porze;  
 A jednak, jednak — cóż ja, widzisz, zrobię,  
 Że właśnie dzisiaj z trwogą rozmyślał o tobie.

Twoje milczenie, tak dziwnie uparte,  
 Winne jest temu, że w czas ten ponury,  
 Przy rozszalałych organach wichury,  
 Tracę widzenie świtów, wieczną wartę  
 Mających spełniać przy szczęsem twem jutrze.  
 Twoje milczenie — oby jak najkrótsze  
 Było na przyszłość! — sprawia, że tę kartę  
 Pamiętnikową wypełniać dziś wolę,  
 Miał wróżbą dni rozkosznych, troską o twą dole.

Cóż, że w tej chwili, wśród tego wieczora,  
 Stała nagle twa postać przede mną  
 Z takim uśmiechem na wargach, iż ciemną  
 Przeniknął przestrzeń zbawczy błysk, a zmora.  
 Tak czelnie dzisiaj memu wnętrzu bliska,  
 Pierzchła, jak zbędne pierzchają zjawiska?  
 Cóż, gdy w te tropy i ty nazbyt skora  
 Znikłaś, w mgieł nocnych otulona chusty,  
 Lęk jeszcze większy rodząc w mojej izbie puste?

Przeto mi odpisz, przyjaciółko droga,  
 Czy towarzyszy ci szczęście niezłomne —  
 Boć, bez potrzeby, zawsze o tem pomnę,  
 Jak w ślad radości lubi wlec się trwoga:  
 Śmieszny komunał? Nieprawda? Niech będzie,  
 Lecz ty mnie poucz w najdrobniejszym względzie,  
 Czy się twa wiotka nie zraniła noga  
 O głaz przydrożny? Czy z cierniami w walce  
 Nie krwawią się po róże sięgające palce?



Tyle nas dzieli mil, a i zapewne  
 Świat też niejeden stanął między nami,  
 Co cień swój rzuca na słońce i plami  
 Jasność poranną, przeto mą królowę  
 Proszę zlocistą, by mi jak najwcześniej  
 Raczyła donieść, czy rozkosznej pieśni  
 Młodego życia dźwięki światłosiewne  
 W niepokalanej swej czystości rosną,  
 Czy nic im dziś nie mąci tęsknoty za wiosną.

Podobno lubisz samotność — ustronie  
 Zamkniętych parków, strzegących dworzyszczy  
 O opalowych szybach, gdzie się błyszczy  
 Odblask żywota, który już nie płonie  
 W rzeczywistości?... Podobno też, słyszę,  
 Wtulona w murów staroświeckich nysze,  
 Z taką rozkoszą zatapiasz się w dzwonie,  
 Głoszącym wieści z umarłego świata,  
 Ze ciało twe się z prochem i nicością brata?

To źle!... Dlatego, świadom twej ekstazy,  
 Mam prawo pytać, czy w te dni ostatnie,  
 W posepnych dumań uwikłana matnię,  
 Nie byłaś w onej alei, sto razy  
 Przez cię zwiedzanej, gdzie w kurniawie szarej  
 Wichler z łomotem gniewnie konary,  
 I czy na trzask ten, jakby na rozkazy  
 Bezwzględnej śmierci, śmiejącej się z marzeń,  
 Twe serce nie konało z niewczesnych przerażeń?

Ale naprawdę! Pocóż temi słowy  
 Śmiem dręczyć ciebie, kiedy pewien jestem —  
 To znaczy, prawie pewien —, iż szelestem  
 Tej rozpasanej zawięci styczniowej  
 Nie twe, lecz moje przestrasza się wnętrze...  
 Więc tylko pošlij mi nowiny, pędwsze  
 Od snów, czy sny twe, zrodzone z umowy,  
 Gdzieś, jakoś, kiedyś zawartej, są jeszcze  
 Pełne mocy, rodzącej wielkie życia dreszcze.

O co innego mi idzie... Mówiono  
 Nieraz mi o tem, sam też kilkakrotnie  
 Z ust twych wysnułem, gdyś moją samotnię  
 Nawiedzieć przyszła, że się twoje łono  
 Trapi grzechami, których nie spełniło,  
 I że się lękasz, ty przemożna siło,  
 Aby cię słabość nie zmogła... Tak pono  
 Zaciemnia świat się twojego żywota,  
 Widnokrąg, poza którym gaśnie zorza złota.

Powiadam „pono“, bo choć tak swobodnie  
 Piszę do ciebie i choć mi wypadło  
 W szczęśliwej chwili zaglądnąć w zwierciadło  
 Twej słodkiej duszy — a! dni i tygodnie,  
 Miesiące odtąd minęły! —, ja przecie  
 Nie mam pewności, czy cię znam... Kobięcie  
 Ufać nie można!... Lecz tobie?... Zachodnie  
 Nad głębinami mórz świecą się smugi,  
 Po słońcu, które ginie, cień się błąka długi. —



Tak! ja cię nie znam! O tak! Ja dokładnie  
 Nie wiem, kim jesteś i czym jest twa dusza?  
 Żadna mnie zresztą ciekawość nie zmusza  
 Zapytać siebie, jak mój sąd wypadnie,  
 Jeśli się bliżej twym oczom przypatrzę.  
 Zda mi się tylko, że jesteś najrzadszą  
 Że źródlisk bożych, co blaski ma na dnie  
 I na powierzchni swoich wód, że krasie  
 Nic twojej nie dorówna... Tak brzmi to me „zda się“.

Cóż ono znaczy? — Nic! Nic! Przywidzenie,  
 Płód niedojrzały złudzonej tęsknoty,  
 Uragający rozsądkowi; złoty  
 Omam wieczornych mgieł, których promienie  
 W niesamowitem stają się pustkowiu  
 Wilgotnym, martwym ciężarem ołowiu  
 Prędzej, niż człek się spodziewa... Nie cenię  
 Swojego „zda się“, a dziś przez nie właśnie  
 Jest we mnie święty ogień, co snać nie zagaśnie.

Więc się też nie dziw, że jeśli od ciebie  
 Idzie ten ogień, twórczy ogień boski,  
 Coraz to większe gniotą mnie dziś troski  
 O skarb jedyny, który tak się grzebie  
 W mrokach milczenia, tylko — oczywiście,  
 W bardzo serdecznym, w bardzo długim liście —  
 Co tchu mi donieś, na jakim się chlebie  
 Duch twój pożywia i czy w stóp twych ślady  
 Niezłomne kroczy szczęście bez fałszu i zdrady...

## V.

Wolałbym z Tobą pomówić, rzecz prosta —  
 Wargi masz bowiem pełne wdzięku, zwłaszcza,  
 Gdy z nich przyjaźna zaczniesz płynąć chłosta  
 Na tę nieufność, co ludziom zachwaszcza  
 Ogrody szczęścia, co między dwa bliźnie  
 Wcisną się serca, jak zatruta stal,  
 I, urągając niebiańskiej puściźnie,  
 Dziecięcej, słodkiej wierze, rodzi lęk i żal...

W godzinie zmierzchu, albo rzeknę raczej,  
 W chwili, gdy słońce zaledwie dosięga  
 Tych drzew dalekich, których rząd majaczy  
 Przed mą żrenicą w skrach jego półkłęga —  
 Druga połowa zapada już w ciemną,  
 Milczącą głębię — tak jest, w taki czas  
 Zmagań żywota usiadłabyś ze mną  
 Na wzgórzu tem, czerwonym od ostatnich kras...

Lub poszlibyśmy razem, o, tą drogą,  
 Którą już pomrok zbyt wcześnie zacienia,  
 Choć burty rowów jeszcze się nie mogą  
 Otrząsnąć z resztek promiennego drżenia...



Trakt to szeroki i długi: bez końca,  
Widać, się snuje, wiedzie w środek zórz,  
Oplakujących ogniami śmierć słońca,  
Złocisty na grób jego strząsających kurz...

Krocząc tą drogą — dokąd, mniejsza o to —,  
Gwarzylibyśmy, wzięwszy się pod ręce,  
Jak dzień nasz kona, upowity w złoto,  
I jak potrzeba zachować dziecięce  
Twory swej duszy, czarodziejską baśnię  
Wiary, co winna nam świecić po wiek,  
Złudę nadziei, co czuwa, choć zaśnie  
Szczęśliwość, którą biedny śpieszy grzebać człek.

Ku zachodowi zwróceni obliczem,  
Pełnem rumianej, przejrzystej pogody,  
Szeptalibyśmy, iż życie jest niczem,  
Gdy ból je stargał i że będzie młody  
Duch nasz, jeżeli, pomny prawdy starej,  
Którą wyczytał z zapleśniałych kart,  
Odtrąci wszelką rozterkę, ofiary  
Nie szcędząc dla spokoju, co — śmierci jest wart...

Byłoby jeszcze lepiej, dni twej wiosny  
Mając na oku, co zaledwie wczora  
Rozkwitła pełnią wonnych róż w radošnej  
Chwili dojrzewan — przedziwna to pora,  
Budząca zazdrość w popiołach — tak, jeszcze  
Byłoby lepiej, z słodyczą u warg,  
Gwarzyć nam o tem, jak rozkoszne dreszcze  
Dziecięcych snów nie wchodzą z jawą życia w targ...

I jakie miałaś lalki, jakie stroje  
Lubily dla nich szyć twe wiotkie dłonie  
I jak tęsknice spoczywały twoje —  
I me — na kraźkach fali, na koronie  
Polnego kwiatu, na skrawym owadzie,  
Co śród rozległych zamigotał rżysk,  
I jak się żyto pod gradami kładzie,  
By odżyć, skoro załśni pierwszy słońca błysk...

Prawda, niezawsze odżywa... Najczęściej  
Ginie. Lecz patrząc na ten ogrom kłęski,  
Pocóżby człowiek miał zaciskać pięści  
I grozić Bogu, czy losom? Zwycięski  
Będzie li spokój, jeśli z nim widząca  
Złączy się ufność, iż, gdy zagał dzień,  
Noc się zapala od planet tysiąca,  
Że — wieczność nie przytłumi swych ożywczych  
[tchnień.

Te pospolite, te powszednie sprawy,  
W tem zwykłem, prostem wyrażone słowie,  
Wypełniłyby nam ten zmierzch złotawy,  
Cienie siejący na wielkie pustkowię,  
Gdybyśmy dzisiaj, niby para dzieci,  
Szli sobie razem środkiem drogi tej,  
Szerokiej, długiej, ponad którą świeci  
Nadzieja gwiazd, co z czarnych wylania się kniej.

Lub w tej komnatce siadłabyś — najcudniej  
Tu, przy tem oknie, przy którym, w twe oczy  
Zapatrzon, rzekłem ci kiedyś, iż grudni  
Mroźnych nie lękam się, ni żadnych mroczy,



Przesłaniających ostatni kres życia,  
Taki z tych źrenic bije żar i blask,  
Taka zapowiedź duszy, co, z ukrycia  
Wyszedłszy, rozdawczynią jest wyśnionych łask.

I dzisiaj znowu, mając je przed sobą,  
Te dwa błękity głębokie, to czoło,  
Promieniejące zadumy ozdoba,  
Ściskając w dłoniach, radbym ci wesoło  
Powtórzyć, słuchaj, jak zbędne są troski,  
Któremi ludzka morduje się brać —  
A i my również —, bo ten-ci już boski  
Padł wyrok, że się stanie to, co ma się stać...

A czy się stanie tak, czy też się stanie  
Inak, któż o tem myślałby i naco,  
Gdy narodziny dnia i dnia konanie —  
O ty spokoju i ufności płacół —  
W jednych spełniają się ogniach, jednaki  
Oczarowanym oczom tworzą cud  
I kiedy jutro wszystkie światła szlaki  
Wić będą się tak samo, jak się wily wprzód!

Takbym chciał z tobą pogwarzyć, ty słodka  
Moja otucho! Słowem, co jest raczej  
Staroświeckiego szumem kołowrotka,  
Przy którym Parki, zdala od rozpaczy,  
Nić swoją przędą, albo też szelestem  
Drzew, bądź zyskują liść, bądź tracą znów,  
Chciałbym ci rzeknąć, że czy powiem „jestem“,  
Czy „byłem“, czy też „będę“, to różnica — słów!...

O, tu byś siadła, tu, pod tym obrazem,  
Lub przy tych kwiatach — pełno ich w mym domu,  
Odkąd krewieństwo-m znalazł między glazem,  
A między sercem, mrącem pokryjomu,  
Lub radującym się jawnie i głośnie  
Z nieugaszonej tęsknoty za dniem,  
Gdy w ludzkim wnętrzu taki kwiat wyrośnie,  
Co będzie czemś naprawdę, ni dobrem, ni złem!

Takbym rad z tobą poszeptać — nutami  
Rozfalowanej, jednak cichej rzekę,  
Gdybyśmy dzisiaj siedzieli tu sami,  
Jak siedzieliśmy niedawno, w daleki  
Przestwór wpatrzeni. Tu, przy ksiąg tych zbiorze,  
Zawierającym źródła ludzkich chwał,  
Gwarzyłbym wiatru powiewem, co może  
Wraz zmiłknąć, gdybym dziś tu w ten wieczór cie  
[miał...]

Ale cię nie mam, więc ci list ten piszę,  
Nie wiedząc wcale, czy dojdzie, bo nie wiem,  
W jaką się teraz zagrzebałaś ciszę  
Przed nieustannie palącym zarzewiem  
Samobiczowań, którem się mieszkańce  
Martwego świata — nie! nie! żyw jest on —  
Wciąż obsypują, wciąż stawiając szańce  
Podejrzeń, by z poza nich widzieć tylko — skon.

Lecz jeśli dojdzie cię to pismo, proszę,  
Wprzód je odczytaj pilnie i z miłością,  
Bo w niem się drogie odbiły rozkosze,  
Które, że tak się wyrażę, są kością



Z twych, widzisz, kości, zrodzoną tej chwili,  
Gdy mnie tęsknota rwie ku oczom twym,  
A potem schowaj je za gors, od lilji  
Jaśniejszy: twe to pismo, twój własny to rym!...

Wolałbym słyszeć twe słowa, rzecz prosta —  
Wargi masz bowiem pełne wdzięku, zwłaszcza,  
Gdy z nich przyjazna zacznie płynąć chłosta  
Na tę nieufność, co ludziom zachwaszcza  
Ogrody szczęścia, co między dwa bliźnie  
Wciska się serca, jak zatrufa stal,  
I, urągając niebiańskiej puściźnie,  
Dziecięcej, słodkiej wierze, rodzi lęk i żal...

## VII

## BALLADA O SZKLANEJ GÓRZE

CZYLI

## KONIEC KSIĘGI MIŁOŚCI



Nieraz mnie jakaś chęć porywa dzika.  
Nie licująca z moich lat powagą,  
By drewnianego dosiadać konika  
I, bicz skręciwszy z piasku, „prawdę naga“ —  
Niechaj się ze mnie śmieje, kto ma wolę —  
Obwieszcząć bliźnim, żem jest jak pachole,  
Żem jest jak dziecko, co się z rąk wymyka  
Swoim dozorcóm.

Tak było kilka dni temu: Chłopięta  
Przybyły do mnie wiejskie i w te tropy  
Poczęły skomleć: Czy pan też pamięta,  
Co nam obiecał, gdy ostatnie snopy  
Zwozili z pola do naszej stodoły?  
Mówiłeś wtedy, że będziesz wesoły,  
Że pomkniesz z nami, w ręku kawał pręta,  
Na Szklaną Górę...

Więc dalej, w drogę!... I w cichej izdebce  
Zawrzało życie, aż się trzęsły ściany:  
Rozhukały się młodziutkie me żrebce,  
A ja, wskazując na śniegiem owiany,



Błyszczący w słońcu wielki Wierch Lodowy,  
 Jąłem śpiewnemi recytować słowy  
 Dawną balladę, którą przy kolebce  
 Snać wam nucono:

*Na szczycie Szklanej Góry  
 Zaklęty zamek stoi,  
 Złoty ma zrąb i progi  
 Złociste u podwoi.*

*A w zamku, w złotej kaźni,  
 Jest harfa słodko-śpiewna,  
 Na niej swą pieśń odwieczną  
 Zaklęta gra królowna — — —*

Graj nam, królowno, graj nam!... Jestem pewny —  
 Dzisiaj, po latach, bardzo dobrze pomnę,  
 Żem w rękę księgę miał, gdzie hymn ten rzewny  
 Był drukowany: litery ogromne,  
 Jakby dla starców, którym oko rwie się,  
 A zaś dopisek drżał na marginesie:

„Taka jest pieśń tej zaklętej królowny,  
 Słuchaj, rycerzu!“ —:

*„Przedziwną mam urodę  
 I skarbów pełne skrzynie,  
 A życie me w tęsknicy  
 Niewysłowionej płynie.*

*Na harfie słodko-śpiewnej  
 Rozpinam biedną duszę,  
 Serce się rwie do świata,  
 A w kaźni więdnąć muszę.*

*Zbierają się rycerze  
 U zbocza Szklanej Góry,  
 Szum idzie od ich skrzydeł,  
 Szum dźwięczny, srebrnopióry.*

*Śpiewają mnie, królownie,  
 Zakuci w stal minstrele,  
 A ja z swych szat kosztownych  
 Strząsnęłam już wesele.*

*Wielbią te moje oczy,  
 Mleczno-różane lico,  
 A usta im moje wtórują:  
 O żalu! O tęsknico!“*

Ze też nie można radości dziecięcej  
 Oszczędzić smętku, który swe przedziwa  
 Październikowe rozsnuł w sto tysięcy  
 Jedwabnych włókien po rżyskach... Szczęśliwa  
 Niechaj godzina wiedzie me klejnoty,  
 Gdzie do rycerzy, których coraz więcej,  
 Śpiewa królowna:

*„Zepnijcie ostrogami  
 Bojowe swe rumaki,  
 I ku mnie, ku królownie,  
 W te wyżne lećcie szlaki.*



Szklaną się bierzcie drogą  
Za głosem mojej lutni:  
Złocista jabłoń rośnie  
U zamku złotych wrót.

Złocista rośnie jabłoń,  
Hyrny jej sokół strzeże,  
Kto zdoła zerwać owoc,  
Ten moim, o ryczerze!

Mam skarbów co niemiara  
W zaklętej mej komorze,  
Do skarbów i do duszy  
Na oścież drzwi otworzę.

Zepnijcie ostrogami  
Bojowe swe rumaki  
I ku mnie, ku królownie,  
W te wyżne lećcie szlaki“.

Zaś ta królowna — przypominam sobie  
Drugi dopisek na obrębie karty  
Kochanej książki, którą kazał w grobie  
Pochować razem z swem sercem uparty  
Druh mój —

„Królowna ta miała koronę  
Z złocistych włosów i usta spłonione,  
Jak najgoretsza miłość.

Cóż ja zrobię

Że na te czary

Zwarli się w szyk rycerze,  
Pną się na górę szklaną:  
Kirysy polyskują,  
Konie parskają pianą.

U ramion skrzydła szumią,  
W rękę ogniste miecze,  
A Śmierć — — — — —

Szalenstwo! że też musi wszędzie  
Wcisnąć się trupie to widmo, ta zhora,  
Która spokoju dawać mi nie będzie  
Chyba już nigdy!... Lub może jest chora  
Ma wyobraźnia, że czepia się liści  
Opadających, a słońcu zawiści,  
Iż swe promienne rozsyła orędzie  
Po suchych drogach?...

Patrzajcie! Wieśniak garście ziarn przesiewa,  
Zatopion cały w tem starem rzeszocie;  
Chmurą polotną oddziela się plewa,  
Tęcze rozwiesza na słonecznem złocie;  
Od gór, od ściernisk idzie powiew świeży,  
Za nim, jak gdyby zastępy rycerzy  
W omzach się niosą: szeleszczą im drzewa  
I potok szumi — — — — —

„A Śmierć się za tym hućmem  
Jak mgławcy tuman wlecze.



Po grobach, w szumiącym wietrze,  
Drży trawa szumno-śpiwna,  
W zamku na złotej harfie  
Zakłęta gra królowna.

Mija rok jeden, drugi  
I siódmy już nadchodzi —  
Gdzie wy, orlowie moi,  
Gdzie wy, rycerze młodzi?

Na wieki śpią w mogiłach,  
Noc ich pokrywa głucha — — — — —

O nocy głucha!... Dziecięca zabawa  
W jakieś koszmary zamienia się wraże,  
Pochód ku słońcu pogrzebem się stawa,  
Ginące lata, rosnące cmentarze  
Ściany mojego wypełniają domu...  
O słodkie dzieci, nie mówcie nikomu,  
Że moja szkapa drewniana kulawa,  
Zem puścił lejce — — — — —

A naokoło wre: Czyż sami tchórze  
Mają się mierzyć ze śmiercią? Czyż słabi  
Ludzie zdobywać mają świat i w burzę  
Ginać?... Nikt mocy z siebie nie wywabi?...!  
Znalazł się jeden, zakochan w potędze;  
Albowiem w starej, pogrzebanej księdze  
Oczom litery ogłaszały duże  
Taki dopisek

„Pieśni zaklętej królowny  
Żak tylko prosty słucha“.

Żak tylko prosty słucha,  
Rycerny duch go niesie,  
Poszedł w las ciemny, gęsty,  
I rysia uził w lesie.

Krzepiste nogi i ręce  
W rysie naodział pazury  
I pnie się ku złotym blaskom  
Na szczyt tej Szklanej Góry.

Nie łyska na nim kirys  
I koń nie bryzga pianą —:  
Rysiami pazurami  
Ryje się w Górę Szklaną.

Cóż mu spiekota słońca,  
Dławiące cóż pragnienie!  
Ku wymarzonej królownie  
Serce go w górę żenie.

Obłoku, dżdżami syfy,  
Urągasz mu daremnie:  
Na wierchu stanie promiennym,  
Albo się zwali w ciemnie — — —“

To „albo“ w waszej odwiecznej balladzie  
Wielce jest śmieszne, gdyż wam, dobrzy ludzie,  
Wiadomo wszystkim, jaki mrok się kładzie  
Na ścieżki życia — znienacka, gdy w trudzie



Człek, zda się, doszedł pod sam szczyt... Napewne  
 Wiecie, że zginął ten, co chciał królowę  
 Posiąść zakłęta... Stał mu na zdradzie  
 Skryty żleb śmierci...

*Na szczycie Szklanej Góry  
 Zakłęty zamek stoi,  
 Złoty ma zrąb i progi  
 Złociste u podwoi.*

*A w zamku, w złotej kaźni,  
 Jest harfa słodko-śpiewna,  
 Na niej swą pieśń wieczystą  
 Zakłęta gra królowna...*

KONIEC KSIĘGI MIŁOŚCI.



286502

## SPIS RZECZY.

	Str.
I. DO NIEJ.	
I. Ja ciebie kocham . . . . .	3
II. Nieraz się pytam . . . . .	6
III. Przypomnienie . . . . .	8
IV. W metafizyce wieszczu zakochani . . . . .	11
V. Ten kwiat konwalji . . . . .	12
VI. Czem jesteś dla mnie . . . . .	13
VII. Gdy mnie ogarnia zmrok . . . . .	14
VIII. Nie wiem gdzie jesteś . . . . .	15
IX. Nie wrócisz do mnie . . . . .	17
X. Co się to dzieje . . . . .	19
XI. Czekałem na ciebie wczora . . . . .	21
XII. Pójdziemy w świat . . . . .	22
XIII. Z zawiązanymi oczyma . . . . .	24
II. DZIEJE MIŁOŚCI.	
1. L'amore desesperato . . . . .	29
2. Miłość — Grzech . . . . .	65
3. Amor vincens . . . . .	95
III. Z GÓR.	
O poranku . . . . .	121
Przy szumie drzew . . . . .	126
W turniach . . . . .	142
IV. SAWITRI . . . . .	179



	Str.
V. O ZMIERZCHU WIECZORNYM.	
I. Wczoraj o zmierzchu . . . . .	209
II. Śmieszni jesteśmy wszyscy . . . . .	213
III. Złocistem winem czarę napelnioną . . . . .	220
IV. Oto wieczorny zmierzch . . . . .	226
V. Cicho za nami . . . . .	233
VI. LISTY.	
I. Ma przyjaciółko . . . . .	241
II. List twój ostatni . . . . .	244
III. Ani ty duszy swej nie rzucisz psom . . . . .	249
IV. Dawno mi żadnej nie przysłałaś wieści . . . . .	254
V. Wolałbym z tobą pomówić . . . . .	259
VII. BALLADA O SZKLANEJ GÓRZE . . . . .	265

---